

# HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 36 /2020



# Nr 36/2020

W numerze:

<b>Joanna Krupińska-Trzebiatowska</b>	
Słowo od redaktora	3
<b>XXX-lecie Stowarzyszenia Twórczego POLART</b>	5
<b>Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska</b>	
Świat muzyczny żegna Krzysztofa Pendereckiego	9
<b>Bolesław Faron</b>	
Ostatnie dni lata w Bawarii	11
<b>Joanna Krupińska-Trzebiatowska</b>	
Zbrodnia /fragment powieści/	19
<b>Józef Lipiec</b>	
Kim byłeś - Kim jesteś - Kim będziesz?	25
<b>Wojciech Zalewski</b>	
Czy wielkie miasto jest miejscem ludzkiej samotności?	33
<b>Anna Szklarska</b>	
Wspólnota, która nadchodzi czyli o nowych narzędziach i formach biowładzy	37
<b>Marek Sołtysik</b>	
Więzy. Lux Aeterna /opowiadanie/	43
<b>Mariola Sternhal</b>	
Ocean uczuć /fragment powieści/	51
<b>Bolesław Faron</b>	
Emaus - Niewyczerpane źródło inspiracji artystycznych	61
<b>Marcin Chrzanowski</b>	
Poeci wi(e)dzą więcej	65
<b>Krystyna Habrat</b>	
Stanisława Przybyszewska. Kobieta nie na te czasy?	69
<b>Ignacy S.Fiut</b>	
Wiersze	74
<b>Barbara Korta-Wyrzycka</b>	
Słowem można wyleczyć i ciało i duszę	75
<b>Joanna Krupińska-Trzebiatowska</b>	
Ostatni wiersz	76
<b>Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska</b>	
Fenomen walca. Rezonans gatunku w muzyce XX wieku	77
<b>Jan Tutaj</b>	
Wystawa rzeźby Krystyny Nowakowskiej i Jerzego Nowakowskiego	83
<b>Monika Koziół</b>	
Katedra Janusza Trzebiatowskiego	88
<b>Stanisław Dziedzic</b>	
Katedry Trzebiatowskiego w Lublinie	89

HYBRIDA

**Redaktor Naczelny:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska  
e-mail: joanna.kt@poczta.fm  
tel. 12 429 70 40

**Sekretarze Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka  
e-mail: wyrzycka@pk.edu.pl

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska  
e-mail: iza\_jot@poczta.fm

**Kolegium Redakcyjne:**

Józef Baran  
Bolesław Faron  
Ignacy S. Fiut  
Irena Kaczmarczyk  
Wacław Krupiński  
Ferdynand Nawratil  
Tadeusz Skoczek  
Marek Sołtysik  
Anna Szumowska-Chudzińska

**Korekta:**

Barbara Korta-Wyrzycka  
Anna Szumowska-Chudzińska

**Zdjęcia:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska,  
Piotr Latała, Andrzej Makuch,  
Jan Poprawa, Beata Symoń,  
Andrzej Szełęga, Andrzej Krupiński,  
Jan Zych

**Naukowa Rada Redakcyjna:**

dr Edward Chudziński  
prof. dr hab. Stefan Dousa  
prof. dr hab. Bolesław Faron  
prof. dr hab. Ignacy St.Fiut  
prof. dr hab. Józef Lipiec  
prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska  
prof. dr hab. Jerzy Nowakowski  
prof. dr hab. Elżbieta Stefańska-Kłyś  
prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko  
prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

**Wydawca:**

Janusz Trzebiatowski  
Stowarzyszenie Twórcze POLART

**Redakcja:**

30-250 Kraków, ul. Gajówka 25  
tel. 12 4297040  
ISSN 1731-9668  
ISBN: 83-8664855-11-6

**Numer konta:**

Stowarzyszenie Twórcze POLART  
30-250 Kraków, ul. Gajówka 25 A  
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771

<http://www.polart.org.pl/>

<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

**Skład i łamanie tekstu:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska

**Projekt okładki:**

Janusz Trzebiatowski  
na 2 i 3 stronie reprodukcje obrazów z cyklu  
*Katedra*

**Druk:**

Bikstudio Krzysztof Marek Szwaczka  
Brzeście 30, 28-330 Wodzisław



## SŁOWO OD REDAKTORA



Jezry Nowakowski, *Medal XXX-lecia POLARTU*

Miał to być rok jubileuszowy wypełniony starannie zaplanowanymi obchodami trzydziestolecia Stowarzyszenia Twórczego POLART, a tymczasem Diabeł pomieszał nam szyki zsyłając na naszą planetę koronawirusa.

Nie odbyło się więc Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze 27 marca 2020 w Collegium Maius, ani wystawa Kai Soleckiej w Zamku Królewskim w Niepołomicach, gdzie 19 kwietnia miano dokonać wręczenia Medali Gloria Artis przyznanych artystom z okazji ich święta. Pod znakiem zapytania też stanęła ósma edycja Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", którą miał zainaugurować koncert dwóch laureatek medalu: Bogusławy Hubisz-Sielskiej i Renaty Żelobowskiej-Orzechowskiej.

Decyzją Zarządu wybory nowych władz Stowarzyszenia Twórczego POLART przesunięto na jesień 2020 a bieżący numer *HYBRYDY* postanowiono jak zawsze zamieścić go w Internecie, a także udostępnić członkom Stowarzyszenia Twórczego POLART drogą e mailową, bo na wersję drukowaną trzeba będzie poczekać do jesienno-zimowego spotkania. Nie odzwierciedla on atmosfery, jaka ogarnęła Polskę i świat, gdyż wszystkie teksty zostały nadesłane przez autorów przed wybuchem pandemii i choć trudno w jej aurze mówić o kulturze, można mieć tylko nadzieję, że wszyscy zdołamy przetrwać ten trudny czas, a traumatyczne doświadczenia uda się przekuć w nowe wartości.

*Joanna Krupińska-Trzebiatowska*





Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

# 30-LECIE STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO POLART w WILLI DECJUSZA



**Obchody trzydziestolecia Stowarzyszenia Twórczego POLART zainaugurowała 15 listopada 2019 roku recitałem chopinowskim Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska, prywatnie córka praprezesa i prezesa honorowego Janusza Trzebiatowskiego. (Oboje na zdjęciu)**

Nie był to pierwszy event zorganizowany przez POLART w Willi Decjusza w Krakowie, gdzie tym razem podejmowała przybyłych licznie członków stowarzyszenia osobiście dyrektor Stowarzyszenia Willa Decjusza profesor Dominika Kaspróicz. Rangę uroczystości podniósł też swoją obecnością wiceprezydent Miasta Krakowa Bogusław Kośmider, który dokonał wręczenia honorowych odznak Honoris Gratia zasłużonym członkom POLART-u, Barbarze Korcie-Wyrzyckiej oraz mecenasowi Januszowi Pankowi.

Niestety nie zdążył z wręczeniem medali Gloria Artis - przyznanych należącym do stowarzyszenia artystom, Markowi Sołtysikowi i Adrianowi Poloczowski - wicepremier i Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotr Gliński. Otrzymały je również, acz w drugiej kolejności, pianistka prof. Renata Żelobowska-Orzechowska i altowiolistka Bogusława Hubisz-Sielska, zaś wręczenie zaplanowano na dzień 19 kwietnia 2020 w Zamku Królewskim w Niepołomicach podczas otwarcia VIII Międzynarodowego





Joanna Krupińska-Trzebiatowska



prof. Józef Lipiec

Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy - Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze".

Wracając do uroczystości, jaka odbyła się 15 listopada 2019 w Wilii Decjusza, trzeba podkreślić, że wszystkie wystąpienia koncentrowały się wokół historii POLART-u. Mówili o niej profesorowie Bolesław Faron i Józef Lipiec, a także doktor Andrzej Zdebski, syn niezjących już współzałożycieli Stowarzyszenia Twórczego POLART Eugenii i Zbigniewa Zdebskich, a wreszcie sam inicjator i pomysłodawca powołanej w 1989 roku do życia organizacji Janusz Trzebiatowski, który pełnił funkcję jej prezesa aż do 2010 roku.

Profesor Bolesław Faron, wiceprezes POLART-u w poprzedniej kadencji, a w obecnej członek Zarządu, mocno akcentując misję promowania sztuki najnowszej, jaka przyświecała utworzeniu Stowarzyszenia Twórczego POLART, zauważył, że o ile w pierwszym dziesięcioleciu swojego istnienia był on zdominowany przez środowisko plastyczne, realizujące swoje potrzeby głównie poprzez działalność wystawienniczą, organizację wielkich i małych Salonów Sztuki, to na przestrzeni kolejnych dwudziestu lat podlegał licznym przeobrażeniom, a w szczególności zmieniał się jego charakter z monolitycznego na coraz bardziej interdyscyplinarny, gdyż wśród członków, których liczba dynamicznie się zwiększała,





Bolesław Faron

Andrzej Zdebski

zaczęli pojawiać się również poeci i pisarze, a w dalszej kolejności także muzycy, co z kolei zaowocowało szeroko zakrojoną działalnością festiwalową.

Faktem jest, przyznała prezes Joanna Krupińska-Trzebiatowska, że począwszy od 2013 roku Stowarzyszenie Twórcze POLART zrealizowało siedem edycji Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy - Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" oraz dwa kolejne, również międzynarodowe, festiwale POLART 2016-2017 i POLART 2018.

Profesor Lipiec natomiast odniósł się głównie do roli, jaką pełnią na rzecz kultury wszystkie, najszerzej rozumiane organizacje pozarządowe, a w tym POLART i że ludzie, a szczególnie artyści odczuwają potrzebę zrzeszania się i dzielenia z innymi swoją sztuką.

W przerwie koncertu odbyła się też promocja niezwykle obszernej, blisko siedmiuset stronicowej *Monografii XXX-lecia*, jaka wyszła spod pióra prezes Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej i opatrzona została przez autorkę wiele mówiącym tytułem *POLART Moja miłość*.

Sporo uwagi poświęcono też promocji kolejnego, trzydziestego piątego numeru *HYBRYDY*, podkreślając, że również pismo, którego pierwszy numer ukazał się w 1998 roku, świętowało dopiero co jubileusz dwudziestolecia swojego istnienia.

Wieczór zakończył się tradycyjną lampką wina w piwnicach Wilii Decjusza, gdzie zaprezentowała zgromadzonym, a następnie podpisywała swoją premierową płytę "Chopin" Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska.



prof. Dominika Kasprawicz, odznaczana Barbara Korta-Wyrzycka i wiceprezydent Bogusław Kośmider



Renata Żelobowska, Mariola Sternhal, Marta Patena i za nimi odznaczony Honoris Gratia mec. Janusz Panek





## ŚWIAT MUZYCZNY ŻEGNA KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Krzysztof Penderecki wielokrotnie, zwłaszcza w muzyce sakralnej, opowiadał się po stronie wolności, jak choćby tuż przed wydarzeniami sierpnia 1980 roku komponując *Te Deum* na cześć nowo wybranego papieża Jana Pawła II, a także *Polskie Requiem*, które co prawda ostateczny kształt uzyskało dopiero w 1993 roku, ale jego najstarsze części to *Lacrimosa* powstała w 1980 roku na zamówienie Lecha Wałęsy i skomponowane na wieść o śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego *Agnus Dei* (1981).

*Pasję wg. św. Łukasza* Penderecki skomponował na zamówienie radia Westdeutscher Rundfunk dla uczczenia siedemsetlecia katedry w Münster. Tam też odbyło się jej prawykonanie 30 marca 1966 roku pod batutą Henryka Czyża, na które zjechało blisko siedemdziesięciu dziennikarzy z całego świata, a ponadto nuncjusz papieski, biskup Münster i dyrektor Westdeutscher Rundfunk!

Nie bez znaczenia dla powstania dzieła była również zbliżająca się rocznica tysiąclecia chrztu Polski. Czyż pracując z Chórem i Orkiestrą Filharmonii Krakowskiej poprowadził wszystkie polskie prawykonania *Pasji* – 22 kwietnia 1966 roku w Filharmonii Krakowskiej, 10 czerwca na dziedzińcu Zamku na Wawelu, a 24 września podczas Warszawskiej Jesieni. *Pasja wg. św. Łukasza* uznana zostało za arcydzieło i na stałe wpisała się w repertuar koncertowy, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

Jak pisał Mieczysław Tomaszewski „w chwili, gdy Krzysztof Penderecki zdecydował się skomponować *Pasję* miał lat niewiele ponad trzydzieści. Ostatnie pięć lat życia przyniosło mu miejsce naczelnego w nurcie nowej awangardy. Stał za tym



światowy sukces *Trenu* i spektakularne powodzenie serii dalszych partytur naznaczonych radykalnym sonoryzmem. I w tym momencie odważył się opuścić pole, na którym odniósł zwycięstwo. Ekstremalne środki wyrazu zdobyte dotychczas postanowił zużyć dla celów wyższych niż ekspresja dla ekspresji. Odważył się przy tym, równocześnie, zmierzyć z dwoma dalszymi wyzwaniem. Jako pierwszy z kompozytorów części świata rządzonej przez komunistów nie zawahał się podjąć tematu sakralnego. I jako pierwszy kompozytor wieku XX-go odważył się nawiązać do gatunku *à genre* historycznego, którego wzorzec idealny stanowiła *Pasja według św. Mateusza*<sup>2</sup>.

Chociaż misteria pasyjne mają swoją tradycję sięgającą średniowiecza, Penderecki sięgnął do niedoścignionych wzorów Jana Sebastiana Bacha. Oczywiście opowiedział historię męki Pańskiej swoim własnym językiem muzycznym i traktując jej przesłanie w sposób zindywidualizowany i bardzo osobisty. Utwór przeznaczony jest na chór chłopięcy, trzy chóry mieszane, trzy głosy solowe (sopran, baryton i bas), recytatora i wielką orkiestrę symfoniczną.

Jak pisał Mieczysław Tomaszewski „należy hołd oddał Penderecki Bachowi, na tetrachordzie b-a-c-h opierając w znacznym stopniu strukturę dzieła (jedną z dwu skal 12-tonowych). Bachowską formę pasyjnego oratorium wypełnił muzyką, w której melodyka chorału gregoriańskiego, polifonia niderlandzka i faktura weneckich *chori spezzati* spotkały się dla ekspresywnego współdziałania z techniką dodekafoniczną, efektami aleatorycznymi i myśleniem sonorystycznym”.

Sam kompozytor o pasji pisał następująco: „zamierzeniem moim było odejście od relacji statycznej, od opowiadania wydarzeń ewangelicznych. *Pasja* w zamyśle jest dynamicznym, a niekiedy nawet drapieżnym przeżyciem”<sup>3</sup>.

Łaciński tekst zaczerpnął kompozytor przede wszystkim z *Ewangelii wg. Św. Łukasza*, wybierając fragmenty opisujące modlitwę w Ogroju, drogę i mękę Chrystusa aż po ukrzyżowanie, ale tekst uzupełniły fragmenty pochodzące z psalmów (*Miserere, In Te Domine speravi*), hymnów (*Pange lingua*), pieśni (*Ecce lignum crucis*), improperiów (*Popule meus*) i wreszcie jedna z najpiękniejszych i chyba najczęściej opracowywanych sekwencji - *Stabat Mater*. *Stabat Mater* zresztą początkowo funkcjonowało jako samodzielny utwór i stało się w pewnym sensie zaczątkiem *Pasji*. Wstrząsające jest wezwanie trzech chórów - *Christe!* - tworzące szeroki klaster. Penderecki łączy tradycję, nawiązując do tego, co w kulturze zachodniej najsilniej kojarzone jest z duchowością, czyli chorału gregoriańskiego, ze współczesnością, ze środkami, które wypracował w utworach nurtu sonorystycznego.

*Pasja* jest rozbudowanym utworem, jej wykonanie trwa blisko osiemdziesiąt minut i składa się z dwudziestu czterech odcinków. Kompozytorowi zależało na poruszeniu słuchacza, nie bał się także wprost mówić o przesłaniu utworu - „chodziło mi o to, aby nikt nie stał z boku. Każdy może być wciągnięty przez ów

tłum pasyjny, turbę, która domaga się ukrzyżowania Chrystusa, podobnie jak każdego dotyczy Odkupienie”<sup>4</sup>.

Dzieło to stało się pewnego rodzaju znakiem - obietnicą - i to zarówno w sensie głęboko chrześcijańskim, gdzie męka, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa jest ceną za odkupienie człowieka, jak również w znaczeniu bardziej przyziemnym, dając nadzieję, że czasy zniewolenia miną, a po nich nadejdzie lepsze jutro. A nadzieja umiera ostatnia.

Jak pięknie określił to obecny Rektor Akademii Muzycznej, prof. Stanisław Krawczyński, Penderecki „przez 15 lat pełnił funkcję Rektora krakowskiej Uczelni, stając się, w trudnym czasie wszechobecnej indoktrynacji politycznej, osłoną, za którą mogliśmy rozwijać się w rzeczywistych wartościach prawdy i piękna”<sup>5</sup>.

Śmierć wielkiego kompozytora (29 marca 2020), który ostatnie swoje lata spędził w miejscu najbliższym sercu - w swojej ostoi w Lusławicach, doglądając owoców swoich dwóch wielkich pasji - Centrum Muzyki (powstałego przy wsparciu Funduszy Europejskich w 2005 roku), a także przepięknego arboretum, pełnego rzadkich gatunków drzew, które kompozytor szczególnie ukochał, zbiegła się z okresem wielkopostnym. Łączymy się w żalu z rodziną i bliskimi współpracownikami Mistrza, ubolewając nad tym, że dzisiaj zabraknie wśród nas Wielkiego Człowieka i Wielkiego Kompozytora, który ten chrześcijański znak potrafił zawrzeć w dźwiękach i zbudować dzieło, które swoją siłą jest w stanie poruszyć słuchacza do głębi i dać mu wiarę i nadzieję na przetrwanie trudnego czasu.

Z wielkim żalem wszyscy, którzy chcieliby złożyć należyty hołd Mistrzowi, będą musieli czekać do zakończenia okresu pandemii. Urna z prochami kompozytora do czasu pochówku w Panteonie Narodowym na Skałce będzie znajdowała się w krypcie bazyliki św. Floriana w Krakowie.

## ***Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska***

### Przypisy:

1. Krzysztof Penderecki - *Pasja wg. Św. Łukasza*, [https://nina-tekta.pl/audio/krzysztof-penderecki-fragmenty-z-pasji-wg-w-lukasza-stabat-mater-aksamitna-kurtyna-2, dostęp 10.04. 2020 r.].
2. Mieczysław Tomaszewski, *Penderecki Krzysztof - Pasja według św. Łukasza*, [http://beethoven.org.pl/encyklopedia/penderecki-krzysztof-pasja-wedlug-sw-lukasza/, dostęp 10.04.2020 r.].
3. *Pasja według św. Łukasza*, [https://culture.pl/pl/dzielo/krzysztof-penderecki-pasja-wedlug-sw-lukasza, dostęp 10.04.2020 r.].
4. Krzysztof Penderecki, cyt. za Mieczysław Tomaszewski, *op.cit.*
5. Stanisław Krawczyński, wpis w księdze kondolencyjnej, [https://www.amuz.krakow.pl/ksiega-kondolencyjna-dedykowana-prof-dr-h-c-krzysztofowi-pendereckiemu/, dostęp 10.04. 2020 r.].



Bolesław Faron - Würzburg Starówka

## BOLESŁAW FARON

### OSTATNIE DNI LATA W BAWARII

Wyjazd do Bawarii przypomniał mi mój pierwszy pobyt w najbardziej na południe wysuniętym kraju związkowym Niemiec. Był to początek sierpnia 1968 r. Wówczas w Erlangen odbywał się Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studenckich, na który został zaproszony z Krakowa Teatr 38 założony przez Waldemara Krygiera w 1957 r. Jako kibicujący studenckiemu ruchowi teatralnemu adiunkt w Katedrze Historii Literatury Polskiej ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (dzisiaj Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie) zostałem zaproszony przez współpracujących z tą sceną Jana Pieszczachowicza i Jana Güntnera do udziału w tej wyprawie. Festiwal trwał kilka dni, odbywały się przedstawienia i sympozja, dyskusje o kulturalnym ruchu studenckim. Z naszej strony referat o teatrach studenckich Krakowa, napisany wspólnie z Janem Pieszczachowiczem wygłosił w języku niemieckim Jan Güntner.

Zarówno owe sympozja, jak i spektakle teatralne przyjmowane były bardzo emocjonalnie. Pamiętam, że niewiele brakowało, by jakieś rumuńskie przedstawienie zostało zerwane. Podobnie burzliwie była przyjęta, przynajmniej na początku, nasza propozycja. Teatr 38 wystąpił z adaptacją opowieści Güntera Grassa *Kot i mysz*, której dokonał i wyreżyserował Jan Güntner, a scenografię opracował Jan Kaiser. Występowali m.in. Bogdan Gumowski (Mahlke), Jerzy Piekarczyk (Pilentz), Andrzej Kopel (Sonntag), Jerzy Cnota (Schilling), a wśród kobiet Barbara Jasińska (matka) i Halina Mikietyńska (ciotka). Przedstawienie rozgrywało się na dwóch poziomach, na deskach scenicznych i w zawieszonej nad sceną sieci rybackiej. Jego początek spotkał się z dość nieprzychylnym przyjęciem przez niemiecką młodą widownię. Pojawiły się gwizdy, tupanie, okrzyki: „To jest teatr?”. Zwłaszcza kiedy aktor, chyba Jerzy Cnota, zastanawia się, gdzie sobie powiesić krzyż wojenny i jednym z miejsc, do których go przymierza, są strefy intymne. Wówczas tumult stawał się coraz silniejszy. Do czasu. W pewnym momencie do siatki skacze Andrzej Kopel (Sonntag), siatka się urywa, aktor spada



i nieprzytomny leży na scenie. Przedstawienie zostaje przerwane, zasuwana się kurtyna. Pojawia się lekarz. Na szczęście obrażenia Kopela okazały się niegroźne i po trzydziestu minutach spektakl zostaje wznowiony. Sonntag ponownie skacze do siatki, sala zamarła, a potem, gdy okazało się, iż się nie zerwała, rozległy się frenetyczne brawa, potem na sali zaległa cisza, która trwała do końca przedstawienia. Okazało się, że słabe zamontowanie siatki to był po prostu sabotaż.

Ponieważ była to pierwsza podróż teatru na Zachód, zostaliśmy poinformowani przez oficera UB przed wyjazdem, jakie mogą na nas czyhać niebezpieczeństwa. Pouczał nas, z kim mamy nie wchodzić w kontakty. Ze strony niemieckiej mieliśmy zaś stałego opiekuna, który zawsze nam towarzyszył. Był to bodajże jakiś autochton bądź Niemiec z Górnego Śląska, gdyż mówił biegle po polsku. Jego zadaniem było przekonanie nas, że nie wszyscy Niemcy są źli, zaś za wojnę i zbrodnie odpowiadają naziści. Zorganizowano nam zresztą bogaty program poznawczy, m.in. wizyty w kompleksie Siemens. Widać było, że gospodarzom zależało na tym, by studenci zza żelaznej kurtyny wynieśli jak najlepsze wrażenia z pobytu w NRF. Sami zaś, w mniejszym gronie, zorganizowaliśmy wyprawę do Monachium, w jedną stronę autostopem, a powrót koleją z powodu ulewnego deszczu. Bardzo ciekawiła nas w stolicy Bawarii m.in. ulubiona piwiarnia Hitlera Hofbräuhaus am Platzl, w której wypiliśmy po tradycyjnym litrze ciemnego piwa. Jako ciekawostkę warto przypomnieć, że w Erlangen spotkaliśmy Dario Fo, który w 1997 r. otrzymał nagrodę literacką Nobla. Na festiwal przyjechał bodajże z zespołem Teatro di Parma. Do kraju wracaliśmy pociągiem z przesiadką w Pradze. Tu mieliśmy bodajże sześć godzin przerwy, gdyż skład do Krakowa odjeżdżał dopiero wieczorem. Tradycyjnym szlakiem turystycznym doszliśmy do pomnika Jana Husa na Rynku Staromiejskim. Były to gorące dni w Pradze na początku sierpnia 1968 r. Koło monumentu tłumy młodzieży czytającej jakieś manifesty. Kolejarze na dworcu sugerowali nam, szybko wyjeżdżajcie. Tu będzie gorąco. Pod koniec sierpnia kraje socjalistyczne udzieliły Czechosłowacji „bratniej pomocy”. W moim domowym archiwum pozostały gazetki, ulotki, którymi nas obdarowywano podczas tych manifestacji w Pradze.

## 8 września 2019 r. Kraków

Lotnisko Balice. Odlot o 13.10, opóźniony o 15 minut. Od rana pada. Pochmurno. Przed startem samolotu przejaśnia się nieco. Lecimy Lufthansą. Na pokładzie głównie obcokrajowcy, Polaków mało. Starsze, doświadczone stewardesy podają ciastko i napoje. Po godzinie i dwudziestu minutach lądujemy w Monachium. Do centrum, na Dworzec Główny, można się dostać szybką koleją, na którą bilety

trzeba kupić w automacie. I tu zaczynają się problemy. Automat przyjmuje banknoty, natomiast końcówkę trzeba płacić drobnymi, których nie mamy. Na szczęście zainteresowany naszą konsternacją tubylec przychodzi z pomocą, rozmienia pięć euro. Ruszamy do centrum. Towarzyszy nam w pociągu. Kontynuujemy rozmowę. Okazuje się, że urodził się w Algierii. W wieku czterdziestu lat wyemigrował do Monachium. Mieszka tu już dwadzieścia lat. Jest szczęśliwy. Jako muzułmanin nie lubi ortodoksji religijnej, stąd jego decyzja o opuszczeniu kraju. W młodości spotykał się tam z Polakami. Znał profesora fizyki na uniwersytecie, lekarzy, inżynierów. Wyraża się o nich w superlatywach. Byli też – wspomina – specjaliści z Jugosławii, Czechosłowacji. Z polskich piłkarzy wspomina Grzegorza Lato, zna oczywiście Lewandowskiego i Piątka. Podróżował do Polski, był w Warszawie. Narzeka na odradzający się w Niemczech nacjonalizm. Jest dobrze zorientowany w sytuacji politycznej w Polsce.

Po zakwaterowaniu w hotelu Belle Blue przy położonej niedaleko Dworca Głównego Schillerstrasse, udajemy się na wieczorny spacer po deszczowej stolicy Bawarii. Pierwsze wrażenie: ogromna ilość emigrantów, reprezentujących różne kolory skóry, różne religie, różne narodowości. Zresztą właściciel naszego hotelu i jego pracownicy też nie są Niemcami. Efekty polityki migracyjnej Angeli Merkel w Monachium chyba są najbardziej widoczne.

Bawaria jest krajem katolickim. Podczas pierwszego, rekonesansowego spaceru zachodzimy do zgromadzonych w Starym Mieście świątyń. Kościół św. Michała, dawne kolegium jezuickie, od 1921 r. znów przynależy do zakonu. Wybudowany w XVI w., w latach 1580–1597 w stylu rzymskiego renesansu, wypełniony barokowymi ołtarzami. Dziś wieczorem w kościele pusto, dwóch, trzech turystów, leniwie przyglądających się sklepieniu budowli i wyposażeniu wnętrza. Z dostępnego prospektu dowiadujemy się, że oprócz liturgii odbywają się tutaj koncerty muzyczne, wykłady i kursy dla szerokiej publiczności. Nieco dalej, na Placu Mariackim, kościół św. Piotra, wyróżniający się wieżą z hełmem przypominającym buddyjską stupę. Najstarsza świątynia w centrum, zbudowana w XII w., wystrój wnętrza jak w wielu budowlach gotyckich – barokowy. Zwracają uwagę sklepienie z plafonowymi freskami oraz pozłacane figury świętych z XVII w. Niedaleko stąd, przy Viktualienmarkt kościół św. Ducha, zbudowany na początku XIII w. jako świątynia szpitalna. Obecnie reprezentuje styl eklektyczny, z przewagą baroku. I jeszcze katedra z górującymi nad miastem wieżami, kościół mariacki przy Frauenplatz. Monachium podczas wojny uległo zniszczeniu tylko w 20%, inaczej niż inne miasta Niemiec, jak Drezno czy Norymberga. Bomby jednak nie ominęły katedry. Odbudowa trwała latami.



To symbol miasta, jedna z największych świątyń. Mieści się w niej 20 tysięcy wiernych. Powstała w XV w. w stylu gotyckim, ale teraz, po rekonstrukcji, wystrój wywołuje wrażenie chłodu. Od XVIII w. pełni ona rolę katedry arcybiskupa. Przewodnik po kościołach w centrum wymienia jeszcze kościół św. Kajetana [Theatinerstrasse 22], monumentalną budowlę z XVII w., w stylu baroku, Bürgersaalkirche [Neuhauserstr] z XVIII w. i kościół św. Jana Nepomucena [Sendlinerstr. 32]. Jak na wielkie Stare Miasto obiektów sakralnych sporo.

Po tej porcji wrażeń duchowych, wrażeń estetycznych, kontemplacji różnych stylów architektury z różnych epok, czas na typową bawarską piwiarnię Hofbräuhaus am Platzl, piwiarnię, którą – jak wcześniej wspomniałem – po raz pierwszy zobaczyłem w 1968 r. Niewiele się tutaj zmieniło. Jak dawniej drewniane ławy i stoły, jak dawniej muzykanci w bawarskich strojach grają muzykę ludową, jak dawniej mnóstwo turystów, z tą może różnicą, że dzisiaj przeważają turyści z Azji (Chińczycy, Japończycy, Koreańczycy). Nie zmieniło się też menu. Jak wówczas tłuste dania mączne, mięsne, z tradycyjną bawarską pieczoną golonką i gotowanymi białymi kielbaskami, podawanymi w wodzie, w specjalnych naczyniach. Sala powoli wypełnia się turystami, kelnerzy usadzają grupę obok grupy. Porządek musi być. Zjadamy kielbaski i pijamy kuflem pszenicznego piwa.

## 9 września 2019 r. Orle Gniazdo

O godz. 8.30 wyjazd autobusem z okolic Dworca Głównego do Orlego Gniazda, siedziby Hitlera na pogórzcu Berchtesgaden, Kehlsteinhaus zbudowanej na wysokości 1834 m.n.p.m. jako prezent NSDAP na 50. urodziny wodza. Pomysłodawcą i szefem realizacji projektu był Martin Bormann. Obiekt i 6,5 km droga powstały w ciągu 3 miesięcy, a koszt w przeliczeniu na euro to 150 milionów. Otwarto go w 1938 r. Miała to być siedziba do podejmowania dyplomatów i głów państwa. Hitler – według opowieści przewodników – był tu zaledwie dziesięć razy i to krótko, po około trzydzieści minut, tłumacząc, że źle się czuje na wysokości.

Po ponad dwóch godzinach jazdy dotarliśmy autobusem na parking, gdzie najpierw skierowano nas do zwiedzania Dokumentation Oberzalzberg, czyli po prostu centrum dokumentacyjnego nazizmu. W kilku pomieszczeniach zbudowanych w miejscu dawnego Berghofu, rezydencji Hitlera, przedstawiono historię III Rzeszy, portrety jego wysokich funkcjonariuszy wraz z życiorysami. W naszej grupie głównie turyści zagraniczni, z przewagą Chińczyków i Japończyków. Jest dwóch Niemców ze Stanów Zjednoczonych, którzy wszystko fotografują. Z kolei przemierzamy się do podziemnych schronów, zbudowanych w 1944 i 1945 r. Zwraca uwagę ich rozmach, wielofunkcyjność, osobne pomieszczenia dla prominentów. W okolicy



Orle Gniazdo

stacjonowały oddziały SS, a dygnitarze Hitlera wybudowali swoje rezydencje.

Z parkingu do Orlego Gniazda dowożą nas ze względu na wąską drogę z licznymi zakrętami małymi busami. Stąd jeszcze 124 m tunelem do luksusowej windy, która pokonuje 124 m w 41 sek. Budowla dziś w całości przeznaczona na lokal gastronomiczny. Wszyscy turyści w środku, gdyż na górze zimno, 8°C, wiatr, mgła, która ogranicza piękne widoki. Przewodniczka zwraca uwagę na położone w dole rezydencje Bormanna i Göringa, zamienione dziś na luksusowe hotele, na подарowany przez Mussoliniego kominek, na zdjęcie Hitlera na tarasie, które wzbudza zaciekawienie turystów. Na zewnątrz małe alpejskie kawki...

## 10 września 2019 r. Monachium

Przy pięknej pogodzie spacer do muzeów sztuki: Alte Pinakothek, Neue Pinakothek i Pinakothek der Moderne. W Starej Pinakotece, najbardziej znanym muzeum w Monachium, wymienianym jednym tchem obok Luwru, Prado czy Ermitażu, jako najcenniejsze muzeum (budynek powstał w pierwszej połowie XIX w), a dzisiaj w salach wystawowych pusto. Nieliczni turyści leniwie snują się od obrazu do obrazu. Oprócz stałej ekspozycji na parterze, w kilku salach wystawa wybranych



Ratusz w Monachium

dział sztuki z Nowej Pinakoteki, gdyż znajdujący się obok gmach przechodzi gruntowny remont i jest niedostępny dla zwiedzających. Oglądamy sale niemieckich mistrzów, a wśród nich dzieła Albrechta Dürera z jego *Czterema apostołami* i *Autoportretem* przypominającym postać Jezusa. Jest to bodajże największy zbiór dzieł malarza, poza wiedeńską Albertiną, która posiada bogatą kolekcję grafik malarza. W kolekcji malarstwa holenderskiego i flamandzkiego wyróżnia się ponad 60 obrazów Rubensa, a wśród nich ogromny *Sąd ostateczny* czy *Rzeź niewiniątek*. Uczeń Rubensa van Dyck też jest bogato reprezentowany, przykuwa uwagę też *Cykl pasyjny* Rembrandta.

Nie jestem fanem sztuki współczesnej, nie wywołują we mnie wzruszeń różnego rodzaju instalacje, eksperymenty z przestrzenią, ciałem ludzkim, aczkolwiek w Krakowie odwiedzam galerię Mocak i od czasu do czasu znajduję tu ekspozycję, która mnie porusza. Toteż do Pinakothek der Moderne poszedłem zaciekawiony przede wszystkim architekturą tego nowoczesnego, oddanego w 2002 r. budynku. Mieści się on tuż koło Starej Pinakoteki po drugiej stronie Barestr. Przewodniki

turystyczne podają, że jest to jedno z największych muzeów na świecie sztuki współczesnej (12 tys. m<sup>2</sup> powierzchni) i prawie pół miliona eksponatów. Rzeczywiście, budynek imponuje przestrzenią, w holu głównym rytmicznie porusza się wahać Foucaulta, na pierwszej kondygnacji wystawy okresowe artystów z różnych krajów świata, ze Stanów Zjednoczonych, Belgii, Izraela. W osobnych pomieszczeniach dzieła twórców sztuki XX w., niemieckiego ekspresjonizmu (Max Ernst), nadrealizmu, obrazy Picassa, Salvadora Dali. Ta część galerii zatrzymuje mnie dłużej. Dzień spędzamy w muzeach na kontemplacji sztuki. Wstępy ze zniżką znacznie tańsze niż np. w Wiedniu, gdzie poniżej 10 euro ulgowego biletu do Muzeum Historii Sztuki się nie kupi, tutaj, do Starej Pinakoteki kosztuje 5 euro, a do Pinakoteki Modernizmu 7. Dzień dobiega końca. Czas na odpoczynek, na powrót do hotelu.

### 11 września 2019 r. Zamki Ludwika II Bawarskiego

Moje zainteresowanie zamkami Ludwika II Bawarskiego wzrosło po lekturze wydanej w Polsce w 1997 roku



jego biografii pióra Jeana des Carsa. Jeden z nich, a mianowicie Herrenchiemsee zobaczyłem pod koniec lat 90. ub. w. podczas wakacji spędzonych w Rumpolding w ośrodku wypoczynkowym władz miasta Norymberga. Na tym największym w Bawarii jeziorze znajdują się dwie wyspy. Na jednej z nich Ludwik II wznosił zamek, który – wg jego zamysłów – miał przewyższyć swoim rozmachem Wersal. Brak środków uniemożliwił jednak realizację tego pomysłu. W zorganizowanej grupie zwiedzaliśmy neobarokową rezydencję, która imponuje rozmachem, liczącą 100 metrów Wielką Lustrzaną Galerię, małą Niebieską Sypialnię, niezwykle lustrzane klatki czy windę podającą posiłki do stołowego.

Dzisiaj, podobnie jak dwa dni wcześniej, z okolic Dworca Głównego udajemy się na wycieczkę do dwóch pozostałych zamków „szalonego króla”: Linderhof i Neuschwanstein. Na obie wyprawy bilety zakupione przez internet w cenie po 70 i 80 euro. Najpierw nasz autobus kieruje się do urokliwej doliny w górach Ammergan, gdzie w odludnym miejscu wznosi się zamek Linderhof. Dzisiaj sporo turystów. Tym razem przeważają Niemcy. W parku wokół rezydencji, przy kaskadach roi się od zwiedzających, którzy fotografują obiekty. Za zamkiem ogromnych rozmiarów dźwig – żuraw wykonujący jakieś prace remontowe. Wejście do środka w zorganizowanych grupach, które prowadzi przewodnik opowiadający w języku niemieckim historię Niemiec drugiej połowy XIX w., biografię Ludwika II i dzieje pałacu. Dowiadujemy się od niego, że wzniesiono go w latach 1874–1878, że król często korzystał z tego barokowego pałacu, rozkoszując się ciszą, spokojem, jaki tu panował. Zwraca uwagę doskonała harmonia tej budowli i swoisty przepych wystroju poszczególnych, nazbyt obszernych pomieszczeń z wysokimi stropami. Stosunkowo szybko przemykamy przez rokokowe sale, gdyż po piętach depcze nam już kolejna grupa. niewiele czasu zostaje na spacer wokół obiektu, po parku pełnym sztucznych kaskad, złożonych figur, przystrzyżonych trawników czy budowli jak Grota Wenus czy Dom Marokański. Zarówno pałac, jak i liczący 52 ha park tworzą harmonijną całość, gwarantującą możliwość pełnego wyciszenia.

Autobusem przemierzamy się do dzielnicy Hohenschwangau w pobliżu granicy z Austrią, gdzie na terenie gminy Schwangau mieści się najbardziej chyba znany zamek Ludwika II Bawarskiego Neuschwanstein. Od parkingu podchodzimy do umieszczonego na skale zamku trasą wśród lasu. Podejście trwa ok. 30 minut. Drogą kursują dorożki i małe busy.



Bolesław Faron na tle Neuschwanstein



Przed wejściem na dziedziniec łąk, strażnicy wpuszczają grupy według czasu oznaczonego na bilecie. Po wejściu do obiektu otrzymujemy audiobooki, które w sześciu językach informują o historii zamku, o tym, że król spędził w zamku tylko parę miesięcy, że zmarł jeszcze przed jego ukończeniem. Zamek ma coś w sobie z bajki, podobno Disney inspirował się nim w swoich projektach. Zarówno wygląd zewnętrzny, jak i wnętrza mają charakter eklektyczny, historycy sztuki nazywają to „romantycznym eklektyzmem XIX w.”. Z informacji z audiobooka dowiadujemy się, że budowla powstawała od 1869 r. jako wyidealizowany zamek rycerski. W odróżnieniu od pałacowego, przyjaznego wystroju, tutaj dominuje surowy, wzorowany na zamkach rycerskich. Była to pierwsza inwestycja budowlana Ludwika II, który objął rządy w 1864 r. Nie jestem w stanie wysłuchać wszystkich informacji zawartych w audiobooku, gdyż opiekujący się grupą pracownik dba o nasze tempo tak, aby nie utrudniało zwiedzania kolejnym. To jeszcze zapamiętałem, że król w nocy z 11 na 12 czerwca 1886 r. został zmuszony do opuszczenia Neuschwanstein, a 13 czerwca znaleziono go martwego w pobliskim jeziorze. To najczęściej zwiedzany obiekt w Bawarii, podobno ponad milion turystów rocznie.

W drodze powrotnej przewodniczka przypomina, że w Monachium funkcjonuje 46 muzeów, 47 teatrów, że po Nowym Jorku wydaje się tutaj najwięcej ksiązek i, że jest to najdroższe miasto w Niemczech. Mówi też o holocauście, o tym, że Hitler zrównał z ziemią w Monachium wszystkie synagogi.

### 12 września 2019 r. Monachium

Na obrzeża Monachium, ok. 5 km od centrum, udaję się tramwajem do dawnej rezydencji Wittelsbachów, zamku oraz ogromnego zespołu parkowo-pałacowego Nymphenburg. Rozpaczam od zwiedzania niewielkiego pałacu, nawiązującego do stylu włoskiego. Budynek – jak głośzą przewodniki – wzniesiony dla księżnej Adelajdy, żony elektora Ferdynanda Marii. Wrażenia. Jak ze wszystkich królewskich letnich rezydencji, stylizowany wystrój wnętrz, bogactwo, złocenia. Wyróżnia się rokokowa Wielka Sala, sala balowa czy Galeria Piękności z portretami najpiękniejszych mieszkanek Monachium. Z dzisiejszej perspektywy można mieć wątpliwości co do urody, przynajmniej niektórych z nich. Stereotypowe zwiedzanie z audiobookami przy uchu, inaczej niż w innych muzeach, tu można to czynić indywidualnie, bez śpiechu.

Więcej czasu poświęcam na zwiedzanie parku zbudowanego w dwóch stylach francuskim i angielskim. Ogromne przeszczenie z egzotycznymi drzewami, jezioro, liczne pawilony ze stylizowanym na architekturę Dalekiego Wschodu Pagodenburg. Doskonałe miejsce do wypoczynku, relaksu po miejskim tłumie.

Miejszem wypoczynku dla mieszkańców Monachium jest Park (Ogród) Angielski. Przed paru miesiącami TVN-Bis emitował program o jego historii, budowie, obecnym funkcjonowaniu. W założeniu miało to być miejsce wypoczynku dla ludu. I taką rolę pełni do chwili obecnej. Dzisiejszego popołudnia sporo mieszkańców Monachium i turystów odpoczywających na trawie, ktoś rozbił sobie nawet namiot, ktoś bawi się z dziećmi w jakieś gry, studenci dźwigają transportery piwa, które chłodzą w wodzie i potem na kocu degustują, rozprawiając przy tym zażarcie o polityce, nauce czy sporcie. Każdy zachowuje się swobodnie. Nie obowiązują żadne rygory.

Koniec sielankowego dnia. Spacer na Stare Miasto, na Plac Mariacki, pod Stary Ratusz. Tłumy turystów i mieszkańców Monachium. Obok uliczka ze sklepami z wyrobami bawarskimi, na każdej witrynie małe kielbaski i różnej wielkości golonki i inne wyroby wędliniarskie. Obok luksusowych magazynów na ulicach zebrzący bezdomni, kaleki epatujące swoim nieszczęściem. Kontrasty. Na Schillerstrasse, niedaleko hotelu, grupki Arabów przy ulicznym murku z puszkami piwa, jak na restauracyjnym stole, z radioodbiornikiem, z którego płynie ich rodzima muzyka. Nikt im nie przeszkadza, nikogo to nie razi.

### 13 września 2019 r. Monachium – Norymberga

O godz. 12.30 wyjazd Flixbusem do Norymbergi. Podróż, która miała trwać dwie godziny, wydłuża się przez korki na autostradzie o sześćdziesiąt minut. Mijamy Erlangen, o którym pisałem na wstępie. Flixbus to korporacja, która wykupiła PolskiBus i jego schludne, piętrowe autobusy kursują też po naszych drogach. Zakwaterowanie w hotelu Azymut, niedaleko Zamku i Starówki. Norymberga – oprócz Monachium – była ulubionym miastem Hitlera. Tutaj w latach trzydziestych zbudował zespół monumentalnych budowli, w których wygłaszał płomienne mowy, tutaj odbywały się pierwsze demonstracyjne parady nazistów, tutaj w 1935 r. uchwalono słynną ustawę norymberską, odbierającą Żydom wszelkie prawa obywatelskie. W odwecie 2 stycznia 1945 r. alianckie naloty zrównały Stare Miasto z ziemią, tu też po wojnie odbywał się proces zbrodniarzy wojennych. Toteż dzisiaj oglądamy odbudowane, nowe Stare Miasto, z nielicznymi zrekonstruowanymi (głównie sakralnymi i niektórymi budynkami publicznymi) zabytkami. Z hotelu przez górę zamkową, koło rekonstruowanych powoli murów starego, z XI w. Zamku, przechodzimy na Stare Miasto, na pełniący handlową funkcję Stary Rynek. Dzisiaj, po południu w piątek, gwarno tu i tłoczno przy rozłożonych straganach z różnego rodzaju pamiątkami, towarami, koło słynnej Pięknej Fontanny ulokowały się budy z jedzeniem i ławy, na których mnóstwo Bawarczyków i turystów z kufkami piwa w rękach i białymi kielbaskami na papierowych tackach.

Atmosfera jak na krakowskim kermaszu świątecznym, choć u nas wydaje mi się to wszystko bardziej eleganckie. Szczególna atmosfera panuje przy Tiergartnerplatz, obok murów obronnych i domu Albrechta Dürera. Na brukowanej nawierzchni tłumy młodzieży, głównie tutejszej, siedzą na bruku, rozmawiają, piją przyniesione z restauracji piwo lub wino, grają w karty. Stoliki wokół piwiarni na ogół puste. Tam zasiadają głównie turyści. Atmosfera typowa dla europejskiego miasta, zwłaszcza że sprzyja jej pogoda, ok. 30°C w ciągu tych ostatnich dni lata.

### 14 września 2019 r. Norymberga

Czym może być zainteresowany przede wszystkim w Norymberdze mieszkaniec Krakowa? Poszukiwaniem śladów Wita Stwosza. Mam nadzieję, że podczas dzisiejszego spaceru po mieście, podczas wizyt w tutejszych świątyniach uda się na nie natrafić. Pierwsze znajdujemy w najstarszym w mieście gotyckim kościele na bazie romańskiej zbudowanym, św. Sebalda, z grobowcem świętego w środku. Tu w ołtarzu głównym znajduje się grupa rzeźbiarska *Ukrzyżowanie* z 1520 r. oraz na bocznej ścianie figura św. Andrzeja z 1505 r. Następny ślad ręki autora ołtarza w Kościele Mariackim w Krakowie znajdujemy u św. Wawrzyńca. Tu nad głównym ołtarzem *Zwiastowanie*, grupa postaci z 1519 r. i jeszcze w Kościele Mariackim rzeźby ze szkoły Wita Stwosza. Nie jest tego wiele, jak na rodzinne miasto artysty. O ile w Monachium dominowały świątynie katolickie, to w frankońskiej Norymberdze protestanckie. Marcin Luter zachwycał się miastem.

Okazały dom Albrechta Dürera znajduje się przy ulicy jego nazwiska, pod numerem 39, niedaleko XVI w. wieży Tiergarten Tor. Artysta mieszkał w nim od 1509 r. Ten wybitny niemiecki grafik, malarz i teoretyk sztuki żył w latach 1473–1528. W tym domu spędził dwadzieścia lat, tutaj zmarł. Władze Norymbergi już w 1828 r. uczyniły obiekt miejscem pamięci o artyście, a od 1871 r. uruchomiły w nim muzeum. Dzisiaj zwiedzają obiekt nieliczni turyści. Można więc spokojnie, bez pośpiechu, przyjrzeć się zgromadzonym tu kopiom dzieł artysty, pomieszczeniom, jak kuchnia ze sprzętami z epoki, pracownia drzeworytów. To dobrze zorganizowane muzeum biograficzne, gdzie elementy nowoczesnej ekspozycji zostały skojarzone z tradycyjną formą muzeum.

Zaciekawiła mnie oferta zwiedzania średniowiecznych lochów pod Starym Ratuszem. Z tej półgodzinnej wędrowki po najstarszej części obiektu, podziemiach, rodzi się refleksja na temat zróżnicowania tortur, jakie stosowano w dawnych wiekach wobec złoczyńców. Obok cel, w których umieszczano przestępców, kuźnia, w której przygotowywano narzędzia

tortur, kuchnia i pomieszczenie ze studnią. W sumie ponure wrażenie.

Na zakończenie jeszcze spacer od Starówki w kierunku Dworca Głównego do murów obronnych i nowoczesnego gmachu Kunsthaus, mieszczącego norymberską galerię sztuki, po drodze mijamy Muzeum Narodowe. W tej części miasta, poza Starówką życie toczy się jakby w innym tempie, spokojnie, leniwie. Nie spotka się tutaj, jak w centrum, ani grajków ulicznych, ani narkomanów.

### 15 września 2019 r. Norymberga

W niedzielę przed południem miasto się wycisza. W kościołach nieliczni wierni. W Starym Mieście jakby mniej turystów, chociaż na Starym Rynku otwarte kramy, budy z jedzeniem i napojami. Z tarasu restauracji naprzeciwko kościoła św. Sebalda obserwujemy życie miasta. To dobry punkt widokowy. Jeszcze Muzeum Miejskie w tradycyjnej formie eksponujące historię Norymbergi i o godz. 15.45 znów Flixbusem wyjazd do Würzburga. Nocleg w B&B Hotel Würzburg na obrzeżach miasta. Małe, skromne pokoje, bardzo oszczędne śniadanie za siedem euro w supernowoczesnej restauracji.

### 16 września 2019 r. Würzburg

Rozłożone po obu brzegach Menu stare frankońskie miasto Würzburg różni się atmosferą od Monachium czy Norymbergi. Jest mniejsze (130 tys. mieszkańców), nie zauważymy w nim tylu turystów, ani imigrantów, co np. w stolicy Bawarii. Podobnie jak w wielu innych niemieckich miastach, również podczas drugiej wojny została zniszczona przez aliantów zabytkowa Starówka (16 marca 1945 r.). Chociaż starannie odbudowano większość zabytkowych obiektów, to jednak dominuje nowa zabudowa. Napotkani mieszkańcy z dumą oznajmniają, że tutaj urodził się Wilhelm Röntgen, odkrywca promieni X. Charakterystycznym dla tutejszego krajobrazu są winnice na wzgórzach na brzegach Menu. Od wieków średnich Würzburg jest miastem uniwersyteckim.

Sprowadza mnie tutaj konferencja naukowa na temat Uniwersytet i komunikacja, zorganizowana przez Polską Historyczną Misję w Uniwersytecie Juliusza Maksimiliana w Würzburgu oraz Instytut Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu przy współpracy z innymi niemieckimi instytucjami. Impreza odbywa się w dawnym pałacu biskupim Residenz w okazałej Sali Toskańskiej. Wszystkie przewodniki po mieście podkreślają, że jest to największy zabytek Würzburga, nie tylko w sensie kubatury, ale również w zakresie wartości estetycznej, architektonicznej, który świadczy o potędze, jaką dysponowali biskupi w XVIII

w. Rzeczywiście to ogromnych rozmiarów konstrukcja trój-skrzydłowa, jak i jej wnętrze, jak choćby wspinała klatka schodowa, Sala Cesarska, Sala Luster czy Sala Ogrodowa robi wrażenie. Na zewnątrz ogromna fontanna zwieńczona personifikacją Frankonii, z tyłu obiektu rozciąga się ogród pałacowy z pielęgnowaną roślinnością i rokokowymi rzeźbami. W takiej scenerii odbywa się wspomniana konferencja, a Sala Toskańska, aczkolwiek nieco skromniejsza od pozostałych, niewiele odbiega od nich swoją elegancją.

Udział w dwudniowej konferencji nie pozwala na bardziej szczegółowe zapoznanie się z zabytkami miasta, jak ratusz, liczne kościoły. Pozostaje wieczorny spacer po Alte Mainbrücke, najstarszym moście w mieście, bo wzniesionym w latach 1473–1543 na miejscu romańskiego. Ozdobiony barokowymi figurami świętych z XVIII w., trochę przypomina mi on Most Karola w Pradze z figurą Jana Nepomucena. Dziś w pogodny letni wieczór roi się tutaj od młodzieży, która, oparta o balustrady, z lampką wina czy kuflem piwa, spędza czas na żywych rozmowach. Nad miastem na zachodnim brzegu Menu góruje oświetlona twierdza Marienberg, a po przeciwnej stronie rozpościera się widok na Ratusz i katedrę, również oświetlone nocą.

Pierwszy dzień konferencji w Sali Toskańskiej pałacu Residenz, której pełny tytuł brzmiał: Uniwersytet i komunikacja. Kształcenie wyższe na ziemiach niemieckich i polskich jako fenomen transgraniczny (do 1939 r.) rozpoczęły wykłady prof. dr Wolfganga Wüsta z Uniwersytetu Friedricha Alexandra z Erlangen oraz dr Anny Tarnowskiej z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Dotyczyły one kwestii rozwoju regionalnych obszarów społecznych dzięki powstaniu ośrodków uniwersyteckich, historii uniwersalnych studiów w średniowieczu i wczesnej nowożytności oraz czarnej historii instytucji uniwersytetu w wyniku zmian politycznych w latach 30. w przedwojennych Niemczech i w Polsce.

W drugim zespole tematycznym zatytułowanym Między wiedzą a komunikacją wystąpiło trzech referentów: dr Katarzyna Pękacka-Falkowska z Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, prof. dr Wolfgang E.J. Weber z Uniwersytetu w Augsburgu oraz prof. dr hab. Agnieszka Ogonowska z Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie. Tematami ich referatów były: rozwój medycyny w XVII i XVIII w. w związku z kształceniem studentów z Rzeczypospolitej Obojga Narodów w Lejdzie, historia polskiej i niemieckiej nauki w latach 1850–1933 oraz Władysław Heinrich, polski Wilhelm Wundt. Twórca polskiej psychologii eksperymentalnej oraz prekursor behawioryzmu. Jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego wprowadzał na polski grunt nowe ustalenia psychologii i filozofii niemieckiej. Warto podkreślić, że referat prof. Ogonowskiej został przyjęty z dużą uwagą i aprobatą.

W trzecim tego dnia bloku tematycznym wystąpili dr Ulrich Schlegelmilch z Bawarskiej Akademii Nauk, dr Joanna Kodzik z Uniwersytetu w Lipsku oraz dr hab. Tomasz Pudłocki z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ich wystąpienia dotyczyły: korespondencji medycznej między Niemcami i Polakami w okresie nowożytnym, wymiany między przyrodnikami i relacji akademickich w Galicji i Austrii.

Dzień pierwszy konferencji zakończyły uroczystości z okazji dziesięciolecia Polskiej Historycznej Misji. O jej zasługach w organizacji współpracy polskich i niemieckich historyków mówił prof. dr hab. Andrzej Radziwiński, jej przewodniczący oraz prof. dr Udo Arnold z Uniwersytetu w Bonn, który skupił się na naukowej współpracy uczonych z Polski i Niemiec na przykładzie badań nad Zakonem Krzyżaków.

### **17 września 2019 r. Würzburg**

Ponownie w Sali Toskańskiej. Wymienię tylko występujących referentów: prof. dr hab. Andrzej Kopiczko z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, dr Aleksandra Ziober z Uniwersytetu Wrocławskiego, dr Iwona Dadej z Instytutu Historii PAN, prof. dr Matthias Asche z Uniwersytetu w Poczdamie, prof. dr hab. Witold Molik z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prof. dr Matthias Stickler z Uniwersytetu w Würzburgu, David Stellmacher z Uniwersytetu w Poczdamie, dr Sabrina Lausen z Uniwersytetu w Paderborn. Poruszono w dzisiejszych wystąpieniach m.in. kwestie wymiany myśli naukowych między obu krajami, wyjazdów naukowych, zagranicznej edukacji polskiej szlachty (Sapieha), kontaktów międzywojennych uczonych, historii polsko-niemieckiej kultury studenckiej.

Myślę, że konferencja spełniła swój cel, a było nim ukazanie wzajemnych inspiracji naukowych na przestrzeni dziejów, wymiany studentów (głównie wyjazdu polskich na zachód), przenikania nowinek naukowych. Szło też o podkreślenie roli uniwersytetów obydwu krajów w tych procesach, roli poszczególnych, zwłaszcza wybitnych, uczonych. Wszystko to wskazuje, że Polska Misja Historyczna, choć funkcjonuje dopiero dziesięć lat, spełnia ważną rolę w rozwoju nauki o trudnej nieraz historii obu krajów.

### **18 września 2019 r. Würzburg – Kraków**

Dzień powrotu do Krakowa. Flixbusem do Frankfurtu nad Menem. Prawie całkiem zautomatyzowana odprawa na lotnisku, nawet banderole na bagaż wydaje automat, ścisła kontrola bezpieczeństwa, drobne zakupy w tzw. sklepie bezcłowym. Polska kasjerka życzy szczęśliwej podróży. I odlot Lufthansą do Balic.



## JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA



## ZBRODNIA

/fragment powieści/

Z *Dziennika* Ewy Rosenfeld wyłaniał się świat hitlerowskich Niemiec lat 30-40.

Hitler poruszający się sześcioosobowym kabrioletem Mercedes-Benz 770, przemawiający w gmachu opery Krolla przysposobionym do obrad parlamentu po pożarze Reichstagu, dokąd zabrał ją pewnego dnia Bergmann, chcąc jej pokazać jaki jest ważny.

Szeroko komentowany proces Marinusa van der Lubbe oskarżonego o podpalenie Reichstagu i ściętego na gilotynie 10 stycznia 1934 roku oraz protesty nauczycieli akademickich zarzucających, że prawo, *Lex van der Lubbe*, nie może działać wstecz.

Ustawy norymberskie chwalone na pospiesznie zwołanym posiedzeniu Reichstagu w Norymberdze i antysemicka histeria.

Wystawy „Wieczny Żyd” i „Bolszewizm bez maski” w gmachu Reichstagu.

A wreszcie wstrząs, jaki w środowisku akademickim wywołało mianowanie Hitlera kanclerzem Rzeszy, bo z tą chwilą przestano wierzyć, że nazizm jest zjawiskiem przejściowym.

Gestapo – Geheime Staatspolizei – wyposażone w uprawnienia do prowadzenia dochodzeń w sprawie zdrady, szpiegostwa, sabotażu i ataków na partię nazistowską i Niemcy, poza jakąkolwiek kontrolą sądową.

Ewa Rosenfeld ujawniła, że studiując w Berlinie spotykała się przez krótki okres z Rudolfem Bergmannem potajemnie, za plecami niczego nie podejrzewającego Maurycego Reinhardta, z którym od pewnego czasu była już zaręczona oraz że, podczas gdy on pilnie studiował medycynę w Szwajcarii, ona odwiedzała berlińskie kawiarnie, nocne lokale i kabarety. Miała diaboliczny temperament, a Bergmann niezwykle urok osobisty, a przy tym czuła do niego nieodparty pociąg fizyczny.

Była kobietą wolną i w pełni wyemancypowaną, doskonale

wykształconą i przygotowaną do podjęcia zawodu prokuratora lub sędziego – niebawem też miała przystąpić do egzaminu asesorskiego, lecz nie zamierzała ubiegać się o to stanowisko, gdyż wiązałoby się to z koniecznością wstąpienia do NSDAP. Co więcej została wychowana w duchu angielskiej niezależności, gdyż jej matka w czasach swojej młodości wyraźnie sympatyzowała z sufrażystkami. Tymczasem w nazistowskim światopoglądzie Bergmanna nie było miejsca dla samodzielnej aktywności seksualnej kobiety i z chwilą, gdy poszła razem z nim do łóżka zaczął uważać ją za swoją własność i nalegać na ślub. Miała rodzić dzieci, dużo dzieci, co najmniej czworo i wychować je tak, aby były zdolne do prowadzenia wojny. Rozstała się z nim, gdy powiedział, że niepełnosprawne, chore lub kalekie noworodki należy uśmiercać zaraz po urodzeniu.

– Tak jak w Sparcie? – zapytała, sądząc, że on żartuje.

Nie żartował. Mówił całkowicie poważnie i był gotowy do realizowania polityki partii, do zabijania też, ale o tym, że brał czynny udział w Nocy długich noży, jej nie powiedział. Dopiero na weselu swego brata Klause Bergmanna, po wypiciu znacznej ilości alkoholu wygadał się przypadkiem, że ma krew na rękach jednego z homoseksualistów, którego udało mu się wyprawić na drugi świat. Wtedy też opuściła go ostatecznie i wyjechała bez słowa. Przykro jej było tylko z powodu uroczej narzeczonej Klause Bergmanna, Katheriny Weimann, do której w czasie swojego bardzo krótkiego pobytu w jej rodzinnej rezydencji poczuła wyraźną sympatię i miała nadzieję się przyjaźnić.

Katherina Weinmann w głębi ducha była zagorzałym wrogiem nazizmu, do czego przyczynił się jej ojciec, przeciwnik pruskiego militarysty i pociotek Württembergów, potężnego rodu, do którego należał zamek w Ludwigsburgu. Co więcej, z całego serca nienawidziła swego szwagra Rudolfa Bergmanna. Ogromnie natomiast spodobała się jej piękna i mądra prawniczka Ewa Rosenfeld. Nie obraziła się bynajmniej z powodu jej nagłego zniknięcia, a co więcej korespondowały ze

sobą później przez dłuższy czas, niemal do wybuchu wojny.

Spotkały się tylko jeden, jedyny raz i to przypadkiem w Neusschwanstein, w zamku szalonego króla Ludwika Bawarskiego, który Ewa zwiedzała w towarzystwie Maurycego Reinhardta. Zdarzało się jej czasami robić krótkie, najczęściej weekendowe wypadki z Berlina do Szwajcarii, a później wraz z narzeczonym włóczyć się po okolicy.

Katherina Weinmann nie była zaskoczona, gdy Ewa przedstawiła jej Maurycego, jako swojego narzeczonego, bowiem Rudolf Bergmann nie omieszkiał poinformować brata i bratowej, że dziewczyna towarzysząca mu na ich ślubie została żydowską dziwką. Już wtedy pracował na terenie Obozu Koncentracyjnego w Dachau i przymierzał się do objęcia planowanej po inwazji na Polskę budowy obozu w Stutthofie. Dyskretna z natury i niebawale uważająca, aby kogoś nie urazić Katherina, tym razem postanowiła postąpić wbrew swym zasadom i ostrzegła Ewę przed Bergmannem, mówiąc, że pała żądzą zemsty.

– Upokorzyłaś go straszliwie Ewo – powiedziała pół żartem a pół serio – on ci tego nigdy nie wybaczy! Widząc pełen zdumienia wzrok Ewy, dodała:

– To psychopata! Musisz wiedzieć, że pracuje w Obozie Koncentracyjnym w Dachau.

– *Arbeit macht frei* – bezwiednie odezwała się Ewa słowami zasłyszany mi niegdyś od Bergmanna, na dźwięk których Katherina Weinmann wzdrygnęła się i dodała szeptem:

– To nie są żarty Ewo, tam giną ludzie. Przeciwnicy polityczni Hitlera, duchowni i Żydzi. Nie powinniście wyjeżdżać ze Szwajcarii – to mówiąc spojrzała wymownie na Maurycego, który mógłby uchodzić za wzorzec rasy semickiej – bo na terenie III Rzeszy robi się coraz bardziej niebezpiecznie!

– Zaraz wracamy do Zurichu – powiedziała Ewa, żegnając się z Katheriną Weinmann, odstąpiwszy od zamiaru obejrzenia jeszcze jednego zamku Ludwika Bawarskiego, Neues Schloss, położonego na Wyspie Herreninsel na Jeziorze Chiemsee. I choć Maurycy nie widział powodu do niepokoju, nie zgodziła się tam pojechać. Studiował medycynę i nie przejmował się zbyt doniesieniami o pogromach, a to zapewne dlatego, że sam już przestał utożsamiać się ze swoją żydowską przynależnością. W Zurychu czuł się całkowicie bezpiecznie i wyobrażał sobie, że w Wolnym Mieście Gdańsku będzie podobnie.

– Ale Maurycy posłuchaj – z rozpaczą w głosie przemawiała do niego Ewa – lada moment Gdańsk przestanie być wolny. Nie widzisz na co się zanosi?

– Nie martw się kochana – odpowiadał z rozbrajającym uśmiechem – Anglicy i Francuzi na to nie pozwolą.

– Obudź się Maurycy, błagam cię, przestań śnić! Generał Richard Haking, ani żaden inny Wysoki Komisarz Ligii Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku, nie ma już nic do powiedzenia. To już tylko pusto brzmiąca nazwa. Władzę de facto sprawuje NSDAP a Albert Forster szkoli bojówki paramilitarne. Jak myślisz po co? Zapomniałeś jak wyglądał anschluss

Austrii? Wszyscy mówią o wojnie, a kiedy wybuchnie będzie za późno na zapewnienie sobie bezpieczeństwa. W świetle ustaw norymberskich nie będziesz miał żadnych praw.

Maurycy wciąż wierzył w siłę niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej, w opór niemieckich nauczycieli szkół wyższych a wreszcie w przewrót wojskowy. Miał nadzieję, że przeciwnicy polityczni prędzej czy później zabiją szaleńca, który dorwał się do władzy. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że Hitler jest tak dobrze strzeżony i od zamachu, jaki miał miejsce 15 marca 1932 roku nieopodal Monachium, jest to praktycznie niemożliwe. Cieszył się, gdy w lutym 1936 roku Dawid Frankfurter zdołał zastrzelić w Davos Wilhelma Gustoffa, szefa działających na terenie Szwajcarii nazistów.

– Wiesz, że zabronione jest zawieranie małżeństw między Żydami a obywatelami krwi niemieckiej, a małżeństwa zawarte pomimo to są nieważne i że współżycie z tobą popełniam przestępstwo – Ewa ciągnęła swój monolog, aż wreszcie wyrażona brakiem reakcji ze strony swojego rozmówcy wypaliła: – Według Streichera kobieta, która choć raz współżyła z Żydem, jest skazana na resztę życia i zawsze będzie rodzic dzieci w typie semickim...

– Dostyc, Ewo tych bredni – podniósł głos Maurycy – puszysz nastrój dzisiejszego wieczoru. Rozejrzyj się jak tu pięknie.

Siedząc *vis a vis* niej w zaciszu niewielkiej restauracyjki na Wyspie Kwiatów – Isle of Mainau – w Konstancy, wpatrywał się w jej twarz swoimi ogromnymi, czarnymi oczami i myślał tylko o tym jaka jest piękna i w myślach ją rozbierał. Tak piękna jak te oswojone egzotyczne motyle w wolierze. Nade wszystko pragnął ją poślubić i z niecierpliwością oczekiwał na zgodę sądu rabinackiego, aby ślub mógł odbyć się pod białym baldachimem w gdańskiej synagodze.

– Nie powinniśmy tak długo zwlekać ze ślubem – odezwał się podnosząc kieliszek czerwonego wina do ust.

– Z czym kochanie? – zapytała biorąc piękną dłoń przyszlęgo chirurga w swoje ręce.

– Tate wszystko załatwi.

– Mówisz tak, jakby twój Tate był Bogiem – powiedziała myśląc, że byłoby dla nich znacznie lepiej, gdyby Tate niczego nie załatwił i pozwolił im jak najprędzej opuścić Gdańsk, albo sam ruszył swój ciężki tyłek i przyjechał na ich ślub do Zurychu. Ale niestety Maurycy nie chciał nawet słyszeć o takim rozwiązaniu.

– To nie może być!

– W takim razie niech będzie tak, jak ty tego chcesz, doktorku – powiedziała do niego takim tonem, jakim zazwyczaj przemawia się do upartych dzieci, natrzęsając się wszelako w głębi duszy z jego głupoty – dla mnie to całkowicie bez znaczenia, czy nasz ślub odbędzie w katedrze, czy w synagodze, czy na plaży. Modlę się tylko o to, aby bomby nie spadły nam przy tej okazji na głowę.

Na szczęście dla Maurycego, bogobojnego Żyda, nie przywiązywała wagi do religii. Nie żeby zarzuciła całkowicie wiarę

w Boga, ale po dogłębnych studiach z zakresu filozofii, która była przedmiotem równie ważnym jak nauka samego prawa, doszła do wniosku, że nie ma żadnego dowodu, zarówno na jego istnienie, jak i nieistnienie, a co za tym idzie, to czy będzie to Bóg w wydaniu Żydów, Chrześcijan, czy Muzułmanów uznała za rzecz absolutnie drugorzędną. Tego poglądu oczywiście nie mogła przedstawić sądowi rabinackiemu, a wręcz przeciwnie musiała przekonać trzech rabinów o swojej głębokiej wierze w jednego Boga i świat przezeń wykreowany. Podobała się jej średniowieczna judaistyczna interpretacja kreacji przyjmująca, że Boże dzieło stworzenia było nadaniem odwiecznej materii, będącej w stanie chaosu, uporządkowanej formy. Bóg jako dumiurg wydawał się jej bardziej racjonalny aniżeli przedwieczny Bóg chrześcijan stwarzający świat *ex nihilo*.

O tym, że narusza normy moralne składając tego rodzaju, w gruncie rzeczy nieprawdziwe, oświadczenie wołała w ogóle nie myśleć, a gdy Maurycy, bynajmniej nieprzekonany o autentyczności jej konwersji, o to zapytał, roześmiała się mówiąc, że żadnej krzywdy nikomu w ten sposób nie wyrządza, co najwyżej sobie samej, poddając się regułom życia, rygorystycznym nakazom i zakazom, obowiązującym w żydowskiej społeczności. O tym, co powie kiedyś swoim dzieciom wołała w ogóle nie myśleć. Coraz częściej natomiast zastanawiała się, czy eskalacja rodzącego się na jej oczach zła, jest dowodem za, czy przeciw istnieniu Boga. Bo jeśli w ogóle istnieje, jak może na to wszystko pozwalać.

\*\*\*

Ostatecznie, w trzeci wtorek miesiąca, co ważne, bo wtorki uważano za szczęśliwe dni do zawarcia związku małżeńskiego, to Ewa w długiej, śnieżnobiałej sukni z welonem zakrywającym twarz, zjawiła się w rezydencji Reinhardtów w Gdańsku, gdzie w w dwóch osobnych pomieszczeniach wydano dwa przyjęcia; dla panny młodej i osobne dla pana młodego. Zasiadła na pięknie udekorowanym białym atłasem krzesło, niczym na królewskim tronie i poczuła się jak królowa. Dobiegały do niej dźwięki pieśni śpiewanych w sąsiednim pomieszczeniu, a w końcu wraz z orszakiem weselnym zjawił się on, wybraniec jej serca, mężczyznom, poza którym wówczas świata nie widziała i widzieć nie chciała i nałożył na jej twarz welon, oznakę czystości i skromności. W oczach Ewy pojawiły się łzy, które ocierała ukradkiem nie chcąc dać poznać jak bardzo jest wzruszona. Mieniły się w jej oczach światła niesionych przez korowód weselny świec, a nad białym baldachimem pojawiła się tęcza, dobry wróżebny znak. Szła ku niemu po drodze usłanej płatkami róż z sercem pełnym nadziei. Wbrew tradycji nie towarzyszył jej ani ojciec, ani matka. Szła ku swojemu przeznaczeniu sama, bo taką podjęła decyzję. Słyszała jak przez sen głos rabina odczytującego kontrakt małżeński, a po nim modlitwę i błogosławiącego kielich z winem, który podano panu młodemu po złożeniu przysięgi małżeńskiej. Na szczęście rabin nie zapytał czy jest dziewicą, bo dostarczyła

stosowne zaświadczenie.

– Tą obrączką zostajesz mi poświęcona zgodnie z prawem Mojżeszowym i Izraela – Maurycy odsłonił jej twarz i wsunął na jej serdeczny palec obrączkę.

Uroczystość zaślubin pod ustawionym na dziedzińcu synagogi białym namiotem zakończyła się wypiciem kolejnego kielicha wina i rozbiciem naczynia, w którym je podano.

– To symbol zniszczenia Świątyni Jerozolimskiej – szepnęła jej do ucha Maurycy.

– Mazel tov!

– Mazel tov!

Wesele w rezydencji Reinhardtów, gdzie zazwyczaj odbywały się huczne bale, było skromne. Skromne, bo nikt już nie myślał o ślubie, a wszyscy o wojnie, ale pomimo to pan młody wystąpił z krótkim wykładem talmudycznym. Potem zobaczyła istny tłum tańczących mężczyzn, starych i młodych, z długimi brodami, bokobrodami i pejsami, w czarnych chałatach i wielkich lisich czapach na głowach i Maurycyego pośrodku utworzonego przez nich kręgu. Tańcząc w tym magicznym kręgu wszyscy trzymali się za ręce. Po weselu Maurycy pocałował ją i poprowadził ku nowemu życiu. Był czysty, nieskalany i niezbrukany krwią żadnej innej kobiety.

– Adonai! – padły słowa modlitwy.

A później odnalazła swoje szczęście w jego ramionach.

Szczęście to miało trwać krótko, bo już o świcie 1 września 1939 roku niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein”, który przyplłynął do portu Danzig z wizytą, otworzył ogień mierząc z bliska w polską bazę przeładunkową broni i amunicji na półwyspie Westerplatte. Jednocześnie oddziały Wehrmachtu wdarły się na teren Polski, o czym donosiło radio. W Gdańsku rozpoczęło się piekło.

– To jeszcze nie oznacza wojny – perorował Samuel Reinhardt nakłaniany przez Ewę do jak najszybszego opuszczenia miasta – skoro Hitler nie wypowiedział wojny Polsce, to pewnie tylko wdał się z Polakami w utarczkę o ograniczonym, lokalnym zasięgu. Ewa patrzyła na swojego teścia przecierając oczy ze zdumienia, bo o krok od nich, na Placu Heweliusza, toczyła się walka w obronie gmachu Poczty Polskiej. Nigdy wcześniej nie miała okazji, aby z nim poważnie porozmawiać, ale teraz uważała, że ma święty obowiązek przekonać go.

– Jak przekonać starego Żyda, który jest ślepy i głuchy – irytowała się w głębi ducha, patrząc na Maurycyego z wyrzutem, że jej nie pomaga, tylko siedzi utkwivszy wzrok w ścianie.

– Pan nas będzie miał w opiece – usłyszała na koniec. – A zresztą, dlaczego miałbym uciekać przed swoim przeznaczeniem? – zapytał pocierając swoją długą, siwiejącą brodę. – Jeśli Pan wyznaczył nam taki koniec, to trzeba się z tym pogodzić.

– Czy dlatego, że uważacie się za naród wybrany? – chciała zapytać, ale nie odważyła się tego powiedzieć. ‘

Samuel Reinhardt dowodził, że Hitler nie napadnie na Polskę, bo Francja i Anglia staną za nią murem, i nie krył oburzenia,



gdy okazało się, że są to papierowe sojusze. I o ile skłonny był zgodzić się, że Anglia miała niewiele do zaoferowania Polsce, to armia francuska była silniejsza od niemieckiej.

Ewa patrzyła teraz na ścianę od podłogi aż po sufit wypełnioną książkami, na stojące na półkach księgi Kabały, tomy *Zohar*, *Drzewa Życia*, *Księgi Stworzenia*, *Ogrodu Drzew Gattunku*, *Księgę Przymierza*, na stojącą arkę ze zwojami *Tory*, na długi stół przy którym gromadzili się wyznawcy Jehowy, aby się modlić i zastanawiała się, czy on je wszystkie przeczytał. Wiedziała, że to wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie i że każdy chłopiec w tej rodzinie uczony jest języka hebrajskiego, studiuje *Torę*, wkuwa na pamięć całe strony *Gemary* i *Miszny* i całe godziny spędza na kontemplowaniu Boga. I że dodatkowo czyni mu się zamęt w głowie podważając wszystko, co nie jest zgodne z wiarą w jednego Boga i polemizując z doktryną religii katolickiej, nie mówiąc już o muzułmańskiej czy hinduskiej. Ale wiedziała też, że Maurycy spędzał całe godziny na plaży czytając książki w jego domu zakazane, na widok których stary Samuel Reinhardt dostałby pewnie zawału serca. Zakazane nie tylko przez Żydów, ale również palone przez nazistów, jak na przykład Zweig.

– Czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce na temat pochodzenia Ariów, bo dla ideologii narodowosocjalistycznych Niemiec sprawa czystości rasy to kwestia centralna? – zastanawiała się Ewa podążając śladem lektur Maurycyego i podejrzewając nie bez racji, że dotychczasowa duma jaką odczuwał z racji swojego pochodzenia zaczyna go opuszczać.

Samuel Reinhardt był synem i wnukiem rabina i w jej odczuciu był przekonany, że posiadał wszystkie rozumy świata. I jedno było pewne, że patrzy na nią z wyższością, jak na osobę mającą niewielkie pojęcie o świecie i otaczającej ją rzeczywistości. Jego pradziadek, też rabin, był sefardyjskim Żydem, który opuścił Hiszpanię z powodu prześladowania religijnego Żydów i znalazł schronienie w protestanckiej Holandii, skąd następnie trafił do Wolnego Miasta Gdańsk, członka Ligi Hanzeatyckiej, gdzie silnie były reprezentowane niderlandzkie przedsiębiorstwa, co odcisnęło na wyglądzie miasta holenderskie piętno.

Wiedziała, że Samuel przyszedł na świat przy Alstadtischer Graben, przy porządnej i modnej ulicy, skąd w 1914 roku trafił na front. Widziała też jego zdjęcie w mundurze na dorodnym koniu czystej krwi arabskiej, co przy każdej okazji podkreślał i wiszący na ścianie Krzyż Żelazny. Słyszała, że wrócił z wojny bogatszy o zrabowane we Flandrii dzieła wielkich mistrzów i natychmiast przystąpił do budowania własnej fortuny, błędnie rozpoznając potrzeby i uwarunkowania ekonomiczne rynku, podczas gdy chodniki pełne były sfrustrowanych po sromotnej klęsce Niemiec żołnierzy w mundurach bez nóg. Nabywał kolejne nieruchomości w Gdańsku, w Sopocie i w Niemczech, a co ważniejsze rozszerzał swoją działalność na kolejne branże, stając się handlową potęgą, a jednocześnie był jednym z wiodących dobroczyńców gminy żydowskiej, wspie-

rającym migrujących do Ameryki współbraci, choć sam uważał, że Ameryka jest krajem dla osób pozbawionych środków do życia i przegranych.

– Nasz pobyt na tym świecie, moje dziecko, jest jedynie krótkotrwałą podróżą w czasie – powiedział kilka dni później, gdy Francja i Anglia choć formalnie wypowiedziały wojnę Niemcom, faktycznie pozostawiły Polskę na lodzie.

– Czyżby Samuel Reinhardt wierzył w reinkarnację?

Tymczasem wojna toczyła się w samym sercu Gdańska. Ewa była wstrząśnięta procesem polskich pocztowców, w którym 8 września 1939 zostali skazani na karę śmierci. Wraz z nimi umierał jej świat i ten gdański i ten sopocki, a przecież dopiero co eleganccy panowie w dobrze skrojonych garniturach pod czarnymi krawatami i panie w długich wieczorowych sukniach, tłumnie ciągnęli do Opery Leśnej, aby posłuchać oper Wagnera.

Przyłączenie Wolnego Miasta Gdańsk do Niemiec stało się faktem. Całe Pomorze z wyjątkiem Helu było już w niemieckich rękach, nic więc dziwnego, że 19 września 1939 w mieście pojawił się Hitler. Wszyscy niewygodni – Polacy i przeciwnicy faszystów – zostali usunięci z miasta. Część z nich trafiła do Obozu w Stutthof, a część została wymordowana w lasach Piaśnicy i Szpęgawska. Większość Żydów zamknięto w gettach na Mysiej i Stągiewnej, skąd wywieziono ich w grudniu 1942 do obozu zagłady w Theresienstadt.

Samuel Reinhardt wedle oficjalnych dokumentów wtedy już nie żył, choć krążyła plotka, że zdołał wyrwać się z getta na aryjskich papierach i wyjechać do Ameryki, a do Theresienstadt pojechała tylko jego żona Sara.

\*\*\*

Pisany chronologicznie *Dziennik* Ewy Rosenfeld odślaniał, coraz to nowe etapy wojny i zmieniający się do niej stosunek SS-Hauptsturmfuehrera Rudolfa Bergmanna. Wstrząsnęła nim wiadomość o śmierci brata Klausa, który poległ w sierpniu 1943 roku w bitwie pod Kurskiem. Zatelefonował nawet do Katherin z kondolencjami, a po chwili przekazał Ewie słuchawkę, tak jakby to było oczywiste, że są razem. Zbladła nie wiedząc, co powiedzieć. Bała się, że Katy Weinmann zapyta o Maurycyego, ale nie zapytała. Najwyraźniej w ogóle nie chciała z nią rozmawiać.

Ewa była świadkiem, jak głośno w towarzystwie komendanta obozu żydowskiego Ewalda Fortha, z którym łączyły go szczególnie bliskie więzy przyjaźni, ośmielił się powiedzieć, że to dobra strategia obronna Armii Czerwonej przyniosła jej zwycięstwo pod Stalingradem i pod Kurskiem. Była zaskoczona, że tak otwarcie mówi o załamaniu się frontu wschodniego, a jeszcze bardziej, gdy w trakcie tej rozmowy padło stwierdzenie, że był to efekt opóźnienia operacji „Barbarossa” o kilka tygodni, spowodowany zaangażowaniem się Hitlera w zniszczenie Jugosławii, która nagle, po dokonanych tam zamachu stanu, zerwała podpisany wcześniej układ sojuszniczy z III Rzeszą.

Tamtą rozmowę Ewa Rosenfeld opisała ze szczegółami ponieważ była mowa w niej o uruchomieniu w obozie centralnym komory gazowej, w której miano uśmiercać więźniów cyklonem B. Wiedziała co to oznacza, bo wcześniej wybudowano tam dwa piece murowane dla krematorium, a jeszcze wcześniej piec olejowy.

– Głównie stare i chore Żydówki – uspokajającym tonem odezwał się Rudolf Bergman patrząc na nią w sposób znaczący.

Odniosła wrażenie, że Ewald Fortha zorientowany jest w jej sytuacji, choć wydawało się jej to zupełnie niemożliwe, bo niby dlaczego Bergmann miałby ryzykować dla niej aż tak bardzo. Od czasu wybuchu w obozie epidemii tyfus, coraz bardziej obawiała się o życie Maurycyego i naciskała na Bergmanna, aby pomógł mu w ucieczce, ten zaś utrzymywał, że ucieczka jest nazbyt ryzykowna, a jej mąż miewa się całkiem dobrze, bo pracuje jako lekarz w szpitalu dla więźniów żydowskich.

Nie mogła powiedzieć Bergmanowi, że to nieprawda, bo Maurycy w listach coraz bardziej obawia się całkowitej likwidacji tej części szpitala razem z jego żydowskim personelem.

Pod koniec lipca 1944 roku odnotowała w *Dzienniku*, że Bergmann zjawił się u niej mocno pijany i z obłędem w oczach wymachując bronią zaczął grozić, że zabije najpierw ją a potem siebie. Wrzeszczał przy tym tak głośno, że do salonu wszedł wyrwany ze snu, czteroletni wówczas Michael i rzucił się na Bergmanna, błagając aby nie zabijał mamusi. W nagłym przypływie szczerości Bergmann wspomniał wtedy o nieudanym zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu. Widząc jego zdenerwowanie, niemal przerażenie, Ewa doszła do wniosku, że jej kochanek mógł mieć z tą sprawą jakiś związek i najprawdopodobniej wtedy zaczęła się zastanawiać, czy aby Bergmann nie gra na dwa fronty, o czym napomknęła w *Dzienniku*.

Wiedziała o istnieniu niemieckiego ruchu oporu dążącego do puczu wojskowego i ustanowienia nowego rządu pod zwierzchnictwem Carla Goerdelera jako kanclerza i Ludwika Becka jako głowy państwa, a sam Bergman wspomniał między wierszami, że w spisek byli zaangażowani byli oficerowie Wehrmachtu, których wciągnął do opozycji Helmuth Graf von Moltke z Krzyżowej.

– Niemal im się udało – powiedział potykając się o własne buty, po czym chwycił ją oburącz za ramiona wrzeszcząc:

– Na to liczysz?

Był wściekły, bo stracono 19 generałów wśród których był Ludwik Beck, a to oznaczało, że nieprędko ktoś odważy się podnieść rękę na Hitlera.

– Ewo – nieoczekiwanie przytulił ją do siebie – nie wytrzymam tego dłużej i chyba sam palnę sobie w łeb, tak jak ten nieszczęsny Erwin Rommel. Chwilami wydaje mi się, że trafiłem do domu wariatów i uczestniczę w jakimś szalonym przedstawieniu, ale ci ludzie giną naprawdę.

Dopiero później dowiedziała się, że Bergmann nie miał żadnych powiązań z zamachowcami, o co go zaczęła podejrzewać,

od czasu gdy zaczęło deptać jej po piętach Gestapo.

– Dojdzie do tragedii, jeśli coś zwęszyli – nalegała, aby powiedziała jej, jaki jest powód inwigilacji.

– Nie mam z tym nic wspólnego! – warknął odsuwając ją od siebie – ale jeśli nadal będziesz konspirować i wysyłać te idiotyczne liściki do Maurycyego, to prędzej czy później ściągniesz na nas wszystkich nieszczęście. A inna rzecz, że oni zaczynają się bać własnego cienia.

– Dlaczego powiedział „oni” a nie „my” – analizowała wsuwając za podszewkę jego munduru to, co zwykle.

– Czy on wie, że jest mimowolnym posłańcem? – zapytała dwa dni później Gertruda, po tym jak do domu doktora Rosenfelda wpadło Gestapo.

– Aresztowano mojego ojca? – zaniepokoiła się Ewa.

– Na szczęście nie, ale przewrócili dom do góry nogami – odparła przerażona Kaszubka – chyba muszą coś wiedzieć, bo przekopali nawet ogród, ale na szczęście znaleźli tylko szczątki psa.

Ewa zdenerwowała się okrutnie słysząc, że Konzentration Lager Stutthof włączono w system obozów koncentracyjnych realizujących akcję ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej i zaczęła błagać Bergmanna, aby uwolnił jej męża.

– On jest bezpieczniejszy tam, aniżeli byłby tutaj – odparł SS-Hauptsturmfuehrer patrząc na kobietę z odrazą.

– Rudolfie, błagam cię, jeśli ci na mnie zależy – płacząc padła przed Bergmanem na kolana. – Moje małżeństwo z Maurycym zostało przekreślone w chwili, gdy zostałam twoją kochanką, a teraz gdy spodziewam się twojego dziecka, nie może być w ogóle mowy o jego restytucji, ale mam moralny obowiązek, aby ratować mojego męża. Zrozum wreszcie, że nie mam odwrotu i przestań się mścić.

Ewa Rosenfeld wiedziała, że plan wywiezienia na Wschód i zlikwidowania 11 milionów Żydów, ogłoszony został w styczniu 1942 roku na Konferencji w Wannsee przez fanatycznie nienawidzącego Żydów Reinharda Heydricha, który już przed wybuchem wojny uchodził za prawą rękę Heinricha Himmlera. Z radością odnotowała w swoim *Dzienniku* śmierć Heydricha, którą szef Policji Bezpieczeństwa oraz Służby Bezpieczeństwa poniósł w wyniku zamachu w czerwcu tego samego roku w Czechach. Nikt nie przypuszczał, że brat bohatera narodowego Niemiec, Heinz Heydrich, może się sprzeniewierzyć jego idei i ratować Żydów dostarczając im sfałszowane w drukarni dokumenty podrózne pozwalające na opuszczenie Rzeszy. W przekonaniu, że został zdekonspirowany w listopadzie 1944 roku popełnił samobójstwo.

Maurycy prosił ją w każdym liściku, aby się o niego nie martwiła i dbała wyłącznie o siebie i synka.

Ewa przeżyła głęboki kryzys psychiczny, gdy Maurycy otwarcie napisał, że wie o jej związku z Bergmannem i rozumie, że to była wyższa konieczność. Załamała się dopiero w grudniu 1944 roku, gdy wyszło na jaw, że spodziewa się dzie-

ka Bergmanna.

Dziwnym zbiegiem okoliczności opisując szczegółowo działalność kolegów obozowych Bergmanna i całą piekielną maszynę śmierci jaką w jej odczuciu był Konzentration Lager Stutthoff, Ewa Rosenfeld nie wspomniała ani jednym słowem o roli jaką grał w tym przedsięwzięciu jej kochanek. Jakie zajmował stanowisko, ani za jaki odcinek obozowej maszyny był odpowiedzialny, ani też komu bezpośrednio podlegał i kim zarządzał. Hauptsturmfuehrer SS Rudolf Bergmann był istotnym, pojawiającym i znikającym elementem jej życia.

Nienawidziła go, budził w niej strach i obrzydzenie, ale jednocześnie ulegała mu, podporządkowywała się jego woli wiedząc, że w przeciwnym wypadku użyje w stosunku do niej siły fizycznej, że zniewoli ją przemocą. Zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli mu się sprzeciwi, ucierpi na tym ona sama, a jej synek być może straci życie. Była ofiarą jego zmiennych nastrojów, bo kiedy przychodził w dobrym humorze przynosił prezenty i nosił ją na rękach, kiedy indziej zaś wyładowywał na niej swoją frustrację i znęcał się nad nią. Wyzywał obelżywymi słowami i poniewierał. Zmuszał do czynności seksualnych, na które żadna normalna kobieta by się nie zgodziła. Pluł jej w twarz mówiąc, że jest żydowską dziwką, a chwilę później ją całował. Nie próbowała protestować wiedząc, że pogorszy w ten sposób swoją sytuację. Z czasem nauczyła się rozpoznawać sytuację i przewidywać jego reakcję, spełniała jego zachcianki, aby nie dopuścić do kolejnego ataku agresji z jego strony. Starła się być miłą i uprzejmą, szczególnie gdy pojawiał się w towarzystwie kolegów. Wchodziła wtedy w rolę urokliwej gospodyni racząc gości, jadłem, alkoholem, dobrą kawą i swoim śpiewem. To była jedyna rzecz, do której Bergmann nie musiał jej zmuszać. Ewa miała cudowny głos i lubiła śpiewać.

– *Liebe ist ein Geheimnis* – w długiej czarnej sukni wcielała się w postać Hildy Hildenbrandt – *Das Wunderbar und unergrundlich ist...*

Nie mogła przed nim uciec, bo jak wspomniała, że zamierza wyjechać, roześmiał się jej w twarz mówiąc, że w tym samym momencie Maurycy trafi do gazu. Była wdzięczna, że dotychczas tego nie zrobił.

Pamiętała go jako uroczego młodego człowieka, jakiego poznała pod palącym się Reichstagem i zastanawiała się, dlaczego zamienił się w pozbawionego wszelkich skrupułów moralnych potwora. Nie chciała przyznać sama przed sobą, że już wówczas był nazistowskim fanatykiem. Winiła za ten stan rzeczy Narodowo Socjalistyczną Partię Niemiec, a nie jego. On, jej zdaniem był tylko pionkiem w tej grze, do której przystąpił bez świadomości do czego prowadzi, a później nie mógł się wycofać, nawet gdyby chciał, jako że z NSDAP nikt zdrowo myślący nie występował.

Były chwile, gdy ganiła się w myślach za taki sposób myślenia. Zauważała jego niedorzeczność. Wiedziała, że Bergmann w żadnym wypadku nie zasługuje na jej współczucie i że nie

powinna żywić w stosunku do niego żadnych pozytywnych uczuć, a jednak pomimo to pod koniec 1944 roku, kiedy wiadomo już było, że policzone są dni Hitlera, zaczęła mimo woli niepokoić się o przyszłość kochanka.

Gdy kiedyś w przypływie irytacji powiedziała do niego:

– Nie wyjdiesz z tego żywy, powiesz cię na suchej gałęzi!

Odpowiedział jednym zdaniem:

– Zawieszysz razem ze mną.

Przeraziła się w pierwszym momencie, ale zripostowała jego groźbę mówiąc, że kary śmierci nie wykonuje się na kobietach ciężarnych, ale ogarniały ją coraz większe obawy, co do przyszłości swojej i dzieci.

Potajemnie umówiła się z matką prosząc ją o pomoc, co było ryzykowne, bo współpracujący z partyzantami i udzielający im pomocy doktor Rosenfeld był już wówczas poszukiwany przez Gestapo, a i sytuacja Marii Rosenfeld też nie była korzystna z uwagi na jej rodzinne powiązania z Brytyjczykami i przedstawicielami Czerwonego Krzyża. Wtedy też Ewa przekazała na Zachód informację o planowanej ewakuacji obozu w Stutthofie.

\*\*\*

Rudolf Bergmann wraz z resztą załogi opuścił Konzentration Lager Stutthof 30 kwietnia 1945 roku drogą morską. Był wściekły, że Ewa zwlekała z wyjazdem z Gdańska, pomimo że usilnie ją do tego namawiał. Opierała się tak długo aż w końcu stało się to niemożliwe. Najpierw utrzymywała, że ciąża jest zagrożona, później że chce dotrzeć w domu do czasu porodu, bo tu będzie miała pomimo wszystko zapewnioną opiekę.

– Chyba śnisz – wrzasnął – ukamienują cię razem z dzieckiem jak tylko je urodzisz.

– Twoim dzieckiem! – na jej twarzy pojawił się wyraz satysfakcji.

– Wciąż masz nadzieję, że on przeżyje?

– Obiecałeś Rudolfzie, że przeżyje! Chyba mnie nie oszukałeś?

Ewa zdawała sobie sprawę z tego jak będzie wyglądała jej sytuacja po zdobyciu Gdańska przez Armię Czerwoną, ale za nic nie godziła się wyjechać wcześniej. Może gdyby zdecydowała się na ten krok ich życie potoczyłoby się inaczej. Wyładowała by razem z Bergmannem szczęśliwie w Brazylii albo Argentynie, gdzie zadekowała się po wojnie większość wojennych zbrodniarzy.

Fragment niepublikowanej powieści *Zbrodnia*



## JÓZEF LIPIEC



# KIM BYŁEŚ - KIM JESTEŚ - KIM BĘDZIESZ?

### Trwanie i zmienność

Na terenie filozoficznej antropologii ścierają się – jak wszędzie – dwie konkurencyjne koncepcje życia. Jedna wskazuje na to co niezmiennie, powtarzalne, esencjalnie zaś ograniczone. Druga wskazuje na dynamikę życia, jego procesualny charakter, istotową otwartość, niestabilność i przemienność, zarówno zresztą cząstkową, jak i totalną. Jak każda tradycja, załączków tych i podobnych dylematów przychodzi nam szukać już w starożytnych sporach Parmenidesa z Heraklitem. Czy człowieczeństwo odwołuje się do jakiejś, być może nieokreślonej, tajemniczej tożsamości indywidualnego istnienia, czy też jest ono procesem, realizującym uporządkowane lub chaotyczne, ale zawsze zmienne egzystencje, niczym rzeka, do której wstąpić dwa razy niepodobna. Jeśli przyjąć pierwszy punkt widzenia, świadomość człowieka związana jest zawsze ściśle z tym co w jednostce odpowiada za *t o ż s a m o ś ć*, a nawet za specjalnie wciąż powtarzalną *t a k o ż s a m o ś ć*, bynajmniej nie pragną stać się kimś i czymś innym. Doświadczana w sposób oczywisty sfera zmienności dotyczy wtedy albo zewnętrznego świata, z pewnymi, zjawiskowymi konsekwencjami dla samowiedzy realnej jednostki, albo poznawczych fantomów, niczym obrazów, ukazujących się więźniom w Platońskiej jaskini. Metafizyczną statyczność nosimy w sobie, niczym kantowską ideę rozumu, toteż nikt i nic nie może nas skusić do zmiany stanowiska. Ewentualne kłopoty z pamięcią, wpisujemy na listę przypadkowych defektów, całkiem zdrowa świadomość powinna sprawnie obsługiwać wszystko, co zdarzyło się w moim i każdym indywidualnym żywocie. Koncepcja trwania w niezmienności, musi uporać się z kategorią czasu, a więc z przesuwaniem się obrazów i doznań, które pojawiają się i znikają, mimo usilnych konserwatorskich starań umysłu. Kłopoty z niezmiennością osobniczą poddane zostały zresztą wielostronnej analizie krytycznej, z klasycznymi pracami Bergsona na czele, tudzież z manifestacyjną niechęcią

Nietzschego, potem zaś Freuda i całej galerii egzystencjalistów.

Odmierna, procesualna wizja bytu ludzkiego, kładąc nacisk na stałą zmienność każdej substancji indywidualnej, musi uporać się, jak wiadomo, z pojęciową trudnością wskazania na substrat owej zmienności. Nie chodzi przecież o samo płynięcie wody, ale o tożsamość rzeki, utrzymującej zmienny nurt. Nie chodzi bowiem o proces życia i na dodatek, kontrolującej go zmienność strumienia świadomości, lecz o niezmienną samą podstawę bytowej.

Zmienia się dane Ja, ale niestety, z zachowaniem tego samego Ja przedtem, teraz i potem, bez czego zmienność sama byłaby w ogóle niemożliwa ontologicznie i nie do pomyślenia poznawczo. Z problemem tym próbowała się uporać metafizyka niezmiennej, a swoiście niezależnej *d u s z y*. Dusza zostaje skonstruowana wedle wzorca substancjalnej niezmienności, choć jakimś cudem obejmującej wszystko, co się w niej nagromadziło w zmiennym czasie życia. Próbę mediacji podjęli w tym względzie przedstawiciele fenomenologii (od Husserla po Ingardena), mało wszakże znani wśród zwolenników kryptosubstancjalnej myśli antropologicznej, deklarujących równocześnie sympatię dla jawnego *p r o c e s u a l i z m u*.

Jest on, rzecz jasna, koniecznym założeniem dla wszelkich teorii rozwoju, a zwłaszcza dla romantycznych wizji dochodzenia do najwyższych diapazonów bycia, przekraczania granic i czynienia siebie „czymś więcej” (jak radził Sartre) lub zgoła swobodnym, twórczym *heros em autoabsolutyzmu* (wedle receptury Nietzschego).

### Telos konieczności a program wyborów

Arystotelesowi zawdzięczamy pierwszą, rozwiniętą koncepcję dynamiki życia ludzkiego. Została ona wpisana w ogólną teorię substancji, neglżującą nota bene słabości idealizmu platońskiego, zwłaszcza jego podległość później odkrytej „brzytwie Okhama”. Nie trzeba mnożyć światów idei, skoro

mieszczą się one zgrabnie w realnych sytuacjach indywidualnych. Niekochana przez Platona zmienność została natomiast podniesiona przez Stagirytę do rangi prawa kosmosu nieledwie lub, jak kto woli, woli mocy” albo „elan vital”, wypełniając wszystkie substancje swoistą siłą sprawczą, wiodącą ku spełnieniu metafizycznej potencji. Przyczyna sprawcza uzupełniona jest przez kierunkową przyczynę celową, a przyczyna formalna przez przyczynę materialną.

W przypadku człowieka przyczyna formalna wiedzie wprost ku wyżynom pełnego człowieczeństwa gatunkowego. Przyczyna materialna odpowiedzialna jest zaś za ścisłą indywidualizację. Rzecz jasna, wszystkie przyczynowe czynniki nie potrzebują żadnej dodatkowej podniety, ani spoza substancji, ani z jej wnętrza, w tym także impulsów świadomości. Zestaw z góry zaprogramowanych przyczyn stanowią konieczną, przede wszystkim zaś wystarczającą siłę sprawczą i celową bytu, wiodącą aż ku e n t e l e c h i i danej substancji.

Problem indywidualizacji rozwijały skutecznie filozofie monadologiczne (z Leibnizem, Boskovicem i młodym Kantem), a także skrajnie nurty indywidualizmu i solipsyzmu. Gatunkowość badały natomiast skutecznie zarówno nauki przyrodnicze, z ewolucjonistycznym nachyleniem włącznie, jak też i sama filozofia, zwłaszcza w wydaniu historiozoficznym i szerzej: filozofii społecznej, politycznej i etyki. Gorące dyskusje między poszczególnymi opcjami, tworzyły swoistą amplitudę oczekiwań i rozwiązań. Tendencje indywidualistyczne wzmagaly się w okresach przesilenia roszczeniowych wielkich zbiorowości i cywilizacji, zazwyczaj po zmęczeniu uniwersalizmem gatunkowym i przewagą wzorców adaptacyjnych. I na odwrót, powrót do indywidualizmu czystego traktowany był często jako oczyszczenie, ucieczka i remedium na rosnące ambicje indywidualizmu, przede wszystkim rym jego postaciom, które zagrażają strukturze wspólnotowym, zarówno w wersjach anarchistycznych, jak i totalitarnych.

Specjalnego znaczenia nabiera kwestia rozstrzygnięcia sporu o autodeterminizm substancjalny, przynajmniej w takim rozumieniu, w jakim pozostawił go Arystoteles. Czy proces wznoszenia się ku trozwokjowtm szczytom jest przywulejem i normą wszelkiego istnienia, niezależnie od woli i możliwości świadomej jednostki ludzkiej (pomińmy inne istoty, w tym także żywe)? Czy też jest on wkomponowany w strukturę głęboką zawsze konkretnej, tej oto jednostki ludzkiej? Czy każdej bez wyjątku i z takim samym nasileniem? Czy z podobnym u różnych ludzi skutkiem, czy jednak z całkowitą dowolnością uzyskanych efektów, pomimo podobnego zaangażowania i napięcia woli? Czy chcieć to doprawdy tyle samo co móc i osiągnąć upragnione wyżyny? A idąc jeszcze dalej, czy istnieje jakaś granica możliwości samospełnienia, jedna dla wszystkich, bądź wyznaczona dla poszczególnych indywidualuów? Wyznaczona przez świat i jego obiektywne prawa,

czy przez dyspozycje samych indywidualuów? Oto kolejne pytania, które oczywiście łatwo pominąć w deklaracjach i manifestach, ale które stanowią ontologiczny fundament realnych rozstrzygnięć.

### Zamknięta karta przeszłości

Jedno jest pewne: nic w tej sprawie nie możemy uczynić. Co się stało, nigdy się nie odstanie. Dotyczy to całego świata i wszystkich jego fragmentów, jak i nas samych, definitywnie określonych, choć niekoniecznie przecież przy pomocy takich samych słów, symboli i uczuć.

Co się stało nie tylko nie może zostać anulowane w istnieniu, ale też nie może być inne. W najlepszym razie możliwa wydaje się zmiana w interpretacji, w dodatkowej wiedzy o nieznanych faktach, w ocenach wreszcie, być może dziś bardziej powierzchownych, choć i odwrót, bardziej wnikliwej i solidniej uzasadnionej. Niewykluczona jest też zmiana perspektywy interpretacyjnej, albo z przykryciem niepamięcią oczywistych faktów; albo niezrozumieniem sensu i rangi poszczególnych wątków doświadczanego życia, albo też uwypukleniem niedostępnych wcześniej znaczenia samej materii wydarzeń. W niepamięci giną z reguły niemal wszystkie stany okresu wczesnego dzieciństwa, chociaż one przecież także mają niewątpliwie równie ważną pozycję, zarówno subiektywną, jak i obiektywną. Obraz siebie samego osadzony jest bez wątplenia na wcześniejszych przeżyciach podmiotu. Wszystkie bez wyjątku wypełniają tkankę materialnej zawartości czasowo określonego bytu indywidualnego. Nie zawsze jednak umiemy odtworzyć lub zbudować właściwą hierarchię czynników, ze wskazaniem na pierwszorzędne lub nawet decydujące dla ludzkiego w ogólności i dla danego rozwoju. Nie zawsze potrafimy ukryć w niepamięci fakty naprawdę nieistotne, a może tylko niewygodne dla naszego samopoczucia w postrzeganiu siebie w aktualnie doznawanej terażniejszości. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy i jakimi odziedziczyliśmy siebie z indywidualnej przeszłości. Co w niej jednak, determinacja dziedzictwem okazuje się punktem wyjścia i motorem napędowym kolejnych faz życia, , zarazem zaś ich a k s j o l o g i c z n y m a k o m p a n i a m e n t e m, przypuszczalnie o zróżnicowanej tonacji – przychylniej lub krytycznej, kontynuacyjnej lub innowacyjnej, wynikłej z p r z e w a r t o ś c i o w a n i a d o t y c h c z a s o w e g o a u t o p o r t r e t u .

Nie wiemy natomiast i prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy ze stuprocentową pewnością, czy mogliśmy inaczej pokierować sobą w przeszłości, jakie były przeszkody, które zaś decyzje i kroki miały fundamentalne znaczenie. Jesteśmy skazani na wyjaśnienia przybliżone, hipotetyczne i nieweryfikowalne. Zwłaszcza, że nie chcemy tracić czasu na szczegółowe seanse psychoanalityczne, chyba, że zamierzamy napisać autobiograficzną opowieść, albo oddać się poetyckim

reminiscencjom, czyniąc obrachunek sumienia z „dzieciństwa sielskiego, anielskiego”, oraz „młodości górnej i chmurnej”, „wiek męski, wiek klęski” traktując – za Wieszczem – jako nieprzypadkowy efekt zmarnowanej przeszłości, choć może jako nadzwyczajny powód do odbicia się nareszcie w górne rejony bytu. Czy wzlot ku szczytom ma źródło w sukcesach wcześniejszych, czy wprost przeciwnie, jest przekreśleniem stanów minionych, w nagłym przebudzeniu się z szarej, zmarnowanej przeszłości? Rozmaicie układają się losy wielkich, średnich i najmniejszych. Jest to kwestia nie tylko indywidualnego wyposażenia, ale i oddziaływań otoczenia, nie tylko talentów umysłowych, ale i sprawności zdrowotnej i witalnej energii. Sięgamy nade wszystko do potencjału rozbudzonych w danej chwili uczuciowych i intelektualnych pobudek oraz napięcia twórczych sił w aktach wyzwania przez rzeczywistość, zawsze specyficznych dla każdego człowieka z osobna oraz każdej epoki i kultury. Jedni zdają się gotowi od zawsze, inni budzą się z opóźnieniem, albo wcale. Niektórym sprzyja szczęście apollinijskiej harmonii, zwłaszcza w ekwiwalencji wkładów własnych i wypłaty przez świat, pozostali czekają nieraz bardzo długo na cudowny wybuch w ramach rewolucyjnej przemiany losu.

### **Pole możliwości**

Entuzjastycznie nastawieni piewcy idei wzlotu człowieka nad poziomy, głoszą jeden z dwóch rodzajów recept na rozwojowy sukces. Pierwsza odwołuje się do wzorca samorealizacyjnego głosząc pogląd, iż należy stać się w pełni sobą, ale w ramach niepowtarzalnego projektu ściśle indywidualnego. Trzeba więc dotrzeć do ukrytych, acz czekających na wydobywanie złóż bogactwa osobistego wyposażenia, następnie zaś samodzielnego ujawnienia i przekształcenia w w rzeczywistości zestaw przymiotów, rozwijanych swobodnie aż do do kresów własnych, ludzkich możliwości. Koncepcja ta sięga do ontologicznych założeń rozszerzonego natywizmu, uznając, że to co cenne i pożądane w jednostce, znajduje się od początku w jej wyposażeniu, chodzi zatem tylko o to, aby w aktach autokreacji odsłonić swój potencjał. Po to przede wszystkim, aby to co dotąd zakryte udoskonalić i w pełni urzeczywistnić. Może i powinien tego dokonać sam indywidualny osobnik, i tylko on sam. Aspiracje te zgłaszali dotąd, jak wiadomo, wyłącznie niektórzy filozofowie i poeci. Niektórzy sięgali do ideału *n a d c z ł o w i e c z e ń s t w a* (Nietzsche), inni nie wahali się sięgnąć wyżyn *b o s k o s c i* (Mickiewicz w „Wielkiej Improwizacji”)/.

Koncepcja druga przyjmuje możliwość wprowadzenia w struktury indywidualne cech w niej generycznie nieobecnych w jednostce od zarania, ale zdalnych do przejścia z *z e w n ą t r z*, być może ze sfery idei, z pewnością zaś pochodną z zamówienia kulturowego zwłaszcza, tudzież

zabiegów sublimacyjnych. Próżno szukać siebie w sobie, nawet w sensie najprostszym, pozbawionym języka jako tworu społecznego, wszelkich wzorców i wartości, nierzadko definiowanych przez wskazanie, mianowicie poza siebie samego.

Ambitniejsza, a z pewnością atrakcyjniejsza wydaje się koncepcja pierwsza. Jej patronami zdają się tak różni myśliciele, jak Arystoteles właśnie i Tomasz z Akwinu, ale też Kartezjusz, Leibniz, Kant, Nietzsche, Bergson, Freud i Sartre. Każdy z innej strony podjął trud tworzenia nie tylko rekonstrukcji i opisu mechanizmów samorozwojowej aktywności podmiotu ludzkiego, ale też dał impuls do wezwań *w o l n o s c i o w y c h i s a m o r e a l i z a c y j n y c h* (kontynuowanych później przez psychologię humanistyczną i antropologię filozoficzną). Optymistyczna wizja przyszłości jest zarazem najprostsza z możliwych: możesz być, człowieku, tym wszystkim, co tkwi w twoim potencjale i sięgnąć tak wysoko, jak zdołasz dzięki samoczynnej własnej energii rozwojowej. Jedynym jej mankamentem wydaje się niepewność co do prawdziwości zasadniczej tezy natywistycznej lub jak kto woli, istnienia indywidualnych, danych z góry, a niezależnych programów rozwojowych. Koncepcja druga, odwołując się, co prawda, do repertuaru przynajmniej częściowo inspirowanego czynnikami zewnętrznymi, dysponuje wszelako znacznie szerszą ofertą wzorców, ideałów i strategii, napewno też bogatszym potencjałem jakościowym, wytwarzanym bowiem nie tylko przez dane jednostkę, ale przez wiele innych, zapewne równie kreatywnych, wskazujących na odmienne a przecież ciekawe i wartościowe rozwiązania szczegółowe. Jeśli pierwsza koncepcja sugeruje wyższość bytu doskonale izolowanego, samowystarczalnego i antarktycznego, to druga uznaje jej ograniczoność, przede wszystkim zaś iluzoryczność.

Nikt przecież sam z siebie nie wygeneruje właściwości, których zasadniczą funkcją jest doskonała plastyczność, a więc uzyskanie pełnej i maksymalnie cennej *p a r t y c y p a c j i* w realnym życiu, w określonym społeczeństwie, w danej epoce i kulturze, jak również na danym szczeblu technologiczno-cywilizacyjnej obudowy rzeczywistej egzystencji. Złudzeniem jest zdolność do znajdowania – ni stąd ni zowąd – samorozwoju, zdecydowanie przekraczającego horyzonty epoki. Żaden człowiek nie mógł marzyć o wymarzonej karierze literackiego noblisty przed powstaniem pisma, druku i Sztokholmu. Nikt w XIX wieku nie chciał odkrywać w sobie pasji informatycznej albo lub kosmonautycznej. Trudna do zrozumienia byłaby również rola Buddy, Konfucjusza czy Sokratesa. Czy nauczyciel może uruchomić jedynie to wszystko co posiada uczeń (wyłączając sztukę bycia pedagogiem dla siebie samego)? Tylko w obrębie drugiej teorii powstaje racjonalna odpowiedź, wskazująca na zdolność rozszerzania wyobraźni indywidualnej, mianowicie przy pomocy skutecznych bodźców heterogennych.



## Być sobą

Stosunkowo łatwo udzielić prostej rady w kwestii bycia sobą. Niezależnie od supozycji czasowej, odniesionej do przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości, należy być, rzez jasna, zawsze sobą, w znaczeniu wyznaczonym przez granice Ego, ukrytego w kartezjańskim cogito. Być sobą to zarazem nie być kimś innym, w konsekwencji więc używać intencji, mowie i piśmie zaimka „ja”, wystrzegając się natomiast pochopnego przejścia na formę „ty”, „on”, „ona”, „ono” lub, co równie niedorzeczne „my”, „wy” i „oni”. Ostrzeżenie dotyczy równocześnie wszystkich koncepcji po równi, również wielo-poziomowej, zaproponowanej przez freudyzm, gdzie tradycyjne, antropologiczne i psychologiczne „ja” stara się zmieścić w sobie gatunkowe „id” oraz zbiorowe „alterego” (z wątpliwym zresztą skutkiem). Podobne zakusy towarzyszą postarystotelesowskiemu antropologiom kulturowym, dyskretnie sugerującym, iż w jednostkowym „ja” da się pomieścić niezłomnie konstitutywne, społeczne „y”. Nie wolno też pomijać dawnych i nowszych interpretacji teologicznie zorientowanych systemów metafizycznych, pewnych, że w każdym, a przynajmniej w w grupie wyróżnionych „ja” mieści się pierwiastek boski.

Wydaje się, że w każdym przypadku wypada dążyć do jasnego dookreślenia istoty i kategoryalnych granic J a c z y s t e g o , skoncentrowanego w świadomej przytomności, albo niewiele od niej dalej. W jego strukturze mieści się to co aktualne i uobecnione przeżyciowo oraz to co jest w danej chwili potencjalne, oczekujące na aktualizację, ujawniającą ostatecznie to co istniało, ale w ukryciu, albo na definitywne zamknięcie i kasację. Bądź na odłożenie na później.

Istnieje też zapewne w strukturze „ja” miejsce permanentnych transferów z otoczeniem naogół ekwiwalentnych, zważywszy na obiektywną pojemność podmiotowego centrum. Jednostka jest w stanie przeżywać czasem niewiele treści, kiedy indziej, wielokrotnie przekraczając ustalone normy, nigdy jednak nie potrafi przełamać ograniczeń subiektywnej pojemności myśli i uczuć, ani też nie może rozwinąć nadmiernej szybkości przemian jakościowych. Tam zwłaszcza, gdzie dochodzi do przyjęcia i przetworzenia nowych treści, względnie pojęcia decyzji co do ich odrzucenia.

Kim jestem zatem, a kim pragnę być? Pytania te padają zarówno w spokojnym nurcie znanych wcześniej doznań, ale również domagają się odpowiedzi w w trakcie gwałtownych porywów, w kłębowisku namiętności i w chaotycznych starciach niejasnych alternatyw.

Nie wolno przede wszystkim pominąć lekcji udzielonej przez m i t o l o g i ę , praźródło ogółu kultur, dość wyraźnie

wskazującej na motyw podziwu i pożądania stanu bycia kimś innym, niż się jest naprawdę i kim się zdola stać w perspektywie niezdolnej trywialności istnienia. Jeśli nie możesz równać się z bogami, którzy stanowią dla człowieka wzorzec niedościgły, to przynajmniej spróbuj zmierzyć się z poziomem herosów, w najgorszym zaś razie z szczęśliwym losem rozmaitych bohaterów baśni i przypowieści, w rodzaju dzielnych rycerzy, walczących ze smokami albo ślicznych królewn, ukochanych przez krasnoludki,

## Wszystko albo nic

Bycie sobą oznacza z jednej strony, bycie tym i takim jakim się jest właśnie w danej chwili, albo przynajmniej w pewnym odcinku życiowego procesu. Punktualizm stabilności łączy się tutaj z konserwatyzmem apoteozy bezruchu („chwilo trwaj, jesteś piękna”). Z drugiej strony, chodzi o bycie p o d m i o t e m w ł a s n y c h z m i a n k i e r u n k o w y c h , a więc wolnym sprawcą aktualizacji potencjalności. W nieco uproszczonej, by nie rzec: naiwnej i schematycznej wizji Stagiryty, to co potencjalne musi zostać urzeczywistnione w procesie życia, dążącego do substancjalnej entelechii, wedle apriorycznego projektu metafizycznego (sprawdzalnego na dość trywialnych przykładach botanicznych i rzeźbiarskich).

Pojawia się atoli problem, czy wszystko, dokładnie wszystko, co tkwi w możliwości człowieka, zdola, a nawet musi zostać zaktualizowane? Chodzi w pierwszym rzędzie o zagadnienie potencjału wyjściowego, narzuconego zasadą bezwzględnej wrodzoności. Idzie także o skomplikowany dopływ nowych jakościowo i wartościowo p o d n i e t r o z w o j o w y c h , zaakceptowanych przez dane „ja” jako p o t e n c j a ł w z b o g a c o n y , toteż ewidentnie odmienny od wyjściowego. Co zaś jest przyczyną owej różnicy? Konstrukcja wzbogaconego potencjału niekoniecznie przecież bywa przejrzysta i wewnętrznie spójna. Co więcej, może dochodzić nawet do powikłań, sprzeczności i jawnych konfliktów, przede wszystkim w sytuacjach dramatycznych i ostatecznych wyborów dalszych dróg życia.

Warto w tym punkcie zrezygnować z klasycznych, podręcznikowych egzemplifikacji. Czy wypada natomiast wciąż powracać do kwestii postulat „bycia sobą” w sposób krytyczny i historyczny zarazem. Czego oczekiwać w perspektywie statusu Sokratesa jako wzorca ateńskiego mędrca czasów Peryklesa? Naśladownictwa, identyfikacji, drogowskazu dla odwagi samodzielności obywatelskiej? Kto dziś pragnie być niezłomny niczym Kant, Hegel i Schopenhauer tasm wzięci, stosownie zmitologizowani? Kto podążyc śladem Nietzschego jako wizjonera nadczłowieczeństwa z epoki cesarskiej II Rzeszy? Czy nie słuszniej sięgnąć do treści marzeń artystów Renesansu (od Leonarda po Szekspira), arcydzieł muzyki baroku względnie

20-wiecznego przełomu w sztuce filmowej? Czy wpisać na listę szczytów „bycia sobą” poznawcze ambicje Newtona, Einsteina i Hawkinga? Albo spełnienie technologicznego geniuszu twórców lotnictwa, kosmonautyki i Internetu? A swoistość bycia sobą w wydaniu wojowniczym: Aleksandra Macedońskiego, Czyngis Chana, Bonapartego oraz tyranów XX wieku? Co uczynić z anonimową masą miłośników życia sielskiego, anielskiego, pełnego miłosnej słodyczy i rodzinnego spokoju?

Po uznanie i szacunek, po należne laury, lokamy sławę i sezonowy rozgłos sięga wielu, słusznie oczekujących na miejsce w złotej księdze przykładów samospelnienia bądź też, przeciwnie, w smutnych zapisach niedostatku samorealizacyjnej sytości. Pośród spełnionych, spełnionych cząstko i nieszczęsnych przedstawicieli niespełnienia mieszczą się kolejni uczeni, artyści, wynalazcy i budowie, a także żądni władzy politycy i sportowcy, pracy do mistrzostwa miasta, kraju i świata. Czy istnieje zatem jeden tylko, wszechobjmujący model bycia sobą? Czy raczej wyłania się długi szereg typów samospelnienia, ostatecznie przekształcający się w liczbowo nieokreślony, zapewne nieskończony ciąg rozwiązań czysto indywidualnych? Zasada indywidualizacji odwołuje się tedy do istoty pojęcia „bycia sobą” („sobości”), powtarzając za Leibnizjańską ideą tożsamości, każdorazową, radykalną niepowtarzalność, a co za tym idzie, wykluczenie jakiegokolwiek naśladownictwa, podobieństwa, poddania się ogólnym, adaptacyjnym prawdom wychowawczym, autoryzowanym przez amatorów socjalizacji. Idea samodzielnego i swobodnego „powrotu do siebie samego” podlega marginalizacji na rzecz koncepcji człowieka zbiorowego, gdzie jednostka ma do spełnienia jedynie rolę podrzędną, mianowicie elementu struktury wyższego rzędu, zazwyczaj nieświadomego własnej funkcji i znaczenia.

### Vademecum

Pod wielkim znakiem zapytania staje uniwersalne prawo do edukacyjnej, osobliwie filozoficznej ingerencji i edycji. W szczególności chodzi więc o uzurpatorską aktywność wybranych jednostek i grup – zwykle poprzez autonomiczną - uprawnionych wskazywania określonych ścieżek życiowych innym ludziom. Dodać wypada: zazwyczaj z promocją własnych wyborów i zachętą do praktyk vademecum („pójdź za mną”) w doborze najlepszej drogi do „sobości”. Paradoks tych procedur jest tym bardziej jaskrawy, im mocniej akcentuje się potrzebę pełnej niezawisłości podmiotowej, żądającej przecież wprost, że wolność i niepodległość w odnajdywaniu się autentycznym sobą (jako „ja” indywidualnym) polega właśnie na wyzwoleniu się spod wszelkich wpływów. Także czaru proroków, charyzmy wodzów i uroku mistrzów filozofii.

Uległość względem ukochanych lektur i ich znamienitych autorów, bezkrytycyzm blisku bałwochwalstwu, tudzież wszelkie rytuały w myślach, mowie i symbolach dowodzą ponad wątpliwość, że mamy we wszystkich takich przypadkach, niestety, z rezygnacją z podmiotowości. Kim więc się staję i kim się stanę w przyszłości? Wyłania się oto jawnie bulwersujący wniosek, iż nawet najszersze, najbardziej donośne wołanie o rozwój siebie samego obarczone jest ciężarem nie do uniesienia przez opadłego z sił człowieka. Tam zwłaszcza i wtedy, gdzie i kiedy wyrastają naturalne przeszkody, mnożą się zaś wewnętrzne sprzeczności. Ofiarą padają w pierwszym szeregu akurat uczciwi zwolennicy swobody totalnej w teorii, zawsze jednak gotowi na znamienne ustępstwo, traktowane z lekka jako kulturowy kompromis, acz owocujący daleko idącymi konsekwencjami.

Wiem, że mam być sobą, gorąco tedy pragnę dotrzeć do samych źródeł woli mocy mego „ja”. Jak być tedy całkowicie niezależnym w dochodzeniu do celu? Czy to w ogóle możliwe? Skoro sam pierwotny impuls wychodzi z lekcji danego Inspira-tora, a jego światło rozlewa się wciąż i nieprzerwanie w duszy kształtowanej, to chyba warto też skorzystać z pełnej, rześkiej łaski Wielkiej Iluminacji? Receptura jest wszak z góry przygotowana, wskazując na cele, metody wykonawcze i niezbędne środki, nierzadko też na gotowe produkty, czekające na spożycie i pochwałę autorów inspiracji. Co się wtedy dzieje z ambitną, deklarowaną wcześniej dążnością do samorealizacji „sobości”? W ten to prosty sposób dokonuje się demistyfikacja całej konstrukcji. Bycie sobą staje się myśleniem nie swoim, lecz zapytaniem: myśleniem Platonem, myśleniem Arystotelesem, myśleniem Augustynem, myśleniem Kartezjuszem, myśleniem Kantem, Heglem, Nietzschem, Bergsonem, Freudem, Husserlem, Sartrem, Ingardenem, Wittgensteinem lub Theilerandem de Chardin. Jest myśleniem cudzymi kategoriami, nierzadko nawet nieswoim językiem (jeśli ściśle własny naprawdę istnieje). Jeśli jeszcze w 19 wieku próżno szukać przypisów i natłoku cytatów, to już pod koniec drugiego tysiąclecia zapożyczenia stały się swoistym certyfikatem filozoficznej naukowości. Wielopiętrowe układy zależności przenoszą się też z pokolenia na pokolenie na kolejnych znawców i komentatorów plejady głównych inspiratorów. Umacnia się więc kultura, znika wszelako po drodze poszukiwany i postulowany etos podmiotu indywidualnego.

Wzamian rodzą się i krzepną szkoły, prądy i kierunki, stronnictwa, sekty i loże, konkurujące na polach myśli i czynów partie i wyznania, ściśle odgraniczone od konkurencji, wewnątrz zaś mówiące jednym głosem. Aktywność tak zwanej „świadomości zbiorowej” dopełniana bywa niekiedy jakimiś przypadkowymi rudymentami tradycji, tudzież sygnalizacją niewygasłych pragnień indywidualnych (a szczęśliwie prze-ważającej w literaturze pięknej i autobiograficznej).

Wydaje się wszakże, iż zawsze, choć zwykle w dalekim planie, pozostają główni Inspiratorzy i Sufferzy z Przeszłości. Sami, co prawda, nie poradzi sobie ani z własną „sobością”, ani z zapowiadaniem rozwiązania wielkich problemów, ale stali się za to nadzieją dla innych, zwłaszcza zafascynowanych uczniów i akolitów. Zjawia się atoli wtedy kolej a wątpliwość: czy nie rozsądniej, a z pewnością przyjemniej jest ponosić porażki własne we własnym imieniu?

### Coś za coś. Wszechstronność Vrsus specjalizacja

Przeciwny człowiek, występujący jedynie w modelowym pojęciu, wyposażony jest w niemal wszystkie dyspozycje, przysługujące gatunkowi, choć zapewne z równie ześrednionym poziomem intensywności. Naturalne uzdolnienia i wykonawcza zdarność dopełniają kształt obrazu możliwości, wpisanych w proces życia danej i każdej jednostki. Potencjał człowieka zda się wszystkim co zostaje umieszczone w rejestrze jego szans, niezależnie od tego, czy on sam wie o obszarze i granicach swego, ewentualnego przeznaczenia, czy też ręką perspektywę tę zaciemnia całkowicie ubóstwo samowiedzy oraz ciasnota wyobraźni samej, czy też niepewność horyzontów tej epoki, nieprzystających do oferowanej różnorodności przez ogół i poszczególnych jej uczestników.

Czy ukrytym talentom w nieistniejących dziedzinach mogły się przyśnić takie właśnie, samorozwojowe aspiracje, na dodatek bez pojęciowego wsparcia i przy braku niezbędного nazewnictwa? Czy wystarcza tutaj deklaracja negatywna, że nie chcę być nikim takim, jacy są pozostali ludzie na ziemi, pragnę być bowiem kimś zupełnie odmiennym i swoistym, choć dokładnie nienazwanym, niepojętym i niewyobrażonym?

Problem zasadniczy wynika przede wszystkim z wyboru koniecznych skutków wyboru głównego: tym, czy w ramach istniejącej, uporządkowanej i dostępnej ogółowi wiedzy da się wskazać na wzorzec wszechstronności i jako obowiązujące optimum rozwojowe jednostki i gatunku pospołu, czy też należy poskromić apetyty i uznać, że pełne dochodzenie do najwyższych rejonów przysługuje człowiekowi, i owszem, ale jedynie dzięki trafnemu doborowi specjaliści. Tylko w jej obrębie bowiem możliwy jest indywidualny sukces, odrzuceniu zaś musi ulec oskoma utopijnych zmagania z opanowaniem wszelkich sztuk życia przez obiektywnie ograniczoną jednostkę i to w skończonym czasie i w nie zawsze przyjaznych okolicznościach.

Nie da się być wszystkim także z tego powodu, iż wszechstronność stanowi produkt historycznego podziału pracy, zadań i funkcji, a więc przywilej podmiotów zbiorowych. Konstatujemy tę prawdę z niejakim rozczarowaniem, wtedy zwłaszcza, kiedy przychodzi nam poskromić niezdrowy

pomysł zastąpienia Atlasa, dźwigającego cały świat na swych pojedynczych barkach. Spór między ideą wszechstronności a i głębokiej specjalizacji rozstrzyga się wszelako w perspektywie konfliktu między poziomem intencjonalnej świadomości a realizmem praktyki. Chodzi więc o sławny dylemat między „chcieć” i „móc”. Czasem ze wskazaniem na omnipotencję chęci, sterowanej przez nieokiełznaną ambicję, czasem przez powściągliwość rozważli, żądającej umiaru w projektach życia spełnialnego efektywnie w rzeczywistości. Kiedy punktem odniesienia jest wskazanie na „móc” właśnie, to częściej występuje ono w roli wskaźnika niemości, tym samym ograniczającej niewczesne i nieuzasadnione retensje ludzkie do bycia wszystkim, doskonałym pod każdym względem, a najlepiej Absolutem.

Naiwne ambicje bycia sobą jako „bycia wszystkim” nawiązują do renesansowych utopii, (sprostania ideałowi Leonarda da Vinci oraz licznych zastępcy encyklopedycznych uczonych „wszech nauk”). Zderzają się one z podobnie wątpliwymi, a równie skrajnymi koncepcjami „bycia nikim, względnie „nikim szczytów”. Wiążą się one albo z wizją stagnacji lub powolnego poruszania się w możliwie niskich rejonach wyzwań, albo odwołują się do innych rozstrzygnięć aksjologicznych.

### Strategia rozwoju zrównoważonego

Odwieczny dylemat wyboru między wartością dawania „siebie i z siebie” i brania „dla siebie” nawiązują bezpośrednio do filozoficznych sporów o szczęście. Chodzi zwłaszcza o poszukiwanie specjalnego miejsca dla szczęścia, pojętego jako stan sytej błogości, spokoju i bezpieczeństwa, odrzucenie zaś ryzykownych przedsięwzięć, zapowiadających, co prawda, efekty specjalne w przypadku powodzenia, ale też bohaterkie zmaganie się z losem w na gruncie prawdopodobnych klęsk. Atrakcje pierwszego rodzaju oferują zarówno rozmaite warianty niebieskiego Raju, jak i ziemskie Ogrody Rozkoszy w wydaniu epikurejskim, na przykład, oraz w różnych innych formach pogodnego konsumpcjonizmu.

Eudajmonistyczne, w szczególności hedoniczne przesłanie rozumia się wszelako – w treści i nastroju - z programem heroizmu, dominującego w najgłośniejszych koncepcjach zalecanego rozkwitu osobowości. Czy wolno zatem lekceważyć takie wzorce dochodzenia do wyżyn siebie samego, które odrzucają wzniosłość kreatywnego samopoświęcenia, żądając, aby podmiot ludzki definiował się koniecznie tylko poprzez akty dawania z siebie wszystkiego, co się posiada, tym samym więc odrzucając myśl o przysługującym każdemu rewanżu ze strony świata zewnętrznego? Ostrożna odpowiedź pozytywna otwiera pole możliwości przyszościowych w zakresie czynnej i pełnej partycypacji



w różnorodnym bogactwie obiektywnego świata. Poszukiwanie szczęścia polega bowiem nie tylko na jednostronnym rozwijaniu siebie jako źródła transcendujących wartości, lecz także na realizacji czczonej postawy o d b i o r c z e j, delektującej się ogromem doznań, płynących wprost i pośrednio z relacji ze światem., w tym z innymi ludźmi.

Rozsądek życiowy wskazuje na niepewność ostatecznych rozstrzygnięć. Niejednokrotnie mamy do czynienia z niedowładem podmiotowej ochoty, kiedy to aspiracje jednostki znajdują się poniżej progu jej własnej mocy. Chęci lokowane są zwykle po stronie subiektywności, czasem nieświadomej siebie i swej siły, czasem podległej rygorom danej epoki, czasem niepewnej siebie, bo pozbawionej pokrzepienia serc towarzyszących ludziom od dzieciństwa po starość. Niewysoki bilans mocy sprawczych steruje nami zazwyczaj ku znacznie uboższemu programowi woli, nakazując jej zajęcie pozycji intencjonalnej skromności. Miast wikłania się w porażki, a przy okazji narażania się na śmieszność, roztropniej jest uwzględnić podpowiedź praktycznego rozumu, a więc głos samoograniczającej się rozważliwej umiaru. Zrozumiałym podziwem obdarzamy geniuszy wszechstronności, pamiętając wszakże o literackiej przesadzie („wszech” jest de facto dalekie od absolutnej „wszystkości”). Głośno też wznosimy pochwalne okrzyki na cześć wybitnych specjalistów jednej dziedziny dokonań., na szczytach hierarchii umieszczając walory rekordów w sukcesach poszczególnych. Zachęcamy siebie i wszystkich ludzi do poważnego traktowania własnego wkładu, mobilizując się do stałego, nieprzerwanego procesu wznoszenia się ponad poziomy - osobiste i uniwersalne. Jednocześnie musimy pamiętać wszakże o ontologicznej randze telosu, wpisanego w ideę h a r m o n i i i s t n i e n i a . Homeostaza bytów indywidualnych żąda utrzymania równowagi między celem a możliwościami, między energią cielesności a sprawnością psychiczną, między wysiłkiem ruchu a stagnacją wypoczynku, między bezwzględną aktualnością „teraz” a rozległością szans „jutra”. Niewykluczone jest nawet, iż listę tę należy uzupełnić o niezbędny balans między wszystkimi poziomami ludzkiego bytu: jednostkowego, społecznego i gatunkowego. Na pocieszenie trzeba dodać uwagę, iż b y ł e m , j e s t e m i b ę d ę s o b ą z a w s z e . Stan tożsamości wydaje się tedy niezależny od okoliczności i konkretnego wypełnienia jakościowego. W polu mojego podmiotowego samo-władztwa zawsze jednak pojawiają się szanse uruchomienia określonego d a l s z e g o c i ą g u .

Jakiego? Czy tylko repetycyjnego i rekonstrukcyjnego, poprzez uporczywie ponawiane powroty do przeszłości? Poprzez sierpniowy konserwatyzm utwierdzenia status quo? A może poprzez szukanie dróg nowych, dla mnie osobiście i dla nas wszystkich dotąd niesprawdzonych, dotąd nieistniejących, acz w obrazach intencjonalnego wyprzedzania rzeczywistości przez myśl - budzących nadzieję i wyzwanie.

## Korzyści i straty

Jeśli trafna jest buddyjska sugestia, iż r ó ż n e d r o g i p r o w a d z ą n a s z c z y t , to tak czy inaczej wypada zgłosić dwa uzupełnienia. Pierwsze zastrzeżenie dotyczy zakresu możliwości. Być może, różne bywają drogi, aczkolwiek dalece nie wszystkie. Są ścieżki ślepe, do nikąd prowadzące. Trafiają się przeszkody nie do pokonania, w ogóle a przynajmniej w odpowiednim czasie. Drugą uwagę dotyczy stopniowalnej oceny możliwych sposobów osiągnięcia założonego celu końcowego. Mówiąc wprost, są drogi lepsze i gorsze, trudniejsze i łatwiejsze, niszczące człowieka lub uszlachetniające osobowość, wymagające odporności na cierpienia lub dostarczające przeżyć przyjemnych i radosnych, nierzadko sięgających uczuć wzniosłości i piękna. Drogi są niejednakowe jakościowo, ale też odmienne pod względem aksjologicznym. Nacisk położony na samo, szczytowe kryterium finalnego celu może wywołać wszelako zaburzenia sterownicze, sprowadzając człowieka jeśli nie na manowce, to na szlaki najmniej korzystne, takie zwłaszcza, które wykluczają elastyczność zmiany strategii. Należy pamiętać, iż życie ludzkie nie musi wcale realizować modelu l i n i o w e g o c i ą g u p r z y c z y n i s k u t k ó w , lecz pozwala zazwyczaj na stosowanie wzorca „d r z e w a ż y c i a”. Zamiast podążać ku wierzchołkowi szlakiem jednej, wcześniej obranej trasy jednej gałęzi, częściej jednak decydujemy się przeskakiwać z gałęzi na gałąź, pnać się w górę własną drogą, w każdym zaś razie dokonując faktycznych, względnie swobodnych wyborów podmiotowych.

Aksjologicznie zorientowane wybory mają wszakże cechę j e d n o w y ł ą c z n o ś c i , ontologicznie niezbywalnej. Każdy kierunkowy krok jest mianowicie wyborem j e d n e g o t y l k o r o z w i ą z a n i a , z a w s z e k o s z t e m o d r z u c e n i a i n n y c h w a r t o ś c i . Albo Zostanę strażakiem, albo dentystą. Wirtuozem wiolonczeli, albo pilotem odrzutowca. Hydraulikiem, albo nauczycielem matematyki. Chcąc poświęcić się jednej pasji i wykorzystać jeden z talentów, muszę zrezygnować z wielu innych, niejednokrotnie z wszystkich pozostałych. Zdarza się, oczywiście, że łaskawy los pozwala na wykorzystanie kilku dyspozycji – równoległe bądź etapowo, inną dominantę drogi życia obierając w kolejnych fazach. Kilku, boże kilkunastu, lecz zdecydowanie nie wszystkich. Nie każda możliwa szansa zakończy się sukcesem spełnienia w indywidualnie określonych warunkach. Przede wszystkim jednak, nie wszystkie mieszczą się w ofercie w danych czasach i dostępnych miejscach na ziemi.

Koszty skreślenia i utaty ogromnych połączeń potencjałów poszczególnych jednostek są ogromne. Rzadko kiedy uświadamiane są rozmiary owej rozrzutności, zarówno w odniesieniu indywidualnym, jak i gatunkowym. Choć wykazujesz obiektywną zdolność, pragnienie i gotowość do samospelnienia

się w wielu wydaniach, zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie będzie ci dane zostać Konfucjuszem, Szekspirem lub Picassem, prezydentem USA, albo noblistą 2500 roku Kim więc chciałbyś być, kim możesz być, kim będziesz naprawdę – w prywatnym, społecznym i zawodowym życiu? Odpowiedź sięga z konieczności zarówno o do granic twojej wiedzy, wyobraźni i woli, jak i do ram czasowych i przestrzennych barier twojego, ściśle limotowanego, konkretnego życia.

Proces bilansowania zysków i strat odbywa się w zasadzie, niestety, w obrębie *z a c i e m n i e n i a h o r y z o n t u p r a w d y i w a r t o ś c i*. Będziesz więc ostatecznie kimś, dodając własne wybory do sumy ogólnoludzkich realizacji personalnych. Nie wiesz jednakże i nie dowiesz się nigdy, jakim i jak wielkim kosztem zrealizowałeś swój jedyny, niepowtarzalny scenariusz. Dotyczy to – pociesmy się - zarówno mędrców, głoszących hasło „Poznaj samego siebie”, jak i ogółu prostaczków, od zawsze ufnie zajmujących swe pozycje bez należytego wglądu, nierzadko nawet całkiem bezwiednie, uczestnicząc w skomplikowanym i niezbyt łaskawym świecie nie tyle wedle własnych potrzeb i możliwości, ile podług fatalistycznej recepty, wpisanej przez wieszczka w los „kamieni rzuconych na szaniec”.

### **A kim nie będziesz ?**

Z absolutną pewnością da się skwitować to pytanie cierpką uwagą na temat *w z g l ę d n o ś c i s z a n s*. Wydaje się jasne, że odpowiedź „nie będziesz nikim więcej, niż byłeś i jesteś” pada wtedy, kiedy droga życia definitywnie się kończy. Żadne stare i nowe ambicje, żadne wysiłki i wloty ducha nie zdołają wyznaczyć zarówno dalszego ciągu dawnych, sprawdzonych form aktywności, jak i tym bardziej nowych, niepewnych dróg samourzeczywistnienia. Nawet najlepsze, ciekawe i oryginalne projekty muszą być wprowadzone w ruch wyłącznie przez żywych, i sprawnych ludzi. Pytania „kim nie będziesz na pewno?” albo „kim najprawdopodobniej nie zdołasz być bę tutaj, teraz, potem i nigdy?” szukają odzewu przede wszystkim w odniesieniu do obiektywnego stanu wyposażenia podmiotu (według jakości i poziomu jego dyspozycji, charakteru i energii), ale także względem całokształtu uwarunkowań zewnętrznych. Jeśli dysponujesz nawet bogatymi zasobami samorealizacyjnych mocy, nie zdążysz ich wszystkich razem uruchomić w skończonym czasie o niesprzyjających okolicznościach. Czy człowiek dysponuje stałym potencjałem możliwości i niemożliwości, czy też stan ten zmienia się wraz z upływem lat, z ewentualną korektą zmiennej determinacji zewnętrznej? Przykład krańca życia zdaje się kierować nas ku teorii zmienności, czyli systematycznego kurczenia się obszaru szans. Podobne rozstrzygnięcie, acz z odwrotnym wynikiem, przysługuje zapewne niemowlęciu. Najbezpieczniej jest przyjąć teorię *f a l o w a n i a*

*i n d y w i d u a l n y c h p o t e n c j a ł ó w*, a więc okresowego wzmocnienia określonych szans, względnie ich osłabiania lub kompletnego zaniku. Są więc chwile, kiedy mamy prawo zwątpić w powodzenie trudnych życiowych, wystarczą jednak niewielkie korekty, na przykład w poprawie zdrowia lub pomocy ludzkiej, aby nagle pojawiły się nowe możliwości, przedtem nieobecne (także w subiektywnych kalkulacjach).

Świadomość realizacyjnych dyspozycji rozszerza się i rozwija przez całe życie. Nie jesteś i nie będziesz nigdy całym kosmosem ani boskością wcieloną. Jesteś bowiem i będziesz tylko i aż człowiekiem. Rzucony w istnienie w danym czasie i miejscu, nie możesz skorzystać z repertuaru szans, oferowanych przez inne epoki, kraje i kultury. Posiadając nawet wystarczającą zdolność do większego, mniejszego lub choćby minimalnego wyboru, sam dokonujesz aktu rezygnacji wielu możliwych dróg życia. Krocząc jednym szlakiem, pomijasz wszystkie pozostałe, na pewno pokonywane równocześnie równocześnie. Tracąc siły na realizację jednych planów, osłabiasz szanse zajęcia się czymś innym. Zmniejszając zasoby energii w nieuchronnych procesach starzenia się, odrzucasz automatycznie sposobność wykazania się tam i wtedy, gdzie i kiedy naprawdę mógłbyś przeskoczyć progi swych najwyższych możliwości. Nie pobijesz już żadnego rekordu o nie zdobędziesz wymarzonego szczytu, gdy miniem apogeum swej zdadności. Niue zdołasz, bo nie zdążysz odwrócić biefu rzeki twego istnienia. Jeśli kwestii relacji między „kim będziesz” a „kim nie będziesz” nie postawisz uwagi odpowiednio wcześniej, bądź przekonany, że rozszerzać się będzie sfera negatywna kosztem pozytywnej, prowadząc w rezultacie do rachunku staty wszelkich szans, uzysku zaś poczucia marnotrawstwa życia. W finale zaś, z poczuciem żalu, że stało się już wszystko, co stać się miało i nic już nie powróci. Niestety, nie dowiesz się też nigdy, czy naprawdę uczyniłeś wszystko, by spełnić powinność, zawartą w twym indywidualnym potencjale, czy też odpowiedź ostateczna w ogóle nie może zostać *vi* udzielona. Zwłaszcza w rozstrzygnięciu, czy i ile zależało od ciebie samego, czy też i ile zostało narzucone przez świat, prawa, tudzież wszelkie złe mocem *m* metafizyczne i ludzkie.

### **Konkluzja**

Pocieszająca atopli wydaje się konstatacja, że jakkolwiek wypadnie obrachunek z całego życia i i poszczególnych jego faz, to przecież nie da się zaprzeczyć faktowi, że *o t o b y ł e m , j e s t e m i j e s z c z e b ę d ę*, zawsze będąc *k i m ś c z y l i s o b ą s a m y m*. Niekoniecznie zdefiniowanym. Niekoniecznie też, bo i niepotrzebnie, bezwzględnie spełnionym.

# WOJCIECH ZALEWSKI



## CZY WIELKIE MIASTO JEST MIEJSCEM LUDZKIEJ SAMOTNOŚCI

*Wśród ludzi jest się także samotnym.*

Antoine de Saint-Exupéry

Trudno jest mówić i pisać o czymś, o czym trudno jest myśleć. Trudno jest myśleć o czymś nie do pojęcia, kiedy to właśnie na pojęciach zasadza się myślenie, kiedy ma ono nazywać i rozjaśniać. Nie chcemy myśleć o tym, co trudne, bolesne... To, co dotyczy egzystencjalnego wymiaru człowieczeństwa jest przez wielu deprecjonowane i uznawane za niegodne umysłowego wysiłku, który ponadto miałby sobie nadawać godność wysiłku filozoficznego. Myślenie ludzkie dobrze czuje się w tym, co ogólne, abstrakcyjne. Tym, co nieogólne i nieabstrakcyjne jest z całą pewnością fenomen zwany samotnością. Samotność ma wiele obliczy, wśród których znajdziemy oblicza zarówno pozytywne jak i negatywne.

Wydaje się, że podstawą wszelkich rodzajów samotności jest samotność metafizyczna czy, inaczej, samotność egzystencjalna, wynikająca po prostu z faktu bycia człowiekiem, z kruchej, śmiertelnej kondycji, kondycji pascalskiej „trzciny myślącej”. O takiej samotności, warunku zaistnienia wszelkich innych rodzajów samotności, pisze Tadeusz Gadacz: „Jest to samotność człowieka wobec ogromu świata, przestrzeni i czasu – i naszej w nich przemijalności. Samotność metafizyczna wpływa z niemożliwości pełnego przywiązania się do teraźniejszości, tęsknoty za przeszłością, pokładania nadziei w przyszłości. Kierkegaard określił ją jednym słowem” ‘nieporozumienie’ – nieporozumienie związane z naszym istnieniem”<sup>1</sup>.

W niniejszym eseju ograniczymy się do czegoś, co zostaje tutaj nazwane „samotnością wielkomiejską”, czyli samotnością, która znajduje swoje ufundowanie w specyficznym klimacie, jakim jest wielkie miasto. Co takiego dzieje się w wielkim mieście, że jego mieszkańcy często czują się samotni? Na czym polega ich samotność? Temu pokrótce przyjrzymy się, sięgając przede

wszystkim do znakomitego i, jak się wydaje, aktualnego eseju wielkiego niemieckiego filozofa, twórcy współczesnej socjologii, Georga Simmla, zatytułowanego *Mentalność mieszkańców wielkich miast*. Ponadto, odwołamy się do głębokich spostrzeżeń wybitnego francuskiego egzystencjalisty, Gabriela Marcela.

### **Wielkie miasto – soczewka kultury**

Przede wszystkim należy dostrzec, że „logika” wielkiego miasta w pełni odzwierciedla tzw. ducha czasów. Innymi słowy, to właśnie w wielkich miastach, w wielkich aglomeracjach, niczym w soczewce, możemy obserwować to wszystko, co dotyczy współczesnego człowieka. Wielkie miasto jest bowiem zawsze „miastem w kontekście”, miastem w kontekście jakiejś cywilizacji i jakiejś kultury. O ile na prowincji czas zdaje się płynąć wolniej, sprzyjając tym samym skupieniu i kontemplacji, o tyle większe ośrodki jako przestrzeń ścierania się progresywizmu i tradycjonalizmu, konserwatyizmu i liberalizmu, krótko mówiąc, jako przestrzeń pluralizmu, zdają się sprzyjać zagubieniu. Choć może zabrzmieć to krzywdząco i nazbyt uogólniająco, to jednak można by jednak zaryzykować tezę, iż współczesne tendencje kulturowe, niezależnie od proveniencji, generują zagubienie, stanowiące pierwszy stopień do samotności.

Czy to jednak oznacza, że współczesna kultura sprzyja samotności? Otóż, wydaje się, że kultura naszych czasów w przeważającej mierze jest kulturą zdehumanizowaną. To nie człowiek bowiem stanowi wartość samą w sobie. Nie człowiek, a jego zdolności, przy czym chodzi tutaj tylko o pewien specyficzny ich typ. Tylko takie zdolności mają znaczenie, które można wymienić, policzyć. Pisze o tym Georg Simmel we wspomnianym wyżej eseju: „Nowoczesny umysł staje się coraz bardziej umysłem liczącym. Ideałem nauk przyrodniczych jest przekształcenie świata w zadanie rachunkowe, przedstawienie każdej jego cząstki w postaci formuły matematycznej. Otóż ideałowi temu odpowiada rachunkowa dokładność życia



praktycznego, narzucona przez gospodarkę pieniężną. Ona dopiero wprowadziła w życie wielkiej liczby ludzi rozważanie, liczenie, określenia liczbowe, sprowadzanie wartości jakościowych do ilościowych”<sup>2</sup>.

Zdolnością szczególnie cenioną – tak w czasach Simmela, czyli u schyłku XIX wieku i na początku XX wieku, jak i w naszych – wydaje się być zdolność liczenia, polegająca na redukowaniu rzeczywistości do problemu, który, jak zaznaczał Gabriel Marcel, ma to do siebie, że zawsze znajduje w sobie potencjalne rozwiązanie. Skoro rzeczywistość daje się sprowadzić do problemu, to znaczy to nie mniej i nie więcej niż tyle, że jest ona na swój sposób skończona, ograniczona, a skoro ograniczona, to i poznawalna w każdym możliwym przejawie. Takie przeświadczenie, zakładające, że świat może zostać rozpisany na „równanie matematyczne”, zawiera w sobie coś, co można by nazwać metafizycznym wartościowaniem. Rzecz bowiem w tym, że świat zredukowany do problemu, „świat jako równanie” to świat zamknięty na jakąkolwiek głębię czy transcendencję, świat, w którym to, co immanentne, „tutejsze” wyniesione zostaje do rangi absolutnej. Absolutny w świetle takiej (anty)metafizyki jest dla człowieka rozum, relatywne uczucia i cała sfera zwana subiektywną, wewnętrzną. Racjonalne, wartościowe jest tylko to, co obiektywne, weryfikowalne w świetle empirii, która zasadza się na twardych zasadach logiki i matematyki w ich najbardziej „przyziemnym” wydaniu, mianowicie w szeroko rozumianym mariażu techniki i ekonomii.

Wartość człowieka jest zatem mierzona jego rozumnością, przy czym rozumność taka orientowana ma być na konkretny cel. Rozumność, będąca wartością dla współczesnej kultury, to rozumność instrumentalna, techniczna. Jak podkreśla Simmel: „Wszelkie stosunki uczuciowe między ludźmi mają za podstawę cechy indywidualne, podczas gdy stosunki oparte na intelekcie posługują się ludźmi tak jak liczbami, jak elementami samymi w sobie bez znaczenia, interesującymi tylko ze względu na ich obiektywnie ocenianą skuteczność”<sup>3</sup>. Rozum dzieli, kategoryzuje, podważa, nazywa, daje poczucie władzy i panowania nad rzeczywistością. Racjonalizm naszych czasów to nie racjonalizm bezinteresowny, wynikający z umiłowania prawdy jako takiej. Przeciwnie, jest to koncepcja motywowana interesem ekonomicznym, nastawiona na konkretny cel - szeroko rozumianą przyjemność. To właśnie ona stanowi swoiste dictum. Ona – przyjemność – pozostaje fundamentem nadmiernej troski ekonomiczno-technicznej, obserwowalnej w naszej kulturze.

Powyższe ogólne uwagi, choć są z całą pewnością upraszczające, odnoszą się do cywilizacyjnego kontekstu, w którym ugruntowanie znajdują centra kulturalnego życia społeczeństw, jakim są wielkie miasta. Co takiego jest w wielkim mieście, że w specyficzny sposób czyni ono jednostkę ludzką samotną i na czym samotność ta polega?

## Diagnoza Simmela

Georg Simmel zauważa związek między eskalacją ekonomiczną a tym, co nazywa postawą zblazowaną. Postawą, która według niego stanowi przypadłość mieszkańców większych ośrodków. Mogłoby się wydawać, że teza niemieckiego filozofa może się wydawać anachroniczna, a jednak, jak się wydaje, znajduje ona swoje głębokie uzasadnienie w rzeczywistości aktualnej. Jak pisze Simmel: „Wielkie miasta, teren obiegu pieniądza, w którym pogoń za przedmiotami osiąga całkiem inne rozmiary niż w małych miasteczkach, są też właściwym terenem występowania postawy zblazowanej. Maksymalne pobudzenie systemu nerwowego jednostki jako efekt nagromadzenia ludzi i przedmiotów, kulminuje w postawie zblazowanej. Odmowa reakcji na treści i formy życia wielkomiejskiego jest ostateczną szansą dostosowania się do nich. Instynkt samozachowawczy pewnych natur ucieka się do dewaluacji całego świata przedmiotowego, co w końcu nieuchronnie prowadzi do poczucia dewaluacji własnej osobowości”<sup>4</sup>. Czyż powyższy fragment eseju niemieckiego intelektualisty nie jest aktualny? Czy nadmiar bodźców i informacji nie sprzyja specyficznemu zubożeniu? Zubożeniu, które niemalże dosłownie „wypłukuje” człowieka z tego, co mu najbardziej właściwe, z jego głęboko rozumianego wnętrza? Zwróćmy uwagę na związek między pieniądzem a zblazowaniem, który Simmel podkreśla jako kluczowy. Wielkie miasto jest terenem obiegu pieniądza, który, jak stwierdza niemiecki filozof, „stanowi w równej mierze ekwiwalent wszelkich najbardziej różnorodnych przedmiotów, wszelkie jakościowe różnice sprowadza do różnic ilościowych, dzięki swemu neutralnemu charakterowi narzuca się jako wspólny mianownik wszystkich wartości”<sup>5</sup>. Pieniądz jest wspólnym mianownikiem wszystkich wartości. Zatem, wszystko jest przeliczalne, wszystko można zastąpić, wymienić, oddać za tzw. równowartość. Pieniądz jest tym, co dyktuje. Jest swojego rodzaju pryncypium, absolutnym punktem odniesienia. W rzeczywistości rządzonej przez pieniądz jesteśmy przeto nieustannie zagrożeni. Jeżeli bowiem, choćby tylko potencjalnie, nie ma takiej rzeczy, której nie można nabyć czy wymienić, to trudno szukać czegoś trwałego, jakiejś bez-interes-ownej, pewnej, nienaruszalnej przystani. Samotność wydaje się nieunikniona.

Swoistym „wstępem” do samotności, jej warunkiem koniecznym jest to, co Simmel nazywa postawą zblazowaną. Czym jest ta, charakterystyczna dla wielkich miast, postawa, o której mówi niemiecki myśliciel<sup>6</sup>? Otóż, zblazowanie przejawia się w zatraceniu elementarnej wrażliwości na to, co dzieje się na zewnątrz nas. Człowiek zblazowany to człowiek obojętny. Jak pisze Simmel, obojętny „na różnorodne bogactwo przedmiotów nie w tym sensie, że zblazowany nie przyjmuje do wiadomości ich istnienia, ale w tym, że znaczenie i wartość różnorodności, a co za tym idzie i samych przedmiotów, odczuwana jest jako nieistotna”. Zblazowanie to zatem istotne zubożenie podmiotu, to swoista autoredukcja, której człowiek

nie jest nawet do końca świadomy. Ów człowiek zblazowany to bowiem w końcu ktoś, kto przestaje dostrzegać różnice jakościowe, biernie przyjmując rzeczywistość w jej pędzie i pozornym tylko uporządkowaniu. Pozornym, gdyż uporządkowanie to nie czyni człowieka p o r z ą d n y m, ale raczej p o d d a n y m, poddanym własnej bezradności i bezrefleksyjności.

Atmosfera wielkiego miasta, jego pęd i dynamika sprawiają, że człowiek – niejako na mocy konieczności – uodparnia się na bogactwo wrażeń. Rutyna, schematyczność, a zarazem chaotyczność, w sposób paradoksalny, łączą się i przynależą wielkomięjskiej codzienności „szarego” człowieka. Człowieka zuniformizowanego, odindywidualizowanego, spłaszczonego...

Atmosfera wielkiego miasta to atmosfera nieustającego pędu. Szybkie zmiany, wielość ludzi i różnorodność propozycji sprawiają, że, jak pisze Simmel: „Jednostka staje się (...) pyłkiem wobec przytłaczającej organizacji rzeczy i sił, które stopniowo odbierają jej atrybuty takie jak postęp, uduchowienie, wartość, przenosząc je z formy subiektywnego życia do formy życia czysto obiektywnego”<sup>8</sup>. Podkreślić należy, że tzw. sfera obiektywna to sfera panowania intelektu, silnie sprzężonego z ekonomicznym dyktatem pieniądza. Tutaj dotykamy istoty problemu. Otóż, pojawia się jakiś zdecydowany kontrast, wyrwa, która oddziela ludzką jednostkę od reszty, czyli innych, którzy w wielkomięjskim klimacie stają się „ludźmi bez twarzy”, anonimowymi numerami, co do których owa jednostka ludzka zachowuje daleko idący dystans i rezerwę, ową simmlowską duchową postawę mieszkańców wielkich miast<sup>9</sup>.

Rezerwa cechuje się obojętnością. Obojętność nie jest natomiast czymś neutralnym, nieszkodliwym, ale ma daleko idące, aksjologiczno-etyczne konsekwencje, które sprawiają, że człowiek obojętny odbiera innych ludzi jako dalekich, abstrakcyjnych, może nawet wrogich. Inni zostają przeto ograniczeni do roli, funkcji, a wielość ewentualnych kontaktów międzyludzkich – skądinąd także charakterystyczna dla dużych miast – sprzyja powierzchowności. Dlatego kontakty w przeważającej mierze mają charakter utylitarny, ludzie zwracają się do siebie „po coś”, ich relacje są interesowne; inny, drugi człowiek nie jest celem samym w sobie, ale staje się środkiem do realizacji jakiegoś m o j e g o celu. Jeśli inny jest środkiem do celu, to zostaje zinstrumentalizowany, zreifikowany, zredukowany. Simmel ma rację, gdy pisze: „Dopiero fizyczna bliskość uwytatnia dystans duchowy. Odwrotną stroną wolności stanowi samotność i opuszczenie, nigdy tak dotkliwie nieodczuwane, jak niekiedy w ciżbie wielkomięjskiej”<sup>10</sup>. Paradoksalnie, im ludzie znajdują się bliżej siebie, im jest ich więcej, tym czują się bardziej samotni, zagubieni. Człowiek z jednej strony potrzebuje bezpieczeństwa, schronu, wspólnoty, z drugiej jednak strony nadmierna bliskość wydaje się być zagrożeniem dla indywidualności. A indywidualność, choć jest nieustannie „zabijana” przez atmosferę wielkiego miasta, to jednak wciąż stanowi

wartość. Wydaje się bowiem, że niemal każdy człowiek chce być kimś jedynym w swoim rodzaju, kimś niepowtarzalnym. Problem „indywidualności wielkomięjskiej” polega jednak na tym, iż brakuje jej solidnych fundamentów. Innymi słowy, indywidualność promowana przez współczesną, dominującą kulturę, której „wybuch” możemy obserwować w rzeczywistości wielkomięjskiej to indywidualność karykaturalna. Jest ona wynikiem absolutyzacji idei indywidualizmu przy jednoczesnym umasowieniu i spłyceciu, właściwym dla współczesnego kontekstu kulturowego.

Tymczasem nie ma indywidualności bez odpowiedniego poziomu świadomości. Nie ma jej bez umiejętności krytycznego dystansu wobec zastanych trendów, mód czy tendencji. Aby stworzyć silną, odporną osobowość, należy wykształcić w sobie umiejętność rozróżniania tego, co wartościowe od tego, co bezwartościowe, tego, co dobre, od tego, co złe, tego, co piękne od tego, co tylko efektowne... Dlatego fundamentalnym warunkiem zaistnienia indywidualności jest wolność. Człowiek, aby stać się autonomiczną jednostką, musi mieć najpierw ku temu odpowiednie warunki, nieistniejące bez wolności. Simmel twierdzi, że wolność polega na realizacji swojej własnej, sobie tylko właściwej natury, która w sposób wyraźny odróżniać ma nas spośród innych ludzi<sup>11</sup>. Wolność jednak – jak doświadczamy – ma jednak charakter ambiwalentny: z jednej strony jest ona czymś upragnionym, kojarzy się z beztróską i bezwzględną niezależnością, z drugiej jednak strony jest nieodłączna od odpowiedzialności, a ta jest zawsze – w pewnej mierze – obciążająca. Wolność zatem c o ś człowiekowi daje, ale zawsze w zamian. Człowiek, który w sposób priorytetowy chce pielęgnować i rozwijać swoją indywidualność, musi więc zapłacić wielką cenę. Dlatego też, wydaje się, że silnie i zdecydowane indywidualności, chcąc obronić swoją niezależność, a jednocześnie nie popaść w osamotnienie, nie mogą zwalniać się z trudu nieustannego namysłu i refleksji. Indywidualność, popadając w bezmyślność, tworzy bowiem własną karykaturę. Niech wystarczy przykład niektórych tzw. gwiazd show biznesu czy celebrytów. Ich „indywidualność”, promowana przez główne nurty współczesnej (pop)kultury<sup>12</sup> niewątpliwie sprzyja powszechnemu osamotnieniu. Stanowiąc wzorzec silnej osobowości, zdradzają niemalże wszystkie założenia kultury współczesnej, która wmawia człowiekowi jego prawo do indywidualności, objawiające się roszceniowym stosunkiem do rzeczywistości, a także swoistą idolotryzacją tzw. prawa do niczym nieskrępowanego wyrażania siebie. Tutaj właśnie wkracza tematyka samotności sensu stricto. Rzecz w tym, że człowiek narażony na samotność to człowiek niezakorzeniony, naiwny i bezbronny.

### **Samotność jako niewdzięczność**

Wybitny francuski filozof egzystencjalny, Gabriel Marcel, powiada, że „człowiek aglomeracji jest w najgłębszym sensie tego słowa człowiekiem bez dziedzictwa, a także człowiekiem,

który nikomu niczego po sobie nie pozostawi. Chciałoby się powiedzieć, że jego środowiskiem życia jest nie-wdzięczność [*non-gratitude*] – nie mówimy o zwykłej niewdzięczności [*ingratitude*], bo ta zakłada otrzymanie daru i brak wdzięczności [*reconnaissance*]. Tymczasem tutaj znika sam dar. (...) Dar zostaje zastąpiony zawsze częściowym i niewystarczającym spełnieniem roszczenia, które postrzega siebie jako głęboko słuszne (...)”<sup>13</sup>. Jak to rozumieć? Co to znaczy, że mieszkaniec wielkiego miasta jest pozbawiony dziedzictwa? Czy nie właśnie to, że współczesność, której szczególnie wyróżnione *locus* stanowią wielkie ośrodki miejskie, zdeprecjonowała wartość ludzkiego życia, rozumianego jako niepowtarzalne i święte? Czy dominująca kultura nie gloryfikuje ludzkiego egoizmu i nie zachęca do używania, także używania innego człowieka? Czy tutaj właśnie nie tkwią źródła głębokiego pogubienia, samotności? Człowiek nie-wy-darzony, osoba pozbawiona poczucia zakorzenienia i głębokiego, dziejowego, płynącego od pokoleń zobowiązania to ktoś niezdolny do odkrycia w sobie głębszych pokładów człowieczeństwa. Takich pokładów, których zasadą jest nie co innego, jak coraz mniej zrozumiała bezinteresowność. Dlatego wydaje się, że przaprzyczyną samotności, w sposób szczególnie obserwowalnej w wielkim mieście, jest nie co innego jak egologiczna, postnowożytna wizja podmiotu. Wyjaśniając, rzecz w tym, że człowiek zatracił fundamentalne zaufanie do świata, a przede wszystkim zaufanie do innego człowieka. *Homo homini lupus est*, powiedział Thomas Hobbes. Dziś te słowa nie tracą na aktualności, bowiem wydziedziczeni ludzie, „ludzie wielkich miast”, o których wspomina Marcel, to osoby, które zatraciły wymiar bliskości i braterstwa<sup>14</sup>. Inny, drugi jest przeto rozumiany na sposób negatywny, nie pozytywny. Jest on kimś raczej podejrzanym niż zaufanym, kimś pożądanym raczej niż upragnionym. Kimś niepewnym raczej niż pewnym. Słowem, jest on kimś dalekim, nie zaś pierwotnie bliskim, ewangelicznym bliźnim.

Jednakże, wymiar braterstwa, o którym mówi Marcel, nie ma oznaczać naiwnej utopii, podobnej do tych, które proponują koncepcje socjalistyczne. Wręcz przeciwnie, Marcel podkreśla: „Braterstwo jest heterocentryczne: widzę w tobie brata, a skoro nim jesteś, nie tylko uznaję twoją inność, ale też mogę się cieszyć twoją wyższością”<sup>15</sup>. Przekroczyć samotność znaczy zatem: przewyciężyć „przesąd demokratyczny”, tzn. dogmatyczne przekonanie, zgodne z którym wszyscy ludzie mają spełniać narzucony standard. To też skierować swoje zainteresowanie na inność, na to, co wymyka się schematom narzucanym przez massmedia i wszelkie ich wykwit.

Niestety, modelowy wielkomijski „indywidualista”, wypływający z głębszych treści, zblazowany i spętany chęcią posiadania jest tak zdeterminowany przez dążenie do własnego rozwoju, że inni jako tacy nie stanowią dla niego wartości. To „ja” jest wartością absolutną. Na odwrocie tak rozumianego indywidualizmu i wolności znajduje się jednak samotność, opuszcze-

nie. Czy nie obserwujemy jej obliczy na uśmiechniętych, lecz pustych twarzach idoli i wzorców współczesnego świata?

\*\*\*

„Samotność wielkomijska” jest faktem. Polega ona przede wszystkim na zagubieniu tego, co wydaje się w życiu ludzkim czymś istotnym. Tym czymś są autentyczne, bezinteresowne i nakierowane na dobro innego człowieka międzyludzkie relacje, które są zawsze konkretne, zawsze jedyne w swoim rodzaju. Trudno jest jednak mówić o czymś jako istotnym, gdy nadajemy wartość jedynie temu, co jest weryfikowalne w świetle współczesnego paradygmatu sensu, który jest nie tyle racjonalistyczny, co pragmatyczny, nakierowany na „ja”. Podsumowując, trzeba powiedzieć zatem stanowczo, że klimat współczesnej kultury, kultury masowej, zdominował teren wielkiego miasta. Nie oznacza to oczywiście skrajnej beznadziei. Wielkie miasta są bowiem jednocześnie wielkimi ośrodkami kultury wysokiej. Ten temat to jednak osobne zagadnienie. W niniejszym eseju ograniczyliśmy się do innego i, jak się wydaje, dominującego aspektu wielkiego miasta, który czyni człowieka samotnym, czyli nieszczęśliwym i zamkniętym w płytkich, „bezmysłnych” schematach oddzielających od innych osób.

Przypisy:

1. T. Gadacz, *O umiejętności życia*, Kraków 2003, s. 101.
2. G. Simmel, *Mentalność mieszkańców wielkich miast*, w: tenże, *Socjologia*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 1975, s.517.
3. Tamże, s. 516.
4. Tamże, s. 520 - 521.
5. Tamże, s. 520.
6. Zob. tamże, s. 519.
7. Tamże.
8. Tamże, s. 529.
9. Zob. tamże, s. 521.
10. Tamże, s. 525.
11. Por. tamże, s. 526.
12. Popkultura, nawet w swoim najbardziej płytkim przejawie, nie przestaje być kulturą, czyli sposobem radzenia sobie z ludzkim życiem w jego wymiarze ponadużytecznym.
13. G. Marcel, *Pojęcie dziedzictwa duchowego*, w: tenże, *Mądrość i poczucie sacrum*, przeł. K. Chodacki,
14. P. Chołda, Kraków 2011, s. 50-51.[1] Por. tenże, *Testament filozoficzny*, w: *Mądrość i poczucie sacrum*, dz. cyt., s. 113.
15. Tamże.



# ANNA SZKLARSKA



## WSPÓLNOTA, KTÓRA NADCHODZI CZYLI O NOWYCH NARZĘDZIACH I FORMACH BIOWŁADZY

Współczesny włoski filozof Giorgio Agamben zwraca uwagę na odwrócenie sensów podstawowych kategorii określających życie ludzkie (*zoe*, *bios*), co stanowi przewrót o radykalnych konsekwencjach. W opinii Agambena klasyczne rozróżnienie na życie prywatne i publiczne, na człowieka jako istotę biologiczną (tj. *zoe*) i człowieka jako polityczny podmiot, funkcjonujący w ramach pewnej kultury prawnej, obyczajowej, społecznej, naukowej (tj. *bios*) dawno się zdezaktualizowało. W swoich tekstach Agamben operuje kategorią *homo sacer*, który jest czystym, nagim, biologicznym życiem. Życie *homo sacer*, powiada włoski myśliciel, jest nagie – nie określa go nic poza możliwością unicestwienia. Nagie życie – a zatem wyizolowane z dalszych, kulturowych i społecznych kontekstów, sam fakt życia i możliwość jego bezkarnego zabicia. Skoro *homo sacer* funkcjonuje ze względu na nagie życie, które można bezkarnie odebrać – tym samym dochodzi do upolitycznienia *zoe* w majestacie prawa. *Homo sacer* ma status bezbronnej zabawki w rękach swego suwerena. Określa go fakt, że nie ma on władzy nad swoim losem. W ujęciu Agambena (zainspirowanego Arystotelesem) *zoe* oznacza życie fizjologiczne, prywatne aspekty życia ludzkiego, jak sfera seksualna, czy kondycja zdrowotna, odnosi się do ciała. Gorzki triumf nagiego życia następuje, gdy podmiot polityczny i organizm biologiczny zostają zrównane. Nadajemy prawa obywatelom jako nosicielom nagiego życia – w konsekwencji upolityczniamy dotychczas prywatną sferę *zoe*. To co fizjologiczne, intymne i prywatne staje się publiczne i regulowane przez państwo. Symbolem władzy nie jest już śmiercionośny miecz, lecz malutka strzykawka. Agamben analizuje nowy biopolityczny model władzy, który jest zarazem modelem prawno-instytucjonalnym. Zdaniem włoskiego myśliciela wpisanie nagiego życia w sferę polityczną stanowi rdzeń współczesnej suwerennej władzy. Życie biologiczne, jako takie, zaczyna zajmować centrum sceny politycznej. Współczesny suweren za przedmiot swojej dominacji obiera nagie życie, które zaczyna wypełniać całą przestrzeń polityki i to stanowi nową jakość. Obecnie państwa sytuują biologiczne życie w centrum swych działań i kalkulacji. Władza zarządza przetrwaniem jednostek i całych populacji, polega na gospodarowaniu życiem, jest administrowaniem ciałami, traktuje życie w kontekście ewidencji i rachunku zarządzania zasobami ludzkimi. Rządzący decydują o sposobach i dopuszczalnych metodach, w jakich życie zostaje poczęte, o szczepionkach, jakie obligatoryjnie zostają mu zaaplikowane i warunkach jego zakończenia. Idzie wreszcie o ustalenie punktu, w którym można zabijać człowieka (również w sensie odstąpienia od ratowania życia), nie czując, że popełnia się zbrodnię. Agamben z inspiracji swojego filozoficznego mistrza Michaela Foucaulta przekonuje, że współczesna biowładza chce kontrolować samo życie, triumfuje przez opanowanie życia. Zarządza nim, do pewnego stopnia je projektuje, skwapliwie klasyfikuje i dyscyplinuje. Jest to możliwe,

ponieważ władza dysponuje technologią mogącą sterować nagim życiem, przedłuża jego funkcje, bądź uznaje, że życie na to nie zasługuje. Agamben rozumie biowładzę jako wytyczanie granic, które dzielą życie na uprawnione i wykołajone, postawione poza nawias. Wszystko to ma źródło w tym, że nowożytna polityka uznaje życie samo za swą kluczową wartość. Jako obywatele w państwach demokratycznych dysponujemy wachlarzem rozmaitych praw, ale nie zmienia to faktu, że przynależymy do tego porządku jako egzemplarze nagiego życia i każdy z nas jest potencjalnie homo sacer. Zdaniem Agambena dzisiejszy świat jest niczym obóz, w którym o życiu i śmierci stanowi arbitralna decyzja, w dodatku uregulowana z mocy prawa i podtrzymywana przez jego autorytet. Biowładza to sytuacja, gdy bioetyczne kwestie zostają wciągnięte w sferę polityki, tym samym na mocy suwerennego przepisu pewne formy życia zostają uznane za przekłete i niepożądane. Można jednak postawić pytanie: kto, jeśli nie ustawodawca, miałby je regulować? Sens różnicy między życiem a śmiercią określa w pełni arbitralnie biowładza. Filozof nie cofa się przed mocnymi oskarżeniami wobec współczesnej demokracji. Uważa, że nagięte życie zostało bezwzględnie upolitycznione zarówno w ustroju totalitarnym, jak i w demokracji. Jak pisze: „Nasza polityka nie zna dziś innej wartości niż życie, (...) tak jak nazizm i faszyzm, które uczyniły z decydowania o nagim życiu najwyższe kryterium polityczne.”<sup>1</sup> Życie zostało wydane władzy i jej przemocy. Stan wyjątkowy, kiedy to pojedyncze, tymczasowe, spontaniczne rozporządzenia władzy nie są odróżnialne od reguły, upowszechnił się jako model władzy, rozwiązanie po jakie chętnie sięga się we współczesnej demokracji, zwłaszcza w sytuacji zagrożenia. W niej to zwłaszcza nagięte życie jest produktem manewrów władzy. Stan wyjątkowy Agamben rozumie jako już zupełnie bezprecedensową sytuację, kiedy jako obywatel jestem sprowadzonym do samego zoe, w nim wyczerpuje się moje człowieczeństwo. Agamben w nieco historycznym tonie porównuje to, co działo się w obozie zagłady do sytuacji osób podtrzymywanych przy życiu dzięki medycznej aparaturze, których w pewnym momencie suweren od niej decyduje się odłączyć. W obydwu tych politycznych ustrojach dokonało się odmiotowanie ludzi do postaci samego biologicznego wymiaru życia, wystawionego na pastwę omnipotencji władzy. Dziś ta ostatnia dysponuje technologią, by życie człowieka sklonować bądź genetycznie je modyfikować.

Przełomowy okazał się rok 1953, który przyniósł słynny artykuł w „Nature”, a w nim odczytanie kodu DNA. Odtąd człowiek zna własny genom. Poznaliśmy sposób kodowania informacji genetycznej. Zyskaliśmy pewną wiedzę odnośnie procesów dziedziczenia. Jakie było dalsze zastosowanie tej wiedzy?

W roku 1972 dwóm amerykańskim biologom: Stanleyowi Cohenowi i Herbertowi Bover udało się po raz pierwszy przenieść ludzki gen do bakterii. Naukowcy udowodnili tym samym, że podstawowa instrukcja życia zapisana jest we wszystkich organizmach w tym samym języku. Pojawił się dylemat: Czy

rozeznając strukturę genetyczną człowieka, nie moglibyśmy jej trochę zmienić?

Te odkrycia otworzyły perspektywy ingerowania w ludzki genom, modyfikowania go i ulepszania. Sprowokowały pytanie: Czy wolno ingerować w już istniejące gatunki i dokonywać międzygatunkowego transferu genów? Inżynieria genetyczna to świadoma i celowa (kontrolowana w warunkach laboratoryjnych) ingerencja w materiał genetyczny organizmów, w celu zmiany ich właściwości dziedzicznych. Polega ona na wprowadzaniu do komórek organizmu, którego cechy chcemy zmienić (biorcy), określonego odcinka DNA innego organizmu (dawcy).

Kolejną przełomową datą jest rok 1978, w którym na świat przyszła Louise Brown – pierwsze dziecko poczęte poza organizmem matki. Matka dziewczynki na skutek wcześniejszej ciąży jajowodowej nie mogła naturalnie począć dziecka. Dwóch lekarzy Patrick Steptoe i Robert Edwards podjęli się zapłodnienia pobranej od pacjentki komórki jajowej w warunkach laboratoryjnych, a następnie implantowania otrzymanego zarodka do jej organizmu. Zarodek zaczął się naturalnie rozwijać. W Polsce pierwsze dziecko poczęte metodą *in vitro* urodziło się w klinice w Białymstoku w 1987 roku, dzięki zespołowi lekarzy kierowanemu przez prof. Mariana Szamatowicza. Dla zwiększenia skuteczności metody i uniknięcia wielokrotnego poddawania kobiet stymulacji hormonalnej, do programu *in vitro* wprowadzono kriokonserwację zarodków. Większa liczba zamrożonych komórek jajowych pozwala ponowić próbę po tym jak pierwsza czy druga próba się nie uda. Nie trzeba za każdym razem na nowo przeprowadzać kuracji hormonalnej u kobiety, żeby powstała komórka jajowa. Kriokonserwacja zarodków ludzkich jest niezbędna dla skuteczności tej metody. Zamrażanie komórek jajowych jest także możliwe. Czas przechowywania komórek jajowych i zarodków w ciekłym azocie nie wpływa na ich jakość. O tym co stanie się z niewykorzystanymi, np. czy i na jakich zasadach będą mogły zostać przekierowane na potrzeby badań naukowych, decyduje suweren. W celu wykluczenia implantowania zarodków dotkniętych wadami i chorobami genetycznymi powszechnie stosuje się diagnostykę preimplantacyjną. Przed implantacją, nim wszczepi się zarodek sprawdza się go pod kątem chorób takich jak trisomia. Niektórzy filozofowie jak Jurgen Habermas czy Michael Sandel uważają, że jest to forma nowej eugeniki. Dla Agambena to pole manewrów biowładzy.

Narodziny owcy Dolly, sklonowanej w 1997 wzbudziły wiele obaw przed przyszłym klonowaniem ludzi. W 2001 roku amerykańska firma Genetic Savings & Clone sklonowała pierwszego kota nazwanego Carbon Copy w oparciu o materiał genetyczny kota Nicky’ego. Następnie spopularyzowano komercyjne klonowanie kotów (którego cena waha się od 32 tysięcy do 50 tysięcy dolarów) i psów (koszt to 100 tysięcy dolarów).

W 2013 roku naukowcy z Oregon Health and Science University w USA sklonowali ludzkie komórki i stworzyli identyczne genetycznie embriony (o takim samym kodzie genetycznym, jak

dzieci, od których pobrano komórki). Embriony te okazały się zdolne do życia i pełnego rozwoju. Po siedmiu dniach zespół doktora Mitalipova przerwał eksperyment i embriony zostały zniszczone.

Mamy dziś do czynienia ze swoistym wyścigiem naukowców. Zdaniem zajmującego się immunoterapią prof. Carla June z University of Pennsylvania w Filadelfii chińskie dokonania w obszarze edycji genów w terapiach nowotworowych spowodują przyspieszenie badań zmierzających do klinicznego wykorzystania tej metody także w USA. Głównymi rywalami chińskich lekarzy są właśnie Amerykanie. Sama rywalizacja na polu nowatorskich badań porównywana jest do wystrzelenia Sputnika przez Związek Radziecki w roku 1957 (które to wydarzenie uświadomiło Amerykanom, że mogą stracić przewagę technologiczną i militarną i zainicjowało wyścig kosmiczny między ZSRR a USA). Czy rzeczywiście amerykańsko - chińska konkurencja przyczyni się do udoskonalenia nowych metod leczenia? Konsekwencje edycji genów są nieprzewidywalne.

W tym miejscu warto przypomnieć, że Europejska Konwencja Bioetyczna zawiera zapis, że „Człowiek ma prawo do urodzenia się z takim genomem z jakim się począł”. Dokument ten sprzeciwia się próbie ingerencji genetycznej w celu zapanowania nad tym, kto miałby się urodzić. Tym samym biologiczna predeterminacja w Europie jest znacznie ograniczona. W Chinach w 2018 roku dwóm dziewczynkom zmodyfikowano genom na sposób terapeutyczny, by nie były nosicielkami wirusa HIV. Dzięki usunięciu genu CCR5 bliźniaczki nabyły odporności na zakażenie wirusem HIV. Metoda ta pozwala modyfikować żywe komórki, usuwać lub podmieniać pojedyncze geny. Ale stosując ją nie sposób wykluczyć tzw. strzałów poza cel. Problem polega na tym, że modyfikacja, którą planowaliśmy w jednym genie, może się dokonać w innym. Trudno zatem o jednoznaczną ocenę moralną praktyk udoskonalania. Czy to jest aby na pewno bezpieczne? To pytanie do biotechnologów. Czy to jest moralnie dopuszczalne? To pytanie stawiamy etykom. Przeciwnicy ingerencji wskazują na problem ograniczenia sprawczości i odpowiedzialności za własny los „poprawionego” człowieka, często stosują także argument z równi pochyłej – dopuszczamy ingerowanie terapeutyczne, w imię zdrowia, ale nie zatrzymujemy się na tym etapie i zaczynamy manipulować na rzecz odpowiednich zasobów i atrakcyjności fizycznej zmodyfikowanego organizmu. Czy rzeczywiście selekcja ludzkich gamet pod kątem genetycznych i strukturalnych wad jest świadectwem pychy i sprzeciwia się godności przekazywania ludzkiego życia? Jest przecież zrozumiałe, że żadna matka nie chciałaby urodzić chorego dziecka, jeżeli może temu zapobiec. Ronald Dworkin w debacie wykorzystuje argument „playing God”, by pomóc matce naturze. Skoro możemy ingerować w organizmy pozaludzkie, to dlaczego nie poprawić natury człowieka? Zwolennicy inżynierii genetycznej wskazują, że potrzeba kontroli u rozumnego i wolnego człowieka jest czymś naturalnym. Jesteśmy wolni, a zarazem biologicznie zdeterminowani, chcemy być w większym stopniu wolni, niż zdeterminowani. W dyskusji

nad udoskonalaniem człowieka pojawia się także argument z postępu, kiedy to zwraca się uwagę na istotę samego postępu cywilizacyjnego. Rozwój to ciągła kontrola tego, co rodzi nam ziemia. Dzięki GMO człowiek kontroluje różne gatunki roślin i zwierząt. Ostatni w kolejce jest sam człowiek.

Amerykański filozof Robert Nozick pod koniec XX wieku przepowiadał, że przyszłością ludzkości jest genetyczny supermarket. Idee eugeniczne jako nauki, która działa na rzecz polepszenia gatunku w drugiej połowie XX wieku zaczęły powracać, niosąc ze sobą konkretne programy. Negatywna wykładnia eugeniki uzasadniała działania będące eliminowaniem słabości, natomiast pozytywna wykładnia zakłada, że usprawiedliwione jest poprawianie ludzkiej natury. Najczęstsza argumentacja odwołuje się do faktu, że osiągnięcia medycyny doprowadziły do tego, że pula genowa naszego gatunku jest słabsza. Dawniej osobnicy o słabszym zdrowiu nie przekazywali swoich genów, zwykle nie dożywając wieku prokreacyjnego. Postęp medycyny nie idzie w parze z tym, że my jako gatunek jesteśmy silniejsi. Może właśnie to jest wystarczający argument za ingerencją w genotyp, w kod DNA, by ulepszyć człowieka? Entuzjaści inżynierii genetycznej przekonują, że nie musimy już podlegać kaprysom loterii genetycznej. Nowo zdobyta wiedza pozwoli nie tylko leczyć, ale poprawiać naturę ludzką, wydolność organizmu, pamięć, a nawet wzrost, płęć i inne cechy genetyczne przyszłego potomstwa. W majestacie prawa rodzice będą mogli zdecydować o cechach konstytutywnych dziecka. O ile suweren im na to pozwoli. Dzięki procedurze in vitro rodzice mogą zdecydować się na dziecko o określonych właściwościach, np. celowo spłodzić dziecko głuchonieme czy o odpowiednio wysokim ilorazie inteligencji. Dawniej szukano odpowiedniego partnera, dziś działamy precyzyjnie korzystając z technik wspomaganego rozrodu. W niedalekiej przyszłości będziemy mierzyć się z pytaniami: czy stworzenie dziecka, które będzie genetycznym bliźniakiem swojego rodzica albo zmarłego brata czy siostry, lub też naukowca, sportowca, wybitnego artysty powinno budzić zastrzeżenia? Ostatecznie o tym czy będzie to możliwe zadecyduje biowładza. Wśród etyków nie brak głosów wyrażających wątpliwości. Determinując z góry konstrukcję genetyczną danej osoby łamiemy jej prawo do autonomii; nawet korzystne zasoby (talent muzyczny, sprawność fizyczna, wysoki wzrost umożliwiający karierę koszykarza) już ukierunkowują nas na określoną ścieżkę życiową, w pewnym sensie gwałcąc prawo do samodzielnego ułożenia sobie życia. Rodzicielstwo eugeniczne wyraża postawę dominacji i kontroli, która nie docenia daru. Kontrargument brzmi: alternatywą dla udoskonalonego genetycznie dziecka jest dziecko zdane na łaskę loterii genetycznej, przecież nikt nie decyduje swobodnie o swoich cechach psychofizycznych, nie wybiera genów, które dziedziczy. Trudno mówić tu o jakiejś autonomii.

A co z udoskonalaniem genetycznym samych siebie? Mamy tu na myśli terapię genową komórek somatycznych (takich jak komórki mięśniowe czy mózgowie) polegającą na naprawie lub zastąpieniu wadliwych genów. Dylemat powstaje, gdy pacjenci



nie stosują jej w celu powrotu do zdrowia, tylko aby podnieść swój potencjał fizyczny czy intelektualny, innymi słowy: aby się wybić ponad przeciętność. Praktyki udoskonalania genetycznego mogą być wykorzystywane w celach niemedyceńskich, bez związku z leczeniem chorób czy zapobieganiem ich wystąpieniu. W tym wypadku znika argument z ograniczania autonomii. Po pierwsze: sami decydujemy o poddaniu się konkretnym procedurom. Po drugie: tylko interwencje genetyczne dotyczące jajeczka, plemników lub komórek zarodka wpływają na następne pokolenia. Czy powinniśmy zatem protestować?

Zdaniem Sandela wszystkie praktyki udoskonalania genetycznego zagrażają człowieczeństwu, ponieważ osłabiają ludzką sprawczość. Ujmując ludzkie działanie mechanistycznie, osłabiają wolność i poczucie moralnej odpowiedzialności. Inżynieria genetyczna odbiera znaczenie wysiłkowi. Im bardziej sportowiec polega na dopingiu lub modyfikacjach genetycznych, tym mniej odpowiada za swoje rezultaty. Zagrożona jest zatem ludzka zdolność do swobodnego działania we własnym imieniu i poczucie odpowiedzialności za to jacy jesteśmy i jak postępujemy. Pojawia się także argument teologiczny przeciwko modyfikacjom genetycznym. Należy mieć świadomość, że ludzkie talenty i zdolności nie są wyłącznie naszą zasługą, nawet jeśli mamy za zadanie je rozwijać. Tadeusz Ślipko przekonywał, że życie jest darem i należy się do niego odnosić z pokorą, respektując prawo naturalne. Inny filozof wywodzący się z tradycji apologii prawa naturalnego, William F. May, będący zarazem reprezentantem etyki wdzięczności za życie traktowane jako dar, radykalnie wystąpił przeciwko modyfikacjom. W swoich pracach poświęconych etyce rodziny postulował otwartość na nieproszone jako warunek dobrego rodzicielstwa. Zdaniem Maya aby docenić dzieci jako wartość samą w sobie trzeba je zaakceptować takie, jakie są. Miłość rodzicielska nie zależy od talentów i uzdolnień dziecka, jej istotą jest bezinteresowność. Jakakolwiek inna postawa zaburza relację między rodzicem a dzieckiem. Prometejski atak na genotyp to wyraz pragnienia dominacji, która wyklucza miłość. Niewątpliwie większość zwykłych zabiegów medycznych stanowi ingerencję w naturę, ale w imię zdrowia. Jeśli uznamy, że niczego co naturalne nie powinniśmy ograniczać, pojawia się trudność z uzasadnieniem antybiotykoterapii, terapii onkologicznych, usprawiedliwieniem transplantacji organów i tkanek, co prowadzi nas do absurdu. Jedną z najważniejszych norm medycyny jest przywrócenie i podtrzymanie naturalnych funkcji zdrowego organizmu. Medycyna ma za zadanie promować zdrowie i leczyć już występujące choroby, spełnia także funkcję prewencyjną, zapobiegając im, problem polega na tym, że w wypadku inżynierii genetycznej trudno określić granicę między przywracaniem zdrowia, a udoskonalaniem. Czy rację mają ci, którzy domagają się rozszerzenia zakresu zastosowania inżynierii genetycznej na rzecz tego drugiego?

W opinii Juliana Savulescu należy w ogóle odrzucić rozróżnienie na leczenie i udoskonalanie, jest to wywołujący niepotrzebne spory sztuczny podział. Niewątpliwie granica między

leczeniem a udoskonalaniem w niektórych przypadkach się zaciera (leczenie ortodontyczne i implantologia stomatologiczna, podawanie hormonu wzrostu niskim dzieciom, ale bez zdiagnozowanej karłowatości, zabiegi medycyny estetycznej). Dziś obowiązkiem rodziców i państwa jest utrzymywanie dzieci w dobrym stanie zdrowia. W przyszłości być może biowładza uzna, że zakres tej opieki powinien być obszerniejszy, że państwo jest również moralnie zobowiązane modyfikować genetycznie słabsze osobniki. Utylitarystycznie zorientowani etycy już dziś nawołują, że rodzice powinni korzystać z nowoczesnych technologii w celu ukształtowania takich społecznie pożądanых cech swoich dzieci, by „zapewnić im jak największe szanse na jak najlepsze życie”<sup>2</sup>. Czy coś się zmienia, jeśli rodziców zastąpi w tym samo państwo? Niektóre farmaceutyki są stosowane w celach medycznych i niemedyceńskich – pomagają dzieciom chorym na ADHD i poprawiają wyniki w nauce zdrowych dzieci, zwiększając ich zdolności koncentracji i pamięć. Psychofarmaceutyki i doping są odpowiedzią na potrzeby społeczeństwa, w którym rywalizacja jest cnotą. Są wyrazem dążenia do zoptymalizowania potencjału danego społeczeństwa. Genetyczne modyfikowanie dzieci wydaje się świetnie wpisywać we współczesną presję zawiązania wyników w sporcie i edukacji. Celem będzie umożliwienie nieprzystosowanym obywatelom osiągnięcia wyższego poziomu intelektualnego, co najmniej zadowalającej kondycji fizycznej, wydobycia ich z życiowej bezradności.

Wielu z nas manipulowanie genami dzieci w celu zapewnienia im lepszego życia przypomina eugenikę, ruch, którego celem było udoskonalenie rasy ludzkiej dzięki strategiom ukierunkowanym na podniesienie jakości puli genetycznej. Dawna eugenika segregowała i eliminowała nieprzystosowane jednostki, nowa pozwoli im odnaleźć swoje miejsce w społeczeństwie. Będzie ona dobrowolna, a nie przymusowa, któż bowiem, jak przekonują nas poradniki psychologiczne i rozmaici eksperci od dobrego życia (propagowanego pod różnymi hasłami: lago, hygge, wellness, itd.) nie chciałby być lepszą wersją siebie? Pojawiła się nawet szkoła angloamerykańskich filozofów opowiadająca się za dobrowolnymi udoskonaleniami genetycznymi. Wśród lobbujących za tym rozwiązaniem (zdaniem większości – wedle zasad wolnorynkowych) znaleźli się: Allen Buchanan, Norman Daniels, Dan Brock i Daniel Wikler. Najbardziej znanym spośród nich jest filozof prawa Ronald Dworkin. Odpierają oni argument z ograniczenia autonomii modyfikowanego genetycznie potomstwa odwołując się do faktu, że istotą rodzicielstwa jest pewnego rodzaju kontrola nad życiem swoich dzieci, która nie może zostać odwzajemniona. Relacja rodzic-dziecko nigdy nie jest symetryczna, zawsze opiera się na stosunku nadrzędności i podrzędności, wszak dzieci, niejednokrotnie wbrew swojej woli są przymuszane do zjedzenia marchewki, gry na skrzypcach czy treningu karate.

Z kolei największym krytykiem genetycznych manipulacji jest Jürgen Habermas, który twierdzi, że inżynieria genetyczna to triumf ordynarnej determinacji nad spontanicznością, władzy

nad wolnością, kształtowania życia i rzeczywistości nad ich przyjmowaniem. Życie jednostki, wraz z jej psychofizyczną, unikatową strukturą nie powinno podlegać nieuprawnionemu rozporządzeniu ze strony nikogo od samego początku. Naturalność urodzenia spełnia rolę takiego właśnie początku, gwarantującego przeżywanie własnej wolności jako czegoś, czym z natury nikt inny nie będzie mógł rozporządzać.<sup>3</sup>

Rewolucja genetyczna doprowadzi do tego, że ludzkie umiejętności i osiągnięcia przestają być postrzegane jako dar i w konsekwencji osłabi pokorę, odpowiedzialność i solidarność międzyludzką. Tymczasem, jak przekonywał William May, otwartość na nieproszone jest cnotą nie tylko w wymiarze indywidualnym, ale także społecznym i warto ją rozwijać. Perspektywa wolności od ograniczeń natury jest bardzo kusząca. Naukowcy wyrażają dziś entuzjazm, że możemy sprowadzić ewolucję na radykalnie nowy poziom. Pierwotnym celem rewolucji genetycznej było leczenie chorób, ale teraz oznacza już wizję precyzyjnego projektowania dzieci i udoskonalania samej ludzkiej natury. Zdaniem Sandela „inżynieria genetyczna to wyraz naszego pragnienia, żeby zapanować nad światem i własną naturą<sup>4</sup>”. Ceną jest odejście od pojmowania każdego życia jako skarbu. Konsekwencją jest także to, że dopiero teraz pełnię władzy nad obywatelami otrzyma suweren, nowy Lewiatan, który będzie legitymizował te procedury, określał ich zakres i warunki. Ziścił się scenariusz, zgodnie z którym biowładza bierze życie we władanie. Czy jednak naprawę może z nim zrobić wszystko?

Postęp bioinżynierii następuje bardzo gwałtownie, do tego stopnia, że ustawodawstwo nie zawsze za nim nadąża. Ma to konsekwencje dla przyszłości samej wspólnoty. Kwestie bioetyczne, regulowane prawem są niewątpliwie problemami politycznymi. Agamben w swoich pracach z początku XXI wieku antycypował nową formę władzy, którą nazwał biowładzą, ale także samej społeczności. Będzie ją charakteryzować to, że pojedynczy jej członkowie w swej znakomitej większości będą włączani do programu nowoczesnej eugeniki niezależnie od swej woli. W wersji socjalnej – udoskonalanie będzie opłacane przez państwo według równych reguł, w wersji liberalnej będzie w pełni podlegało zasadom wolnorynkowym. Tym samym wszyscy członkowie społeczeństwa staną się *homines sacri*. Czy „wspólnota, która nadchodzi” okaże się nieunikniona?

#### Bibliografia

Giorgio Agamben, *Homo Sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. M. Salwa, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.

Giorgio Agamben, *Wspólnota, która nadchodzi*, przeł. S. Królak, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008.

Włodzimierz Galewicz, *Początki ludzkiego życia*, Universitas, Kraków 2010.

Jurgen Habermas, *Przyszłość natury ludzkiej: czy mierzymy do eugeniki liberalnej?*, tłum. M. Łukasiewicz, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2003.

Grzegorz Hołub, Piotr Duchliński (red.), *Ulepszanie człowieka. Perspektywa filozoficzna*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Ignatianum, Kraków 2018.

Siddhartha Mukherjee, *Gen. Ukryta historia*, przeł. J. Dzierzowski, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2017;

Michael J. Sandel, *Przeciwko udoskonalaniu człowieka. Etyka w czasach inżynierii genetycznej*, przeł. O. Siara, Kurhaus, Warszawa 2014;

Julian Savulescu, *New Breeds of Humans: The Moral Obligation to Enhance* [w:] „Ethics, Law and Moral Philosophy of Reproductive Biomedicine” nr 1/2005.

Robert Sinsheimer, *The Prospect of Designed Genetic Change*, [w:] Ruth F. Chadwick (red.), *Ethics, Reproduction and Genetic Control*, Routledge, London 1994.

Maciej Zaremba Bielawski, *Higienisci. Z dziejów eugeniki*, przeł. W. Chudoba, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.

#### Przypisy:

1. Giorgio Agamben, *Homo Sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. M. Salwa, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008, s. 22.
2. Po raz pierwszy Savulescu owe nowe zastosowanie utilitarystycznej formuły zaproponował w artykule *New Breeds of Humans: The Moral Obligation to Enhance* [w:] „Ethics, Law and Moral Philosophy of Reproductive Biomedicine” nr 1/2005, s. 36 i dalsze.
3. Por. Jurgen Habermas, *Przyszłość natury ludzkiej: czy mierzymy do eugeniki liberalnej?*, tłum. M. Łukasiewicz, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2003, s.72-75.
4. Michael J. Sandel, *Przeciwko udoskonalaniu człowieka. Etyka w czasach inżynierii genetycznej*, przeł. O. Siara, Kurhaus, Warszawa 2014, s.90.



RPArt / 04 Mirabel - Ardeche 84 rys.

Andrzej Ziębliński



# MAREK SOŁTYSIK



## WIĘZY. LUX AETERNA

### OPOWIADANIE

– Panie ministrze!

Wołają. Ktoś raczej mówi spokojnie, ale coraz głośniejszy; poirytowany? Chyba nie, z zaśpiewem, który mniej świadczy o zdenerwowaniu, bardziej o bolesnym zetknięciu się z tajemnicą. Berno, środek upalnego lata 1939 roku. Adwokat Adam Motyczyński, minister pełnomocny w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Szwajcarii, wreszcie nie czuje ciężaru ciała, tak mu doskwierającego w ostatnich tygodniach. Nie, nie jest gruby; wysoki, z nadmiernym ostatnio apatytem, hamowanym staraniami młodej żony, nie nabył, by tak rzec, skłonności do tycia. Pięćdziesięciopięcioletni, łudził się, że dolegliwość – owa ciężkość, która go opadła i uciskając to tu, to tam, powoduje tępe bóle – jest następstwem uwikłania w spory polityczne, nieuniknione obecnie w jego sytuacji w obliczu napięć w Europie.

– Panie ministrze! Panie ministrze... Ekscelencjo!

Dlaczego ktoś woła, skoro to tak blisko?

Nie dotarło do niego, że przebywa w całkowitej ciemności. Oswobodzenie się z ciężaru, uczucie lekkości dającej wymarzoną możliwość działania, pozbycie się charkotliwego oddechu jest dlań optymistycznym zjawiskiem. Gdyby nie ten głupio brzmiący, no tak, w fałszywej tonacji, głos pytający wzywający: – Panie ministrze! – z dochodzącymi teraz szeptami – byłoby słodko. Po raz pierwszy od trzydziestu lat użył w myślach, a raczej w głębiach podświadomości, określenia: słodko.

Nie zdążył się zaniepokoić; zresztą to przecież nie może być ślepotą: z ciemności wychodzą obrazy, jeden po drugim, tworzące sceny tak plastyczne, jakby były obserwowane przez kogoś, kto stoi na miejscu i własnym jednocześnie, i tej kobiety, i mężczyzny, który mu tę kobietę wydrze, i tych, którzy kopią grób i potem poszukując tego grobu, natykają się na ziemię, ziemię,

ziemię. Burą, tu suchą, tam mazistą; i te kamienie, bezdusznie imitujące kości, spodziewaną pamiątkę po życiu.

Na wyraźną prośbę Wincentyny nie pojechał powtórnie, żeby zobaczyć tamto miejsce. Ekipa, która wtedy wiosną – w obecności Adama – przeszukiwała grząskie, otoczone bagnami tereny Bielgowa na Wołyniu, odnajdywała fragmenty broni, guziki z legionowym orzełkiem, kawałki wyprawionej skóry, zapewne resztki plecaka, ślady po ludziach. Ale ciała nie było. Artur i jego towarzysze broni, budowniczy i hrabia, legioniści, ciężko ranni w bitwie z Rosjanami w listopadzie 1915 roku, ciągnąc bezwładne nogi, wlokący się przed siebie, zmarli z upływu krwi, zostali tu pogrzebani. Przybyli świadkowie, obmierzali. Co można stwierdzić po prawie czterech latach? Już więcej nic. A teraz? Rok 1919. Wczesna jesień. Błysk na tłustej pajdzie ziemi, to tylko posrebrzana papierośnica z zachowanymi, o dziwo, sześcioma papierosami. Nie wiadomo, do kogo należała. Hrabia O. miał monogramy na przedmiotach, których codziennie dotykał. Artur nie palił od czasu wcześniej odniesionej rany. Przestrzelone płuco nie toleruje dymu. Po co tak uporczywie wracali? Do tego ciemnego miejsca paskudnej bitwy? Żeby dziewczynki wreszcie przestały się łudzić – co z tego, że nie na głos, że w myślach – że może ta rozgłaszana śmierć ojca to nieprawda?

Adam, teraz dopiero z poczuciem dziwnego niedosytu (może gdyby pojechał, tak pokierowałby akcją, że zidentyfikowałyby pewne odnalezione tam tak fatalnie zachowane szczątki, że nie wiadomo, czy należące do człowieka), powłókł się do Wincentyny z listem od redaktora Włodarskiego. Treść: Fiasko poszukiwań. Zakończenie akcji. Tylko przypadek może kiedyś pomóc odnaleźć prowizoryczny, wojenny grób trojga.

Nic, trzeba było zlikwidować kancelarię adwokacką Artura Starka w jednej z kamienic pośród starych ogrodów w miejsce podwórek przy nowo wytyczanej ulicy Szlak. Tę, w której spotykali się jesienią i zimą 1913 roku, dwa lata wcześniej zawiązawszy nieformalny początkowo komitet. Jego celem były prace przygotowawcze i stopniowa organizacja spotkania przedstawicieli środowisk adwokackich z tego kawałka ziem polskich, w którym istniały co najmniej pozory swobody i pewne warunki do zachowania autonomii – z Galicji.

Ulica Szlak – u jej wylotu pałac hrabiów Tarnowskich, u krańca wartko płynąca Młynówka – na przełomie pierwszej i drugiej dekady XX wieku gościła ludzi, którzy nie godzili się na zastane porządki. W higienicznie urządzonej nowych kamienicach wynajmowali mieszkania Józefostwo Piłsudscy (po rozstaniu z mężem będzie tam mieszkać, do swej śmierci, sama Maria), opodal, za przeczną, ulicą Długą, Walery Sławek. No i oni. Dwaj adwokaci (Adam miał pied-à-terre w oficynie, z widokiem na owocowy starodrzew). Artur do Wincentyny i córeczek, wracał codziennie na Krupniczą. Adam coraz częściej towarzyszył mu na tej trasie; zegnali się na Krupniczej u wylotu Szujskiego, Artur do domu, dwa kroki w lewo, Adam w prawo, dla sportu, na Błonia i potem, dla zdrowia, na szklankę porteru w Parku Krakowskim (zimną w podejrzanej a przytulnej knajpie Rittermana na rogu Karmelickiej i Alej). Do Arturostwa starał się nie zachodzić. Stadło było – a potem wydawało się – harmonijne; po co dręczyć siebie i Wincentynę zgliszczami, jak się wydaje, uczuć?

Już trzeci więc rok Adam Motyczyński i Artur Stark obok praktyki adwokackiej byli pogrążeni po uszy w działalność organizacyjną. Pracowali tak jako jedna z grup pod egidą powstałego w roku 1911 we Lwowie Związku Adwokatów Polskich. Z grona adwokatów nie tylko z Krakowa i Lwowa i z kilkudziesięciu miejscowości Galicji, lecz także z Warszawy i Wiednia, wyłonili komisję przygotowawczą: referatową gospodarczo-kwaterunkową i agitacyjno-prasową. Kontakty głównie korespondencyjne. Także – nowe ułatwienie – telefoniczne. W lewej ręce trzymasz słuchawkę, w prawej mikrofon i w ten prosty sposób możesz załatwić sprawę. Zamożniejsi koledzy adwokaci przyjeżdżali, do późna w nocy debatowali na Szlaku, potem do rana zmiany lokali, et cetera, ale to nie należy do rzeczy. W „Czasopiśmie Adwokatów Polskich” informowano na stronie tytułowej o stanie przygotowań do zjazdu. Do adwokatów działających w trzech zaborach na ziemiach polskich dotarło tysiąc osiemset wysłanych bezpłatnie egzemplarzy „Czasopisma” z dokładną wiadomością o mającym się odbyć lwowskim zjeździe.

Kiedy pod koniec czerwca 1914 roku jechali w jednym przedziale pociągu relacji Wiedeń–Lwów, przewidywali – już w Krakowie wsiadając – że wojna, na którą tak się czeka, może przynieść oswobodzenie Polski. Ani oni jednak, ani reszta ludzi myślących – pomijając polityków i uczonych chemików – nie mogliby sobie wyobrazić skutków wywołanych działaniami wojennymi. Za

oknami przemykały zielone pejzaże, nad szmaragdową świetlistością czuwał bezchmurny błękit, białe, brązowały pasące się krowy i domowe ptactwo, i to wszystko, co dawało oddech i czasem zachwyty, wydawało się nie do zniszczenia. Do naprawienia – o tak! Między Rzeszowem a Łańcutem – mniej więcej w połowie drogi – przestali wreszcie rozmawiać o tym, co było coraz bliżej, o I Zjeździe Adwokatów Polskich.

Pociąg będzie się jeszcze zatrzymywał na stacjach w Przemyślu, Samborze, w Stanisławowie, mniejszych, ale nie prowincjonalnych miastach Galicji, z których koledzy adwokaci z komitetu przysyłali korespondencje dotyczące postępu w zacieśnianiu więzi i rozprzestrzenianiu łączności w polskich środowiskach palestry. Pomyśleć, że się udało. Przez cztery dni będzie ponad trzystu adwokatów nad Pełtwią!...

Po trzech godzinach podróży spotkały się ich oczy.

Tak, poprzez wstawiennictwo wpływowych osób, co do których moralnych zasad można był mieć wiele wątpliwości, ich komitet uzyskał pozwolenie Namiestnictwa na organizację pierwszego takiego zjazdu od czasu rozbiorów. Per aspera ad astra. No, może bez przesady. Czy skórka będzie warta wyprawki? Bo przecież cóż może się zmienić? Prócz świadomości, że tam, gdzie są poszczególni, nawet najświetniejsi Polacy adwokaci – czy to w Niemczech, Rosji, w Stanach Zjednoczonych, czy w pozornie tylko swobodniejszej Galicji – tam nie ma jeszcze polskiej adwokatury! Choć poszczególni adwokaci Polacy są chlubą swojego narodu, to jednak poprzez rozproszenie sprawa traci! Rozbiegają się bowiem dążenia i interesy adwokatury polskiej, bo cóż dla środowiska z powagi, która leży tylko w jednostkach!?

A żeby wyjść z rozproszenia spowodowanego specyfiką właściwą poszczególnym zaborom, przegrupować siły prawnicze i dać szansę sensownej jedności, na to trzeba by chyba cudu w sytuacji istniejących od stuleci krańcowo różnych warunków, rzutujących na sposób wykonywania zawodu, na zwyczaje i obyczaje obrońców. W zaborze rosyjskim adwokat Polak nie przestawał być adwokatem polskim, mimo że nie miał wyjścia, musiał bronić spraw przed sądem carskim i sprawy wprowadzać w języku rosyjskim. A jednocześnie – co jeżeli nawet nie zakrawało na absurd, to w każdym razie musiało się wydawać dziwactwem – adwokatura w zaborze rosyjskim była ewidentnie polska. Działo się to w sytuacji, gdy adwokatura była tam jedynym zawodem prawniczym dostępnym dla Polaków. Inne stanowiska w sądownictwie i administracji były obsadzone przez prawników Rosjan, skuszonych perspektywą sowitych dodatków służbowych. W zaborze pruskim natomiast, gdzie adwokat Polak był uważany przez władze za adwokata niemieckiego, posługując się językiem niemieckim bronił spraw przed sądem niemieckim. Tylko w Małopolsce adwokat bez względu na swoją narodowość bronił spraw przed sądem austriackim. Skład osobowy tego sądu był polski i polski był język urzędowy. Adwokatura małopolska korzystała z pewnych swobód samorządu i znajdowała się – w porównaniu z adwokatami zza kordonu – w sytuacji niemalże

komfortowej. Działająca na podstawie przepisów austriackich, była zorganizowana w izbach krakowskiej, lwowskiej, tarnowskiej, samborskiej i cieszyńskiej.

W czwartej godzinie jazdy już się nie dało rozmawiać o problemach adwokatury, trzeba było coś zostawić na zjazd. Zanim przysiadł się do nich filigranowy a wytorny mecenas Grobecki, sędzia i adwokat z Warszawy, wracający z restauracyjnego, i opowiedział najnowszy kawał, Artur i Adam wspólnie pomilczeli przy papierosie, po czym znowu wzajemnie zmierzyl się wzrokiem.

– To było jakieś otumanienie – tłumaczył się Artur, chyba niepotrzebnie. – Rzeźbiarka, nie wiem, czy możesz to zrozumieć, nie puszczała.

– Dziwnie to brzmi, nie uważasz – próbował uśmiechnąć się Adam. – W każdym razie nie tak łatwo będzie ci odzyskać zaufanie Wincenty.

– Nie ruszę palcem, żeby je odzyskać. Wiem, spytasz o córeczki, czy ich mały świat się nie zawali, i czy w tej sytuacji wyprowadzę się z domu. Wyobraź sobie, że jeszcze nie wiem. Dalej zapytasz, po ci mi było to wszystko. Gdybym nie wszedł między ciebie a Wincentyne...

– To już przeszłość, Arturze. W moim życiu nie ma śladu Wincenty.

– Ani żadnej innej.

– Przestało mnie pociągać życie ze stratami. Gdzie się zatrzymasz we Lwowie?

– Mam rezerwację w Hotelu George'a. Jako jednemu z głównych organizatorów podobno mi się należy. Poprosiłem o możliwie najskromniejszy numer. A ty, jak zawsze, u poetów?

– „Zaświecie” Maryli Wolskiej to jedyne miejsce, gdzie nie czuje się naporu gawiedzi. Tam nie pytają, czy ci nie jest źle samemu jak ten palec, nikt niczego nie każe, nie oczekuje. I właśnie dlatego, w aurze tej par excellence artystycznej swobody udało mi się raz i drugi improwizować. Każdy pobyt tam, każdy powrót to nadzieja.

– Zazdroszczę ci nadziei.

– Nie ma czego zazdrościć, Arturze. W każdej chwili i ty możesz mieć nadzieję. Pod warunkiem, że uprzątniesz bałagan, który zrobiłeś wokół siebie.

– Który się zrobił wokół mnie, sprecyzuję. Jak myślisz, czy rzeźbiarka została nasłana?

Nie pierwszy raz o to pytał. Rzeźbiarka, którą poznał podczas partyjnego procesu Stanisława Brzozowskiego, zrobiła na nim ogromne wrażenie nie tylko jako sprzymierzeniec. Była żoną (podobno zaniechwaną) ilustratora prasowego, człowieka, którego ambicje sięgały poza łamy gazet drukowanych

na lichym papierze. Odnosiła sukcesy, jak się okaże, nie tylko artystyczne. W czasie tygodnia procesu w Krakowie, dokąd zjechała z mężem, robiącym portrety sądowe (odnoszącym osobiście rysunki do redakcji, po czym do rana zapominającym o świecie w oparach wódki), potrafiła się wryć w serce Artura Starka jako cud natury: najpiękniejsza, najbardziej inteligentna, najczystsza. Jak to zrobiła, nie wiadomo. Dość że wzięty adwokat, kochający męża i ojciec dwóch córek (jedna z nich w powijakach), powróciwszy do domu i ujrawszy żonę rozczesującą córeczce warkocz, dał sam sobie wmówić, że tu uwidocznił jego wybór życiowy był pomyłką i że tej nie spodziewającej się niczego złego kobiety nigdy nie kochał.

– Spytaj Żeromskiego – odrzekł uśmiechając się gorzko.

Wszyscy w środowisku pamiętali reakcję wielkiego pisarza podczas sądu nad Brzozowskim. Bliski ideowo z autorem *Legendy Młodej Polski*, nie opuszczał ani godziny procesu, lecz – związany z grupą tych sympatyków socjalizmu, którym był obcy radykalizm socjalistów Daszyńskiego i Haeckera – ani w trakcie przesłuchań i mów sądowych, ani pytany przez prasę, autor *Dziejów grzechu* nie ujawnił swojego stanowiska wobec czynu oskarżonego. Tym bardziej biegano wokół niego – wężono wokół kogoś, kto na pewno coś wie.

– Zawróciła ci w głowie, świetnie się zabawiła i odtrąciła.

– Chyba za długo już jedziemy, Adasiu. Wymyślasz fikcję. Przecież to ja rzuciłem rzeźbiarkę. Była mi potrzebna, żeby wyjaśnić sytuację Wincenty i moją. Zanim rozgorzał romans z rzeźbiarką – bez znaczenia, czy grała znaczącymi kartami – nasze małżeństwo wiązały tylko córeczki.

– Chyba nie po to odebrałeś mi Wincentyne, żebyś mógł od niej odejść?

– Wyobraź sobie, że nie odchodzę. Nie powinieneś się tym dręczyć.

Byli przyjaciółmi. Jeden za drugiego w ogień by poszedł.

Po wyjściu jednak z pociągu na lwowskim Bahnhofe podali sobie ręce i każdy poszedł w swoją stronę.

W dwa dni później, 27 czerwca 1914 roku, trzystu polskich adwokatów, głównie z Galicji, rozpoczęło obrady we Lwowie. Uczestnikami byli również przedstawiciele palestry z Wiednia, Petersburga, Kijowa oraz koledzy czescy. Obrady i referaty podczas posiedzeń ogólnych dotyczyły potrzeby współpracy środowiska w skali ponadnarodowej, co oczywiście byłoby zjawiskiem tyleż upragnionym, ile wręcz fantastycznym, czymś raczej nie do wykonania z zastanej i zastałej sytuacji.

Wybrano prezydium zjazdu, znakomici adwokaci z przewodniczącym Dziędzielewiczem, prezesem Związku Adwokatów Polskich, pełne godności twarze: Nowodworski, Mogilnicki, Rappaport, Konic z Warszawy, Roman z Suwałk, Tarnawski z Przemyśla, Mieczkowski z Poznania, Koy, Jakubowski



z Krakowa, Niedźwiecki, Kutylowski z Petersburga, Choynowski z Kijowa, Chmurski z Wiednia, ze Lwowa Longchamps de Berier i Feuerstein. Etyka, godność – jakie to ważne w tych trzech, bardziej lub mniej ciasnych klatkach.

Słuchał, konotował sobie w pamięci, ale myślami był na „Zaświeciu”. Za światem, a jednocześnie... Dał znak Arturowi siedzącemu o trzy krzesła dalej i wspólnie wyszli z sali obrad. Wyciągnął zdziwionego przez hol na ulicę i tam, niemal szepcąc, jakby wyjawiał sekret, wyrecytował fragment *Sonetu szalonego* autorstwa jeszcze do niedawna stałego gościa w „Zaświeciu” Leopolda Staffa, wiersza dziś nad ranem interpretowanego w ogrodzie przez Marylę Wolską:

„...Lekkomyślność śpi ze mną, płocha weselnica,  
Sakwę, gdzie mądrość chował, przedarła psotnica...  
W drodze szczęśliwem zgubił swą mądrość znużoną.

Proszę cię, duszo moja, bądźże mi szaloną,  
Bo ukradłem nadzieję gdzieś w karczmie przydrożnej!  
Ciesz się zgubą! Niech będzie przeklęty ostrożny!”

– Ten wiersz mówi o tobie, o twojej sytuacji!

– Nie zauważyłem – powiedział spokojnie Artur i przyjrzał się przyjacielowi mrugnął: – Nieźle musiałeś zabalować na tym „Zaświeciu”. Jak się nazywa taki niedźwiadek z sino podkrążonymi oczami?... Tam wszyscy piją?

– Coś ty? Był jakiś kieliszek do obiadu. To wszystko. Ludzie tam rozpoetyzowani. Wyobraź sobie, poznałem tam Muellera, adwokata w Drohobycz, muszę sprawdzić, czy może w Borysławiu, który czytał nam niezwyklej piękności kawałki prozy, rozdziałiki swojej wydanej już powieści, perły; czegoś takiego nie znałem dotąd w literaturze polskiej... Co, tak źle wyglądam?

Nie zdążyła opaść euforia Adama; jak stał, osunął się na trotuar, plecami po ścianie kamienicy. Wszystko to stało się błyskawicznie i Artur nie zdołał zareagować.

Potem, żeby nie zrobiło się zbiegowiska, stróż domu z asystentem lekarza ordynującego na pierwszym piętrze i z pomocą Artura zanieśli Adama do gabinetu. Doktor Immergluck zdiagnozował zajęte szczyty, początki gruźlicy płuc, przy czym równolegle istniejąca ewidentna anemia nie jest w przypadku pacjenta mniej groźna od prątków Kocha (niebawem potwierdzą to badania), coś choremu zastrzyknął, zapisał, polecił lekarza w Krakowie. – A teraz, jak pan sobie wypocznie w łóżeczku, to jutro można wrócić do tych waszych obrad, bo to przecież jeszcze nie katastrofa. Katastrofa, panie mecenasie, wisi w politycznym powietrzu!...

No, a teraz to ja bym oprócz leków radził wzbogacić dietę o zsiadłe mleko, od krowy, naturalnie niezbierrane, tłuste.

To był dobry lekarz, kolega dobrego lekarza w Krakowie. Ten – doktor Wyszogrodzki – zanim, jak większość inteligencji, opuścił Kraków, zamieniony na Festung Krakau, wyjeżdżając na nie wiadomo jak długo do Wiednia, gdzie wizji głodu i chłodu nie było, zajął się intensywnie zdrowiem mecenasa Adama Motyczyńskiego, opiekuna żony i dwóch córek Adama Starka, adwokata, który zaciągnął się do Legionów, opuścił tamże pracę w kancelarii, żeby się sprawdzić na froncie w stopniu podporucznika. Adam, chory, rzecz jasna, pozostał w cywilu.

Ale to oczywiście nieco później. Na razie w kalendarzu na czerwono (niedziela) 28 czerwca 1914. Adam, zdrętwiały, ze świeżą świadomością nieuleczalnej, jak się wydaje, choroby, uczestniczył w drugim dniu obrad. Spojrzał na Artura i przekonał się, że to jawa, Artura bowiem także zaniepokoiły gwałtowne ruchy człowieka (adwokata, zdaje się, z Tuchowa), który podbiegłszy do stołu prezydyjnego gestykułował, wskazując dłonią może rząd wąskich okien, a może ogólnie południowy zachód. Zaległa cisza. Adwokat z Tuchowa z karteluszką w ręku powiedział wyraźnie:

– Zabito następcę tronu.

– Którego? – zza stołu prezydyjnego zapytał natychmiast adwokat Aleksander Mogilnicki z Warszawy. Jego dotyczył inny arcyksiążę, kolegów z zaboru pruskiego inny, jeszcze inny z austriackiego.

– Franciszka Ferdynanda. Z żoną. W Sarajewie; tak, w Serbii.

Dopiero nazajutrz poznali z prasy szczegóły zamachu. Pierwszy odruch: sensacja. Drugi: czy w tej sytuacji ma sens kontynuowanie zjazdu? Ma. Przecież to nie stan wyjątkowy. Trzeci odruch: już nie domysły – nowy konflikt zbrojny. Chyba nikt nie przypuszczał, że w dobie drobnych wojen między mniejszymi państwami, długo przygotowywanych, szybko wygaszanych grubym cieniem państw wielkich, świat zafunduje sobie rzeź nazwaną Wielką Wojną (potem I wojną światową). W każdym razie uczestnicy „pierwszego sejmiku adwokatury polskiej”, wysłuchawszy tylko nikłej części referatów związanych z etyką adwokacką i szczegółowymi kwestiami zawodu w zastanym porządku świata, wyjeżdżając z końcem czerwca do swoich miast, domów i kancelarii, mieli świadomość uczestnictwa w wielkiej manifestacji jedności całej adwokatury polskiej.

Artur Stark wstąpił więc do Legionów. Od lat był blisko ludzi Piłsudskiego. W Towarzystwie Gimnastycznym Sokół uprawiał nie tylko szermierkę. Tak czy owak, podlegał mobilizacji. Artura, strutego świadomością choroby i widmem nieprzydatności, zobowiązał do opieki nad Wincentyną i dziewczynkami.

Siedzieli w restauracji Hotelu Grand i nie mogli sobie wyobrazić, jak człowieka pochłania głód. Gdybyż mogli sobie wyobrazić lata wojny, lata, a nie, jak można było mniemać czując się człowiekiem cywilizowanym, dwa, najwyżej trzy miesiące, do zimy. Gdybyż mogli, wówczas z najwyższym trudem by się zdobyli na dziś składane sobie nawzajem obietnice i przyrzeczenia. Na tę chwilę, na trochę. Do powrotu. Do miłego powrotu.

O czym mógł myśleć Stark dogorywający? Dlaczego tak się garnął do walki? Nie musiał, nawet nie powinien. Z przydziałem do pracy biurowej w bezpiecznym biurze NKN w Wiedniu, wyrwał się do służby liniowej. Dwukrotnie ranny w bitwach, w szarży. Dwukrotnie podleczoney, i znów do boju. Bohater? Patriota? A może w zgiełku bitewnym, w grze o śmierć i życie, pragnął uciąć dylematy moralne? Wypluć z ostatnim oddechem brak miłości, coś pustego, co jednak na każdym kroku doskwiera, czym zaraziła go rzeźbiarka? Konając, już bez bólu, łagodnie wreszcie, z upływem krwi, w ostatnim spojrzeniu w błocie kresowym pozostawił wizerunki córek. Jedynych osób nie wplątanych w wir upiornego tańca dorosłych; tych, którzy mają obowiązek być najbliżej.

Gdy pokaszający Adam Motyczyński po raz pierwszy i ostatni wszedł w skład ekipy poszukującej grobu z doczesnymi szczątkami trzech legionistów: budowniczego, hrabiego O. i podporucznika Artura Starka, pośród mokradeł i kilometrów nieprzemierzonych zarośli Czartoryskiego powiatu, Pohacic, Bielgowa, Nowosiółek, Komarowa, dostrzegł na łagodnym nasypie cień. Wyraźny cień mężczyzny. Bez śladu akcesoriów, konkretny (jeżeli tak można powiedzieć o cieniu). Cień był dziwny. Nie było nikogo, kto by ten cień rzucił.

Z Wincentyną nie widywał się od definitywnego zerwania. A wcześniej... był pewny, jak niczego dotąd, że się połączą. Czy to była miłość? A co jest lub nie jest miłością? Co może o tym wiedzieć dwudziestopięcioletni pomocnik adwokata, z jednej strony targany jakimś dobrym, a jednocześnie niebezpiecznym uczuciem, z drugiej – łaknący stabilizacji. Zbyt szybko by to było i zbyt łatwo. Kapitalik po jej dziadku, kolekcjonerze, właścicielu kolekcji autoportretów dziewiętnastowiecznych malarzy polskich, pozwoliłby dobrze wystartować, a w razie falstartu i tak nie cierpieliby jakichś kilku lat głodu. Planowali ślub, czuł się z nią swobodnie niemal jak sam ze sobą, i tak dobrze, jak wtedy, kiedy się nie odczuwa ani przesyty, ani pragnienia. Rozluźniony, do tego stopnia pewny siebie z Wincentyną, że aż to mogło wyglądać niesmacznie, bez śladu podejrzliwości, czy po to, żeby się przed kolegą poszczycić, czy ot tak, mniej małodusznie, przyprowadził na podwieczorek Artura Starka. Artur, rówieśnik, ale z wcześniej obronionym doktoratem, pochwalił kawę, zaprosił narzeczonych do teatru na premierę tego szalonego młodopolskiego, niby bulwarowego sztucznydła, które okazało się wstrząsającym dramatem z życia młodych ludzi z inteligencji, takich jak oni, tylko że tak łatwo staczających się pod wpływem mód i niebezpiecznych konwencji... Może to aktorzy tak dobrze grali, może reżyser nie

odpuszczał, dość że Wincentyna przestała sypiać po nocach, a kiedy wreszcie zasypiała, za dnia nie można jej było dobudzić, Adam sądził, że to chwilowe, jak choroba, którą trzeba przebyć, żeby się uodpornić, tymczasem nic podobnego. Artur, przyjaciel od czasów gimnazjalnych, przychodził jak gdyby nigdy nic, przynosił takie drobne ciasteczka, rozmaite, dekorowane, pachnące różą i makiem, przychodził do Wincentyny, nie uwodził jej, rozmawiał, naprawił uchwyt od ramy z tyłu obrazu, żeby nie wisiał krzywo, jak dotąd – co wszystkich raziło, ale jakoś nie reagowali – z ciotką, z którą mieszkała, osierocona, omawiał szczegóły jadłospisu higienicznego, pół-jarskiego, z poleceniami dla kucharki, zapisywanymi w zeszytiku, był użyteczny, nie unosił się, jak by to rzec, w ogóle nie podchodził za blisko. I tym rozpałił Wincentynę do tego stopnia, że nie było dla niej problemem odtrącić starania Adama.

– Nie przychodź tu więcej – usłyszał od niej i to mu wystarczyło. Polecenie wykonał. Tylko on jeden wie, co się potem z nim działo. Być może... być może nic takiego. W każdym razie do tego stopnia zapomniał potem o swoich młodzieńczych uniesieniach, że kiedy przychodził do wdowy (niedowierzał, wkrótce się przyzwyczaił) po odznaczonym Krzyżem Walecznych i pośmiertnie *Virtuti Militari* podporuczniku Starku, dbał, żeby ktoś z nim był. Koncypient, pielęgniarka, kolega adwokat, z ramienia Stowarzyszenia Adwokatów i Kandydatów Adwokackich najbardziej czynny w niesieniu pomocy wdowom i sierotom po adwokatach, ułomny Dłarski. Zawsze ktoś musiał być, żeby Adam i Wincentyna nie mogli wzajemnie się prowokować. Nie chodziło o jakieś naruszanie czystości. Adam, próbując dokonać niemożliwego, inaczej, analizując postępowanie Artura (robił to jeszcze za życia przyjaciela), po drodze doszedł do wniosku, że Artur pozwolił sobie; że w regiony, gdzie nie istnieje moralność, poniosło go psychiczne rozpasanie. Dlatego on, Adam, sam blisko niebezpieczeństwa, stawiał wokół siebie mury obronne. Gdyby go wtedy tam, przed laty, nie uderzyła słowem, byłoby trudniej. Dałby się później – gdy już nikt między nią a nim nie stał – dałby się więc ponieść nieposkromionej, chorobliwej namiętności do dojrzałej kobiety, ofiary – myślałby wtedy – ofiary ambicji przyjaciela i ofiary próżnej lekkomyślności tego samego mężczyzny, któremu dała dzieci i oddała lekkość myśli. Pewnie tak. Lepiłby szczęście. Nieporadnie. Jak dziecko konika jakiegoś z plasteliny.

Wincentyna zdawała się czekać na niego pośród tej nieustającej, zgiełkliwej muzyki *dance macabre*. Czekać. Normalną – ktoś by powiedział – koleją rzeczy. Normalną – zakpiłby inny – skoro tamten, na którego jeszcze niedawno czekała, wypadł z kolejki. Ha, ha, ha! Adam cóż. Założył, że Wincentyna i jej córki to klient. Klient, którego on będzie bronił. Zawarcie z klientem najbliższych stosunków grozi upadkiem. Jeżeli nie jest oznaką braku zawodowstwa, to jest na pewno symptomem upadku ducha. Upadek ducha doprowadził niejednego do zdrady. Adam wykluczał zdradę. Został zdradzony, siebie nie zdradził. Chronił Wincentynę jako wdowę po jednym z kolegów, ale nie zapominał

jej zdrady; więcej, z miesiąca na miesiąc od czasu gdy stała się wolna ta, którą kiedyś zapewne kochał, a która na pewno była mu bardzo bliska, żal o to, że go zdradziła, z dnia na dzień, z roku na rok przemieniał się w nienawiść.

Kiedy żył Artur, w Adamie nie było nawet śladu żalu. Artur dlań znajdował się poza kryterium ocen, a Wincentyna... szanował jej wolność wyboru do tego stopnia, że jego reakcja mogła sugerować oschłość serca. Serce nie zawsze bije tym samym rytmem. Voilà.

Przed wojną pisał; pisząc i coraz częściej, niejako dla sprawdzenia, publikując pod własnym nazwiskiem, usiłował odślonić pomost porozumienia. Między sobą – tym pozaświatowym, intymnym – a światem, rozgadany, głupkowatym, uroczym. Żył samotnie, absolutnie z tego powodu nie cierpiał. Czy w literaturze odnalazł namiastkę życia bez zgiełku, ale z dobrym oparciem? Nieraz się zastanawiał, czy nie jest aby kimś, kim (gdyby nie wiedział, że to on sam) gardziłby: tchórzem czy nie jest, czy nie jest sybarytą? Od pierwszych działań wojennych nie napisał ani jednego zdania beletrystyki. Nie to, że milkną muzy, gdy grzmia działa. Siły kreacji mu nie zbrakło. Umarł natomiast sens, zdechł powód pisania. Nie można bratać się z ludzkością, skoro wydaje ona potworne kurioza, planujące, wymyślające i produkujące gazy bojowe; z ludzkością, która, z przyzwoleniem możliwych tego świata, zjednoczonych w lidze, całymi latami przygląda się przez metaforyczne lunety na rzeź, wzajemną makabryczną wymianę razów. Jak pisać i po co, gdy w po czterech latach kończą się działania wojenne i nie kończą się prace murarzy, zdunów, dekarzy nad budową i wykańczaniem trafik, solidnych, ładnie zaprojektowanych kiosków, które powstaną w większych miastach i staną się nie tylko schronieniem, ale także – bez pomocy psychologa – sposobem na dalsze życie młodych mężczyzn, którzy z masakry fizycznej i psychicznej wyszli jako inwalidzi wojenni. Człowiek bez nogi, bez ręki, bez jednego oka miał pełne prawo ubiegać się o objęcie w dzierzawę trafiki. Bez części szczęki i pozbawiony języka już nie – bo nieestetyczny; bo nic nie powie, nie porozumie się z klientem. Podobnie ogłuszony na zawsze. Głuchy człowiek. Nie będzie gospodarzył wśród gazet, paczek rozmaitych papierosów, cygar, tytoniu, zapalek, kalendarzy. Zostanie wśród wspomnień, z których dobre nigdy już nie precysną; zginą stłamszone nawilgłymi płatanami wiecznego przygnębienia, po których jest lęk, a ten niczego już nie przepuszcza. A ci, co z wojny wrócili z pozoru cali? Od rana do nocy, żeby unieść ciężar złych wspomnień i znieść świadomość nicości, popijanie w tajemnicy przed żoną, inny sposób na ztracenie kontaktu z rzeczywistością – morfina. Jeszcze inny: tancbudy i tajne piwnice z opium i z dorosłą w czas wojny młodzieżą podobnie wykołojoną jak dojrzały mężczyźni, do połowy zżarci przez robaka, gnijący.

Taka cywilizacja, taka klasa! Rajery, odmładzające pudry, sztywne garnitury, kawior i szampan, podróżowanie salonką

– a skąd to, jak nie z tych podejrzanych wytwności dochodzi smród grzyba, ropy i zgnilizny, woń przedwczoraj zaschłej krwi? Paskudne sprawy rozwodowe. Obrony ludzi kiedyś porządnymi, którzy stali się narzędziami w rękach oszustów, wykorzystujących naiwność całych rzesz tych, co uznali, że nagle łatwe wzbogacenie się może być celem i istotą życia. Wielka Wojna poszarpała wieloma osobami, których nikt nigdy miał nie szarpać (i nie powinien szarpać). Także prawnicy, po wybuchu wojny, jeśli nie wyjechali do Wiednia, bo nie mogli lub nie zdążyli, pozostając praktycznie bez środków do życia, we Lwowie, stolicy Galicji, od czasu wkroczenia Rosjan i okupacji podzielili los tych przedstawicieli inteligencji, którzy byli obserwowani przez okupanta i podczas stopniowego uchodzenia Rosjan zostali przez nich wzięci jako zakładnicy, inaczej: więźniowie cywilni. Rosjanie uznali, że informacje tych znanych, mądrych osób byłyby cenne dla Austriaków. Jak czuł się ktoś znany i mądry ze Lwowa, Stanisławowa, Sambora, kto od połowy 1915 roku wyrwany z domu, został przewieziony do Kijowa, skąd po osadzeniu w złych warunkach w polskim domu arestnym, odbywał dalszą podróż: w głąb Rosji, byle jak najdalej od Austriaków... Nie wszyscy przeżyli. A komu udało się po tym wszystkim wrócić po latach do odzyskanej Polski, ten nie był tym samym człowiekiem, którego zastała wojna. Proste życie przestało istnieć. Podobnie jak porządny człowiek. Życie stało się skomplikowane, a człowiek częściej niż do tej pory czyhał na błąd drugiego człowieka.

Coś ustalić. Uporządkować! My to mamy zrobić, my sami! Sami – ale jak?

Ten trudny czas nazwie niebawem pisarz Juliusz Kaden-Bandrowski „radością z odzyskanego śmietnika”.

Ten sam dr Antoni Dziędzielewicz, który w pamiętnym 1914 roku przewodniczył lwowskim obradom Zjazdu Adwokatów Polskich, w wolnej Polsce stanął na czele Ogólnego Zjazdu Adwokatury Polskiej w roku 1919 w Warszawie. Trzystu pięćdziesięciu uczestników. Z uchwały w kwestii określenia istoty zawodu adwokackiego: „Adwokatura, choć formalnie nie jest urzędem, musi być pojmowana jako urząd własnej samorządowej organizacji, a nie jako tak zwany wolny zawód zarobkowy”.

Adam dokonywał ekwilibrystycznych wyczynów: był prawnym opiekunem córek Wincentyny z Korwin-Bronowskich Starkowej i błogosławionej pamięci Artura Starka, wywiadywał się sprawy bieżące dziewczynki i o postępy w nauce starszej, Ewy, a przy tym nie kontaktował się z ich matką. Tego kłopotu nie chciał brać sobie na kark? Nie, on ten kłopot już miał. Od nocy, kiedy Wincentyna odmieniła jego życie, otwierając dlań, tak sobie myślał, bramy rajy, poprzez parszywe upokorzenie, którego od niej doznał, wolnej i swobodnej, na śmierć i życie oddanej, i to komu, jego przyjacielowi, aż po niejednoznaczny sytuację, którą nie ona wytworzyła, ale która była jej ewidentnym udziałem, jak wszystko, czego się tknęła, a co było blisko Adama. Oczywiście



dostrzegając, zresztą jak wszyscy z otoczenia, uderzające podobieństwo starszej Starkówny, Ewy, w 1919 roku dziesięcioletniej, do Wincenty. (Młodsza, Pella, to wypisz, wymaluj, ojciec, właśnie, misterna, czarna, graficzna, i ze starego złota, malarska, oprawa szafirowych oczu, takie sfumato, o bardzo piękna).

Dziwny był ten stosunek Wincenty i Adama – kiedyś tak krótko najbliższych – z widokiem na pusty grób Artura. Gdy już musieli się widzieć, no, nie dało się inaczej załatwić spraw bytowych, (których zresztą miał setki, jeden z nielicznych prawników pozostałych w Festung Krakau, niosących zorganizowaną pomoc wdowom i sierotom po kolegach), w tym tańszej aprowizacji, on starał się jej nie zranić, za to, mimo woli, kąsał; ona mu dawała powody: w czerniach wprawdzie, posługiwała się wobec niego zestawem środków, które najwyraźniej znowu miały go zwabić.

„Jak mnie kiedyś” – myślał.

Nie pomyślał dalej: „I jak kiedyś Artura”. Zamierzał tak pomyśleć, ale zaraz sobie uzmysłowił, że to nie ona; że to Artur zrewolucjonizował jej zmysły.

Czas goi rany. Nie w każdym przypadku. Stefan Goryczko, jeden z adwokatów, który wraz z Adamem, Arturem i dziesiątką starszych, doświadczonych prawników organizował w 1914 roku wielki sejm adwokatury, po wybuchu Wielkiej Wojny uciekł jak każdy polski adwokat pozostały w kraju objętym wojną, ale w czasie wycofywania się Rosjan ze Lwowa, w ogóle z wschodniej Galicji, stał się nieszczęsnym zakładnikiem. Wyrwany od rodziny, z żoną i synkiem pozostawionymi na pastwę nie wiadomo czego, został, po etapie w więzieniu w Kijowie, wywieziony w głąb Rosji. Z synem, który dorastał, spotkał się dopiero po pięciu latach. Po żonie nie pozostał ślad. Zaginęła. W jakich okolicznościach? Cóż, zawierucha wojenna. Po uprowadzeniu Stefana przez Rosjan sprawiała wrażenie oszalałej. Syn pod opieką samotnych ciotek. Wyrwa nie do przeskoczenia, ewentualnie do obejścia. Jak obejść, gdy człek słaby, bez pomocy? Adwokat Stefan Goryczko nie dał za wygraną losowi i historii. W niepodległej Polsce czuł się po raz pierwszy w życiu wreszcie jak w domu. Inaczej: Niepodległa zastępowała mu dom. We Lwowie, gdzie z jego kancelarii pozostały po najeźdźcach tylko ściany, nie widział dla siebie przyszłości. Z ocalonymi przez te domowe stare kobiety papierami, dokumentującymi jego przedwojenną działalność, ruszył w poszukiwaniu kolegów, którzy mogliby mu pomóc w zdobyciu wieści o żonie. W Krakowie, gdzie do Polski wrócili adwokaci, w czasie wojny, a niektórzy i wcześniej działający w Wiedniu – a stało się to wskutek zaostrzonych przepisów austriackich – nie było mowy o praktyce. Sam Adam Motyczyński nie miał własnej kancelarii, działał wspólnie z doktorem A., ale za to w dobrym punkcie, przy Szewskiej, zresztą większość czasu poświęcał pracy literackiej, nie był pisarzem poczytnym, ale bardzo go ceniono w środowisku. Adam, przez całą wojnę

aktywny działacz Departamentu Opieki w Naczelny Komitecie Narodowym, poprzez znajomości z redaktorem Rudolfem Starzewskim i profesorem Sokolnickim, wpłynął na umożliwienie zyskania nieszczęsnemu koledze co najmniej namiastki stabilizacji. Wiedzieli, że próbuje on odnaleźć żonę, wiedzieli jednak także, że zaginiona miała paskudny charakter, że mąż był przez nią dręczony psychicznie i nieraz przy nich poniżany. Poszukiwana przezeń nie cierpiała psychicznie, nie miała zaburzeń nerwowych, rozpieszczona, znajdowała przyjemność w znęcaniu się nad tym, którego uwielbienia była pewna. Odstawili – podobnie jak on – sprawę na bok i, krok po kroku, wyrobili Goryczce urząd wicewojewody nowosądeckiego.

Już po procesie brzeskim, podczas którego polscy adwokaci, broniąc wolności myśli swoich nietuzinkowych klientów, wykazali się mądrością, odwagą i niezależnością. Już zapelniają się przeciwnikami politycznymi rządu hańbiące władze mury Berezy Kartuskiej. Już wigilijny dekret Józefa Piłsudskiego, Naczelnika Państwa, obowiązujący od roku 1918, który wprowadzając dwuszczeblowy model samorządu dawał adwokaturze ogromną autonomię, został w roku 1932 wyregulowany (rozregulowany, jak uściślali adwokaci praktycy) prawem o ustroju adwokatury polskiej, które weszło w życie 1 listopada 1932 roku. Kres radości z odzyskanego... Koniec niezależności palestry... Ale życie toczy się swoim torem. Wakacje i święta z dała od miejskich murów.

Wicewojewoda często ugaszczwał Adama w zakopiańskim „Radowidzie”, sporadycznie w krynickiej „Litwince”. Połowa lat trzydziestych: Adam przyjeżdżał na lato do Zakopanego w towarzystwie Ewy Starkówny, studentki medycyny na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Już nie jako opiekun. Na pewno wszakże nie wakacyjny przyjaciel. O ćwierć wieku od niej starszy nie miał w sobie nic z lowelasa. Para, nie-para emanowała naturalnością. Ta naturalność, przy ewidentnej kulturze, przyciągała. Bohema pod Tatrami? Nie. Malarzy było wielu, kompozytorzy ślaniali się chodząc śladami tragicznej wyprawy Karłowicza, wypatrując, czy uda się przysiąc do Karola Szymanowskiego, który, tonąc w długach miał dość udawania dziedzica i coraz częściej uciekał przed śmiercią w wyższych górach położone sanatoria, w bardziej zatłoczone miasta. Poeci... ach, ich się spotykało co krok. Co krok to zły rym. Starkówna i Motyczyński, wypatrzeni w tłumie, wybrani przez Witkacego, byli jego gośćmi, ale nie w domu niepodległego geniusza, lecz w domach jego interesujących przyjaciół i wielbicieli, gdzie nie trzeba się było troszczyć o pyffko, cytrynowkę roboty pani domu i dobrą herbatę, a gospodarze lekarze wyciągali czasami i bezpiecznie, powiedzmy, dozowali coś halucynogennego, Witkacy, rysując Ewę Stark, wymyślił i zaprezentował czterowiersz, rozpoczęty w zachwycie:

„Czy znasz ty córkę Wanderera / Co ma towarów w sklepie w bród? / Kiedyś to będzie, ech, hetera / lecz teraz to jest istny cud”.

– To źle, że sklepikarz ma tyle towaru? To źle, że jego córka jest taka piękna? – ni z tego, ni z owego spytała Ewa Stark z najwyższą naganą.

Gwar miłych głosów jakby przecięty nożyczkami.

Portretujący przestał rysować na chwilę, w której wyrzekł: – Nie ten adres.

– W wierszyku chodziło tylko i wyłącznie o upływ czasu – pośpieszył z wyjaśnieniem mecenas Motyczyński. – A skład Wanderera: Krupówki 27. Żeby rzecz urealnić.

– W oczach pięknej panny wstręt widzę – powiedział Witkacy, naśladując Cygankę – wstręt i jego powód: oenerowskie pałki... Nie dajmy się oszukać propagandyście z tej i z tamtej strony – dodał z powagą.

Ewa wstała, spojrzała na portret. Podeszła i uściskała artystę.

– Ona wierzyła w moich błagich namierzeniach – nadął wargi i zrobił minę przebiegłego niedojdy, długo podpisując portret.

Polska jesień 1938. Szli z uniesionymi głowami. W zasięgu wzroku złoto i błękit. Ewa Stark-Motyczyńska i Adam Motyczyński wracali przez Ogród Saski z kawiarni po cichym ślubie w kościele ewangelicko-augsburskim na Kredytowej.

W „Bristolu”, na ostatnim piętrze, gdzie są pokoje niższe, bez blichtru, dla znajomych, doskonale spakowani, na parę dni przed odjazdem, teraz dopiero dochodzą do przekonania, że zostali wplątani w cudzą grę, w obcą sprawę. Ewa nie przystąpiła do ostatnich rygorozów, nie ukończyła więc studiów, nie dopełniła nauki i praktyki tak jakby chciała, po haniebnym wprowadzeniu numerus clausus pod naciskiem oenerowców na Uniwersytecie Lwowskim. Łobuzy jeszcze kobiet nie bili, ale nie widziała tam już dla siebie miejsca. Zabójstwo studenta farmacji Zellermyera na dziedzińcu Uniwersytetu, zranienie kilku innych Polaków Żydów i pobicie kolegów spoza „getta ławkowego”, którzy stanęli w obronie prześladowanych, paskudny wiatr ciągnący od Trzeciej Rzeszy, włókł zarazę.

Adam i Ewa mieli opuścić Polskę. Wszystkie formalności załatwione – zresztą z pomocą Stefana Goryczki, obecnie wyższego radcy MSZ. Jeszcze tylko pociągiem do Gdyni. Stamtąd transatlantykem „Batory” za ocean.

– Za dużo wysokich budynków – mówiła z obawą Ewa. – Tam także jakaś przesada.

– Są tam przecież i farmy, niezmierzone połacie przyrody w stanie czystym – pocieszał Adam.

– Ale mu nie zamierzamy wegetować, zresztą nie mamy po temu warunków, więc pozostaje jednak żelbet i do krwi rozdrapywane chmury – zaczęła Ewa i z niepokojem popatrzyła na Adama, który, podobnie jak przed tygodniem, kiedy trzeba było wezwać

lekarza, oddychał z trudnością i sprawdzał, czy w wewnętrznej kieszeni jest na swoim miejscu tabletki nitrogliceryny.

Dzwonek. Stary służący, zawsze ten sam, obsługujący nieformalne piąte piętro, zaanonsował gościa. Stefan Goryczko, prosto z Pałac Brühla, cały w emeszetowskich lansadach, ucałował rączki pani, przysiadł się do Adama, siedzącego sztywno na kanapie naprzeciw okna z widokiem na dachy Karowej, bezceremonialnie rozluźnił mu krawat, a dodatkowo rozpinając mu kołnierzyk, najdyskretniej robiąc oko do Ewy, oznajmił:

– Podróż transatlantykami, choć bywa przyjemna, jednak w sumie męczy monotonią. Zamiast dwóch tygodni „Batorym” do Stanów Zjednoczonych proponuję szanownym państwu niecałą dobę podróży slipingiem do stolicy Szwajcarii. Część podróży przez Trzecią Rzeszę możecie, moim mili, odbyć przy zasuniętych firankach.

Śmiał się do rozpuku z oniemiałych. Prosił tylko Adama Motyczyńskiego o wyrażenie zgody na przyjęcie szczytnej funkcji posła i ministra pełnomocnego w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Szwajcarii. To nie żart, tylko rodzaj prezentu od niewielkiej grupy przyjaciół i znajomych, którzy, mając takie możliwości, nie mogliby sobie darować, gdyby chłopak z taką aparycją, prawnik i pisarz, odważny działacz w kwestii ustroju adwokatury polskiej, miał się błąkać jak jakiś self-made-man za oceanem, narażając na niewygody żonę, córkę adwokata, bohatera walk o niepodległość Polski.

– Zanim pójdziesz ze mną do Pałac Brühla odebrać listy uwierzytelniające, Adasiu, zasugeruj staremu tutejszemu słudze, żeby nam podał coś równie starego jak on i równie dyskretnego. I cóż, kochani, cieszyć się, że będziecie jednak bliżej Polski?

– Polska jest wszędzie – powiedziała Ewa.

– A bo tak się składa, że Polska jest w nas – powiedział bardziej do siebie Adam i dodał głośno, patrząc – poprzez Ewę i Stefana – na widoczne za oknem pasmo Wisły: – Lux aeterna.

---

*Oprócz postaci historycznych wszystkie inne tu przedstawione osoby są dziełem fikcji i żadne próby upodobnienia ich do konkretnych ludzi żyjących w przeszłości nie były zamiarem autora.*

# MARIOŁA STERNHAL

## OCEAN UCZUĆ

### FRAGMENT POWIEŚCI



#### „Dzieciństwo” Anny

Od dawna przeżywała dramat oderwania jej w wieku czterech lat, a może i wcześniej, od mamy. Rodzina datę odejścia taty zapisała na trzy miesiące po urodzeniu Ani. Ojciec odszedł, mama się rozwiodła i już nigdy nie dane jej było być córką tatuś. Już babcia o to dbała, aby żadne, ale to żadne kontakty nie były utrzymywane. No bo cóż on mógł zaoferować? Marne alimenty, kilka groszy? Według babci mógł to sobie „w dupę wsadzić”. Babcia Nela, mama jej mamy, znana była z nazywania rzeczy po imieniu, a ludzi oceniała według własnych kryteriów. Podzieliła ich na dwie grupy. Jest kasa: porządny człowiek. Nie ma kasy: gołodupiec. A i tak po czasie każdy porządny człowiek dostawał za swoje. Taka już była i nikt nie był w stanie tego zmienić. Miała bardzo silny charakter i Anna, kiedy dorosła, zaczęła się zastanawiać, co też zaszło w życiu babci, że stała się taka gruboskórna i zimna. Nic nie dzieje się bez przyczyny i z pewnością doznała czegoś okropnego, o czym nigdy nikomu nie opowiedziała. Swoją tajemnicę zabrała do grobu.

„Mądrości życiowe babci Neli” doprowadzały Annę do szewskiej pasji, ale to dopiero w okresie, kiedy była nastolatką, kiedy dorastała. Jak na razie jako siedmioletnie dziecko nie rozumiała nic z tego, co mówi jej babcia, i niezbyt wiele z tego okresu pamięta. Za to bardzo dobrze, a lepiej będzie, jak to określi: raz na całe życie, zapamiętała, tę jedną jedyną wizytę taty.

Z tamtego dnia pamięta radość połączoną z dziecięcą niecierpliwością i to uczucie ciekawości, którym żyła już kilka dni przed spotkaniem. Dobrze pamięta te chwile, kiedy zastanawiała się: „Jaki będzie ten mój tata? Jak się ze mną przywita? Czy mnie przytuli? Czy będzie mnie już teraz zawsze kochać? Czy już zostanie?” – te i wiele innych pytań na zawsze pozostaną dla niej nierozwiązaną zagadką.

Bardzo tęskniła za mamą – to był już ten okres, kiedy sprowadzający przywieźli ją z powrotem do Krakowa, do jej

„Krakówka”, a wiadomość o spotkaniu z tatą, którego nie widziała od urodzenia, wzbudziła w niej ten jedyny rodzaj nadziei. Ufności, że znowu wszystko będzie dobrze. Że znowu będą rodziną. Odzyska najpierw tatę, a potem od razu mamę. Skąd mogła przypuszczać, że tutaj nikt nie liczy się z tym, co ona myśli i jakie ma marzenia? Jakie pragnienia ukrywa w swoim małym, a jak bardzo już zranionym serduszkem? W najgorszych snach nie przypuszczała, że w świecie, w którym jej przyszło żyć, liczą się tylko pieniądze, i to tylko o nie w tej chwili chodziło. Nikt tutaj nie myślał o uczuciach – ani jej, ani tego mężczyzny, którego łaskawie zaproszono do domu. On był tylko tym, który miał płacić alimenty na córkę, z których oczywiście córka nie widziała ani grosza. Zrozumiała to dopiero, kiedy była dorosła, i nie raz przeżyła sytuacje, z którymi nie mogła się pogodzić ani jej dusza, ani jej nastawienie do świata i ludzi.

Już jako dziecko kochała cały świat i wszystkich ludzi wokoło. Nie znała uczucia zazdrości i zawiści ludzkiej. Mało tego, nie rozumiała ludzi, którzy byli fałszywi, obłudni i zawistni. Nieba chciała każdemu przychylić i nie pojmowała, że można być innym. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że ten świat jest inny. Świat, do którego sprowadzili ją oni: babcia i dziadek.

Nareszcie nadszedł ten dzień i po południu przyjechał tato. Był bardzo spokojny i wyważony, wypowiadał się w sposób przemyślany i z wielką uwagą przyglądał się swojej córce. Zauważyła pewną rezerwę w jego zachowaniu, trudno to określić, ale jakby niewidzialna ściana dzieliła ich oboje. Rozmowa została skierowana przez babcię na temat jej niebywałego talentu muzycznego i zainteresowania grą na pianinie. Tato, chcąc pewnie sprostać zadaniu, zaoferował zakup pianina.

Mała Ania była w szoku i nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Zawstydziała się jeszcze bardziej. Oczywiście cała rozmowa była kontrolowana i tata nie mógł być z własną córką ani sekundy na osobności. Skończyła się fałszywymi uśmiezkami



babci i judaszowym przymilaniem, jakże dobrze znanym dorosłej Annie. A wszystko tylko po to, aby w kolejnych miesiącach otrzymać przekaz z alimentami. Widocznie oczekiwania, jak zwykle, były zbyt wygórowane i kiedy tata Ani przyjechał w odwiedziny po raz drugi, potraktowano go z balkonu słowami niecenzuralnymi:

– Sp... ty sk... z mojego domu. Ty sk... ty mnie jeszcze popamiętasz – te słowa, wykrzykiwane z balkonu przez babcię Nelę, dudnić będą jej w uszach przez całe życie.

A tata odszedł i już nigdy nie wrócił. Nigdy więcej już go nie zobaczyła. Zmarł nagle, kiedy miała osiemnaście lat. Czekwała na niego i tak bardzo chciała się z nim spotkać, kiedy dorośnie. Zmienić coś. Poznać go. Zacząć od nowa? Każde spotkanie z nim oznaczało zaskoczenie.

Tak było po raz pierwszy i tak stało się również po raz drugi, a zarazem ostatni, kiedy cokolwiek w swoim życiu o nim słyszała.

Telegram od wujka Nikodema, brata ojca, trafił w nią niczym grom z jasnego nieba. Znała go jedynie z kilku opowiadań babci Neli, zresztą tak jak całą rodzinę ojca.

Pamięta jak pokazywała telegram babci, a ta spytała:

– I co, pojedziesz?

Trudno było właściwie wyczuć jej intencje, ale Anna w tonacji głosu zauważyła delikatną nutkę nadziei, że jednak zostanie, że nie pojedzie na „jego” pogrzeb.

Nigdy nie zrozumie, dlaczego ona była taka uparta w tym swoim dążeniu do rozdzielenia jej od taty i mamy. Tak, babcia, jeżeli w ogóle wypowiadała się na temat jej ojca, to zawsze mówiła o nim: „on, tamten, jego”. Ewentualnie padało jeszcze wiele niecenzuralnych słów pod jego adresem, ale ona taka już była.

Dla Anny nie istniała inna opcja, postanowiła: jedzie na pogrzeb taty. Będzie go mogła zobaczyć i pożegnać się z nim. Nie miała ochoty odpowiadać na pytanie i nie chciała słuchać, co też jej babcia ma do powiedzenia o tacie. Znała te wszystkie historie i teraz, kiedy już nie żył, bolały ją jeszcze bardziej aniżeli wcześniej. Wyciskały łzy z jej oczu, bo raniły osobę, którą bardzo kochała, chociaż spędzili razem bardzo mało czasu.

W tej chwili Anna nie domyślała się, jak bardzo przewrotne potrafi być życie. Córka i ojciec nie zobaczyli się już nigdy, a pożegnanie, nawet to ostatnie, nie było im dane. Okazało się, że w telegram wujka wkradła się pomyłka i Anna przyjechała na pogrzeb ojca godzinę za późno. Nie mogła go zobaczyć, był już pochowany. Spóźniła się na pogrzeb ojca. Ale nie ze swojej winy. Długo powracała myślami do tej sytuacji, do tych wydarzeń, które trudno było zrozumieć. Czy zadziałał przypadek,

czy z jakiegoś innego powodu życie nie chciało, aby pożegnali się na zawsze?

I tak Anna pozostała w tym domu pełnym nigdy niekończących się awantur, gdzie jedna kłótnia była głośniejsza od poprzedniej, a narzekania zaczynały się od momentu, kiedy tylko otworzyła oczy, aż po moment pogrążenia się we śnie. Oczywiście pod warunkiem, że można było spać. Niekończące się kłótnie i wyzwiska, ciągłe narzekanie na wszystkich i wszystko uniemożliwiały spanie, uczenie się, czytanie – po prostu normalne życie, o którym tutaj nie mogło być mowy. A ponieważ babcia narzekała generalnie zawsze, wszędzie i na wszystkich, dziadek nie mogąc już tego pewnie wytrzymać, uciekał w swój świat, aż stał się alkoholikiem. Czy miał inne wyjście? Tego Anna nie wiedziała. Ale jedno było pewne: na trzeźwo nie miał nic do powiedzenia. Babcia była człowiekiem, który absolutnie nie tolerował innego zdania aniżeli jej własne.

Odkąd Anna sięga pamięcią, terroryzowała całą rodzinę, z nią na czele. Potrafiła być cudowna i miła, ale kiedy tylko najmniejsza rzecz była niezgodna z jej zapatrywaniem lub upodobaniem, potrafiła się zmienić błyskawicznie w osobę oschłą, niemilą i bardzo nieprzyjemną w zachowaniu. Po kilku latach Anna straciła nadzieję, że może być inne i lepsze życie.

Jak tu trafiła? Gdzie została mama? Bo historię ojca – krótką, bo krótką – już znacie, prawda? Otóż mama Anny żyła setki kilometrów od własnego dziecka i to ona zdecydowała o tym zesłaniu. Na tę Syberię zimną, bez uczuć i szansy na miłość. Do tego nie świeciło tu słońce, nie wolno się było śmiać i tylko łzy, krzyki, awantury, pijaństwa, rozboje, krew, przekleństwa i burdy wypełniały dziecięce i młodzieńcze życie Anny. Wyrósła na pustyni. Bez rodziny, domu, słońca, radości, rodziców, przyjaciół, znajomych i tak naprawdę zastanawiała się, dlaczego jeszcze w ogóle żyje. Komu zależy, aby jeszcze żyła?

Wychowano ją bez kontaktu z otoczeniem, a jeżeli jakiś kontakt nawiązywała, a trudno żyć bez nawiązywania kontaktów z innymi osobnikami rodzaju ludzkiego, to natychmiast domowe służby bezpieczeństwa zabraniały tego kontaktu. A babcia Nela powodów znajdowała zawsze więcej, aniżeli było to konieczne: za prymitywny, za głupi, za prostacki, za biedny, za stary, za młody, za brzydki, nic nie umie, nic nie wie... i tak bez końca. Każdy powód był dobry, aby się po prostu z nikim nie spotykać. Nie miała przyjaciół, a jedyną rozrywką małej Anny było czytanie książek. Oczywiście nikt książek Annie nie kupował. Znosiła je tonami z bibliotek.

Ogólnie nikt jej nic nie kupował. No bo i po co? Tylko to, co najpotrzebniejsze, aby się wstydzić za wnoszą przed ludźmi nie trzeba było, ale za to wnosia wstydziła się przed wszystkimi za swój wygląd starej dewotki. Kiedy jej rówieśnicy biegali w dzinsach i podkoszulkach, ona nosiła granatowe spodnie z kantem, na dodatek często przykrótkie. Dzieci rosą, ale kto tu zwracał

na to uwagę? Do tych wyjątkowo niemodnych spodni w zimie zakładała jakieś stare i porozciągane swetry, a w lecie jakieś bluzki z odzysku. Na zimę koniecznie kożuszek i czapeczka z futerkiem. To tak, aby koleżanki już naprawdę pękały ze śmiechu. Każda jej próba sprzeciwu i wyrażenia w bardzo delikatny sposób własnego zdania, no przecież na niebagatelny temat, bo dotyczący wyglądu dziesięcio-, jedenasto- i dwunastoletniej panny, kończyła się wrzaskami babci:

– Tobie to już się całkiem w głowie poprzewracało. Gówniarzu jeden niewdzięczny!!! Wychował to człowiek, wykarmił i tak się będzie odwdzięczać!!! A człowiek tak się stara, kupuje, gotuje!!! Nic się dla gówniarza nie liczy!!! Nic nie umie uszanować!!! Żadnej człowiek podzięki nie ma!!! A co to dopiero na starość będzie, ty nam dopiero pokażesz!!! Ale ja sobie nie pozwolę!!! Ty mnie popamiętasz!!! A ten kożuszek to majątek mnie kosztował!!!

I tak dalej, i codziennie tak samo. Trudno się dziwić, że Anna przestała z czasem się sprzeciwiać, a czasami w ogóle odzywać. Ale to również wzbudzało gniew babki.

– Nawet z człowiekiem rozmawiać nie chce!!! Znowu dupą bije!!!

Anna nie mogąc wytrzymać tych wiecznych wrzasków, zamykała się u siebie w pokoju i czytała. Żyła w swoim świecie. W świecie książek. W świecie, w którym miała rodziców, rodzeństwo, a nawet została nauczycielką. Tak, Anna miała marzenia. Czy to dziwne? Przecież każdy je ma.

Aż dziw bierze, że babka pozwalała Annie chodzić do biblioteki i na lekcje tenisa stołowego w pomieszczeniach obok biblioteki. Oczywiście z zegarkiem w ręku kontrolowała jej powroty do domu. I jeżeli zajęcia trwały godzinę, to Anna miała pięć minut na dojsie i kolejne pięć minut na powrót. Jeżeli tylko spóźniła się o minutę lub dwie, godzinami musiała wysłuchiwać wrzasków babci, że już nigdy nie będzie mogła nigdzie wyjść i babka już jej pokaże, gdzie raki zimują! Co za bachor przeklęty! Za co Pan Bóg tak ją pokarał?!

Tymczasem ona uwielbiała klimat małej, ciemnej i pachnącej starymi woluminami biblioteki kolejowej. Tamten zapach i spokojną, starą panią bibliotekarkę pamięta do dzisiaj. Starsza pani w okularach była cichą i pogodną osobą. Zawsze długo rozmawiała o książkach, o ich autorach albo o synu bibliotekarki. Starsza pani chętnie jej opowiadała o synu, który był alkoholikiem i jakby przykrości w życiu Anny było mało, znał jej dziadka. Razem pili wódkę. Zresztą ktoś go nie znał? Po swoich pijackich burdach i trwających po kilka dni libacjach alkoholowych staczał się do domu poobijany i przywleczony przez przypadkowych przechodniów. Spotykała ich pewnie później na ulicy, a więc do panicznego strachu, w którym Anna żyła dzień i noc, dołączył okrutny wstyd przed wszystkimi ludźmi. Każde spojrzenie mijanej na ulicy osoby według Anny mogło oznaczać

tylko jedno: „Patrzcie, to ta, której dziadek jest alkoholikiem, codziennie wraca pijany do domu. Codziennie wyciągamy go z rowu lub jeszcze innego miejsca”. Nie sposób zliczyć ilości przyjazdów karettek pogotowia do domu, w którym mieszkała Anna. A to dziadek znowu spadł ze schodów, a to znowu leży w kałuży krwi, a w jeszcze innym przypadku wrzeszczy niemiłosiernie, wołając co drugie słowo, że za chwilę umrze.

Pomimo szczerych chęci i dobrej woli trudno byłoby całą sytuację nazwać sielanką rodzinną, ale to właśnie w takich warunkach wychowała się Anna.

Powróćmy jeszcze na chwilę do momentu, kiedy Anna była czteroletnią dziewczynką. Kiedy żyła w swoim rodzinnym domu z mamą, a nikt nawet w najśmielszych snach nie przewidywał tego, co dzieje się w tej rodzinie oraz jakimi bezdusznymi i bezwzględnyimi osobami okazały się jej dziadkowie. Jakżeż inaczej określić osoby, które zabrały jej rodziców, i to zarówno mamę, jak i tatę, a jedynym ich celem były korzyści finansowe i egocentryczne podejście do świata, jakie rzadko można spotkać w takim wymiarze?

Kiedy Anna miała trzy miesiące, jej mama rozwiodła się z ojcem. Tak, a chcąc zachować zupełną szczerłość, bo taką ceniła sobie ponad wszystko, to trzeba powiedzieć, że najpierw rodzice mamy wybrali jej odpowiedniego kawalera, pasującego do rodziny, statecznego i bogatego, aby po krótkim czasie wylać na niego i całą jego rodzinę wiadro pomyj. Nikt nie pytał mamę Anny, czy ona go kocha. Miał być ślub, bo on z dobrej rodziny jest, i koniec. Spustoszenie, jakiego dokonali w życiu jej rodziców, i to obojga, będzie miało konsekwencje przez wiele dziesiątków lat i dopiero Anna, będąc dorosłą kobietą, swoim życiem i podejmowanymi decyzjami zakończy ten dramat. W jakim stopniu? To bardzo trudne pytanie, a odpowiedzi wiele. Chociaż dla samej Anny decyzje dziadków oznaczały wyznaczenie kursu jej życia na drodze bardzo tragicznej i trudnej. Jak się z czasem miało okazać, sobie samym wyznaczili kurs życia busołą, w kierunku sztormów i kataklizmów niosących spustoszenie i pustkę.

Annie nie pozostawiono wyboru, a ona kilka razy miała szansę, aby uciec i zapomnieć o tej rodzinie, ale ktoś musiał przerwać ciągnący się latami dramat rodzinny. Ktoś musiał się odważyć. Zrobiła to z miłości do swoich dzieci i po latach wcale tego nie żałowała. Dobrze wiedziała, że życie prędzej czy później tak zmieni bieg i zawróci na zapisaną w księdze każdego człowieka drogę. I tak stanie się to, co ma się stać, a ona chciała zaoszczędzić swoim dzieciom kolejnych dramatów. W jej pojęciu wystarczy, że ona cierpi i cierpieć będzie do końca życia. One nie. Jej dzieci, ich dzieci, mają być szczęśliwe i kochane. Ich dzieci mają mieć mamę i tatę, kochającą się rodzinę i wsparcie, w każdej chwili życia. Ich życie ma się toczyć normalnym torem. Są wzloty i upadki, są momenty szczęścia i łzy rozpaczy, są wygrane i przegrane bitwy, są różnice zdań, i to jest

normalne. To jest życie. Ale kiedy masz rodzinę wokół siebie, a serce przepełnione wiarą i nadzieją, to masz wszystko i pokonasz wszystkie przeciwności losu.

Mama przez kilka lat starała się ją wychowywać samodzielnie. Z miłością i czułością, tak jak potrafiła. Jak każda matka. Do tego nie potrzeba żadnych studiów, każda kobieta ma tę miłość zapisaną głęboko w sercu. Mama Anny była bardzo atrakcyjną, zadbaną, młodą blondynką, za którą oglądali się wszyscy na ulicy. Pracowała w krakowskiej Telewizji na Krzemionkach i była osobą ogólnie bardzo lubianą. Zawsze uśmiechnięta, zawsze chętna do pomocy każdemu, zawsze pełna energii i radości życia.

Do Telewizji została przyjęta jako osoba do pomocy w restauracji obsługującej pracowników, ale już wkrótce została przeniesiona do pracy na stanowisku pomocnika charakterystyki. Starła się, jak mogła, i nie trzeba było długo czekać, aby niejedna osoba zauważyła jej potencjał. Miała olbrzymi talent organizatorski, umiała pięknie szyc i na dodatek była wspaniałą i utalentowaną fryzjerką.

Czyż takiego talentu nie szkoda było do obsługi baru w telewizyjnej restauracji? Stosunkowo szybko pozyskała sobie sympatię nie tylko dyrekcji, ale również i aktorów, kamerzystów, choreografów, krawcowych i wielu innych osób pracujących w tamtych czasach w sławnej Telewizji na Krzemionkach. Czuła się tutaj dobrze, nareszcie była doceniana i lubiana. Młoda, wolna, miała prawo do życia, jak każdy człowiek. Ale nie przy nich. Nie przy swoich rodzicach. Po pracy, kiedy wracała zmęczona do domu, czekały na nią codziennie awantury, kłótnie, pijaństwa i wyzwiska:

– Ty dziwko, gdzie ty się znowu włączyłaś!!!

– Przecież wracam z pracy, czego wy ode mnie chcecie? Dajcie mi spokój. – Płacz, tylko to jej pozostawało, i skryty żal, uraza, rosnąca z każdym dniem, a sytuacja codziennie się powtarzała.

Dziadkowie Anny byli wobec wszystkich na zewnątrz mili i uśmiechnięci. Na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie ludzi inteligentnych i sympatycznych. Dopiero w domu przemieniali się w najprymitywniejszych osobników, którzy klęli jak szewc i nie umieli obdarzyć kogokolwiek najmniejszym szczerym uczuciem. Nawet samych siebie. A do tego uwielbienie knucia za plecami innych i stałe planowanie intryg, to był ich żywioł. Dorosła Anna zawsze odnosiła wrażenie, że dziadkowie poza domem odgrywają dobrze wyuczone role i robią wszystko na pokaz. Dla ludzi. Nigdy nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Ale jak była małym dzieckiem, nic z tego „całego cyrku” do niej nie docierało. Czy to dobrze? Któż to wie. Ona, jak pokaże później życie, była na nich skazana.

Matce Anny nie dawali spokoju. A jej ból i ten żal nie do zniesienia rósł w niej z każdym dniem. Zatruli jej życie

w nieskończoność. Rujnowali wszystko, co ona zdołała mozolnie, siłą własnego charakteru i własnych dwóch rąk stworzyć. Jej dom, jej szczęście, jej rodzinę – już zniszczyli jej pierwsze małżeństwo, pierwszą pracę. Jednak mama Anny była silna i postanowiła stworzyć wszystko na nowo. Odbudować i dać sobie szansę po raz drugi. Tak, właśnie sobie. Co w tym dziwnego? Też była człowiekiem i miała prawo podejmować własne decyzje. Miała prawo popełniać błędy i to właśnie z nich wyciągać nauczki na przyszłość, zbierać doświadczenia. Błędy, czyje błędy? Jej czy jej rodziców? Tak, w świecie jej rodziców było miejsce na grzeczną córkę Jadwigę, która wykonuje wolę rodziców bez zastanowienia i przede wszystkim zawsze i wszędzie. W świecie rodziców mama Anny była ich własnością, była instrumentem, którym się wysługiwali, zdobywając swoje cele, realizując swoje marzenia i swoje plany.

Mama Anny zaczęła na nowo układać swoje głęboko zrzucone życie. Poznała Juliana, swoją wielką miłość. Nie przeszkadzała im dzieląca ich odległość, a wzajemna tęsknota jeszcze bardziej ich łączyła, jeszcze bardziej spajała i jednoczyła, jakby byli jedną duszą, jednym ciałem. Ale rodzice Anny nie akceptowali Juliana. Zresztą nikt nie spodziewałby się po nich innej reakcji. Oni nie akceptowali przecież nikogo i niczego, tylko siebie nawzajem, i to też nie do końca.

Tak by pewnie pomyślała jej mama, gdyby była Anną. Ale przecież Anna nie może wiedzieć dokładnie, co jej mama wtedy myślała, bo ona nie jest nią, tylko sobą. Ze swoim charakterem i biegiem myśli odpowiadającym jej przekonaniom i jej rozwiązaniom na życie. Mama Anny szanowała swoich rodziców ponad wszystko, a sama Anna jeszcze wiele lat poświęci, zanim to zrozumie. Kiedy jednak nareszcie zrozumie, szacunek Anny do mamy wzrośnie do niebotycznych rozmiarów. Pokocha jeszcze mocniej, jeszcze goręcej. Pokocha, aby cierpieć jeszcze bardziej.

Tak, właśnie ta bezgraniczna miłość do mamy będzie przekleństwem Anny do końca życia. Czy miłość do matki można nazwać przekleństwem? Niejeden Czytelnik pomyśli teraz: „Nie, to już przesada. Miłość do matki określona przekleństwem. Co to ma być? Autorka chyba postradała zmysły”. Wolę uprzedzić fakty i wyjaśniam czym prędzej.

Kto żyw, chciałby wieść szczęśliwe i spokojne życie. To prawo każdego człowieka. Niestety bohaterce tej powieści, Annie, odebrano to prawo i to kilka razy w jej skromnym życiu. Ale nikt nie mógł jej odebrać tej wielkiej miłości do każdej istoty wokoło niej i całego otaczającego ją świata. A to związane było z darem przebaczenia każdemu i wszystkim wokoło oraz poszukiwania przez całe życie zrozumienia dla każdego człowieka, bez względu na to co uczynił. I nie miało to znaczenia, czy uczynił to bezpośrednio jej, czy też innym.



Ten altruizm był jednak w dorosłym życiu nieodłącznie powiązany z jej korelacją z mamą, która przez całe życie będzie wiele razy odrzucać Annę i jej miłość. A ta do końca będzie mamie przebaczać i mamę kochać. Do końca życia poszukiwać miała odpowiedzi, której i tak nie dostanie. Dlaczego mama to robi? Kto jej teraz zdradzi, co wtedy tak naprawdę myślała jej mama? Co nią wtedy kierowało? Prawdziwa miłość matczyzna czy ta rozpaczliwa chęć życia w spokoju, choćby ją to miało kosztować rozstanie z własnym dzieckiem? Powyższe pytania, i wiele innych, Anna zadawać sobie będzie do końca życia. Wtedy jej mama zdecydowała za nią. Zdecydowała o rozstaniu, i to na zawsze, jak się później okaże.

Nieważne zresztą teraz, co wtedy myślała mama Anny. Ważne, co zrobiła. Tymczasem oni, jak to mieli w zwyczaju, wmieszali się w jej spokojne i poukładane życie. I to po raz kolejny. Tak długo nie dawali jej spokoju, aż dopięli swego. A w tym byli mistrzami, i to oboje. Zrujnowali wszystko. Wszystko to, co mama Anny skrupulatnie budowała. Z dnia na dzień przestała dążyć do bycia pomocnikiem w charakterystycznej w telewizji, a za namową rodziców zaczęła się coraz bardziej dążyć do przejścia prowadzenia całej restauracji przeznaczonej dla pracowników Ośrodka Telewizyjnego na Skałkach Twardowskiego na wzgórzu Krzemionki, popularnie nazywanej Telewizją na Krzemionkach.

Dlaczego zrezygnowała z wymarzonej drogi zawodowej? Przecież to mogła być jej życiowa szansa. Pracowała z tak wielkimi aktorami jak: Jerzy Stuhr, Anna Dymna, Jerzy Zelnik, Zbigniew Wodecki, Wiktor Zin, Tadeusz Kwinta i wielu innymi sławnymi polskimi artystami.

Zamiast spełniać swoje marzenia i rozwijać własną drogę zawodową, po raz kolejny ich posłuchała. Prawda była bardzo bolesna: dzięki umowie, którą podpisała mama Anny, w nowym „cudownym” biznesie to jej rodzice znaleźli miejsce dla siebie. W tamtych czasach w Telewizji na Krzemionkach pracowało około dwustu osób, nie licząc wszystkich innych gości dojeżdżających tutaj codziennie z całej Polski. A więc restauracja miała obłożenie przez siedem dni w tygodniu, do późnych godzin nocnych.

I znowu mogli czerpać korzyści z czyjejś zaradności i pracowitości. Byli znowu na pierwszym miejscu, mieli dostęp do władzy, rządzenia, a przede wszystkim pieniędzy. Mama Anny była tylko marionetką w ich podążaniu do celu. Dla nich liczyli się tylko oni i ich wspólne życie. Wszyscy naokoło byli niczym, nikim, stanowili mały puzzel w całym wielkim obrazie całości który zwie się: Nela i Stefan.

Jaki puzzel? Jeden piksel w puzzlach, którego jak zabraknie, to i tak świat Neli i Stefana się nie zawali. Nikt nie zauważył na całościowo złożonych puzzlach, że pikselek nie wyszedł. Nie liczy się nic poza tym. A to oznaczało: Nela rządzi i liczy

pieniądze, a Stefan pije, ile może i ile tylko się da. Nikt nie panuje nad niczym, a klęska i katastrofa nadciąga jak zwykle wszędzie tam, gdzie tylko oni się pojawiają. Całość trzymała się tak długo, dopóki Jadwiga pozwałała sobą pomiatać, krzyżować na siebie i cierpieć zniewagi bez powodu i jakiegokolwiek sensu. Było tylko kwestią czasu, jak długo to wytrzyma.

Życie każdego człowieka, który zgodzi się, aby dziadkowie do niego wkroczyli, zamienia się w totalny chaos i destrukcję. A co ciekawe, sama ofiara tego nie zauważa. Ale zawsze tylko do pewnego czasu. Kiedyś, w końcu nadchodzi gorzkie przebudzenie i taki delikwent odsądzony od czci i wiary stwierdza: „Niech się dzieje wola niebios, ja już tego dłużej nie wytrzymam”.

Może mama Anny jednak w porę się zreflektowała? Przecież z jakiegoś powodu uknuła ten cały plan ucieczki, czy jak to się oficjalnie nazywało: „wyjazdu na wycieczkę do Austrii”. Najpierw wyjechała sama. Znalazła znajomych, pracę, mieszkanie: uwiła im obu gniazdko. Powróciła do Polski i zaczęła przygotowywać Annę do wyjazdu.

Wspólne zdjęcia do paszportu. Wspólny paszport. Jeden dla matki z dzieckiem. W tamtych czasach paszporty wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiaj. A podstawowym problemem był fakt, że wtedy ludzie nie trzymali ich w szufladach, tak jak my obecnie. Planowany wyjazd należało za każdym razem zgłaszać do odpowiednich władz, a te po wypełnieniu przez obywatela stosownych formularzy wydawały paszport lub też i nie. Wyjazd do krajów socjalistycznych był łatwiejszy aniżeli do krajów z bloku zachodniego, ale nawet jeżeli władza wydała paszport, to i tak pojawiał się kolejny problem z dewizami.

Nie zapominajmy, był rok 1975 i na czarno-białej fotografii razem z mamą uśmiechały się tylko na tyle, na ile pozwalały przepisy. Ale akurat ten drobny szczegół nie uległ wielkiej zmianie, do dzisiaj. Wszystko inne było zupełnie innym światem. Dzisiaj powiedzielibyśmy: „nieznany lądem”. Trudności rozpoczęły się już w momencie, kiedy zainteresowany pomyślał tylko o wyjeździe z kraju na tak zwany Zachód, a nie daj Boże komuś o tym powiedział. W tamtych czasach informacje rozchodziły się jeszcze szybciej aniżeli dzisiaj.

Oczywiście na wycieczkę organizowaną przez jakieś funkcjonujące w tamtych czasach biuro podróży, na przykład Orbis, Gromada czy chociażby pięknie i po polsku brzmiący Almatu, można było wyjechać nawet i w czasach PRL-u. Tak, ale wtedy rzadko kto mógł sobie na ten luksus pozwolić. W przypadku kogoś, kto pracował w telewizji publicznej, wyjazd raczej nie stanowił większego problemu. Należało jednak, podobnie jak każdy inny obywatel pozałatwiać wszelkie formalności i odstać swoje w straszliwych kolejkach. Dzięki pomocy miłej pary przyjaciół z telewizji udało się wszystko załatwić bez problemów i w miarę sprawnie. Praktycznie z wyjazdem w latach siedemdziesiątych nie było większych komplikacji, ale któż to mógł wtedy

wiedzieć i przewidzieć? Faktem było, że jedni mieli utrudnienia z wyjazdem, i to spore, a inni nie. Takie to były czasy. W tym konkretnym przypadku tylko sama zainteresowana i bardzo niewielki krąg osób wiedzieli, że wyjeżdża na zawsze. Że już tu nigdy nie powróci. Do tego miejsca pełnego złych wspomnień, bólu i rozpacz. Miejsca pozbawionego miłości, której człowiek potrzebuje do życia niczym roślina wody. A to właśnie z taką suchą pustynią Jadwidze kojarzył się jej dom, w którym mieszkała. Jedyne, czego pragnęła, to swoboda, wolność i spokój. Z dala od ich głośnego sposobu bycia i życia. Z dala od ciągłych awantur, krzyków i wyzwisk.

Potem było wspólne pakowanie, wspólne wyjścia i zakupy. Mała Anna była przejęta niczym jej ukochana mama. Ogromne podniecenie całą sytuacją udzielało się oczywiście i pięcioletniej córce. Już wtedy wiedziała, że w jej życiu wydarzy się coś wielkiego! Coś, czego nie można porównać z niczym innym! A to wydarzenie miało przyćmić całe dotychczasowe życie pięcioletki.

Przed wizytą u fotografa mama postanowiła kupić Annie kilka ciuszków. Kupiły ładne nowe rzeczy, a ponieważ chodziła na naukę tańca baletowego, to czas miały ograniczony. Dziewczynka była przejęta samym faktem spędzenia z mamą, tą pachnącą i zawsze pięknie umalowaną i uczesaną wróżką, takiej ilości czasu. To było dla niej czymś niespotykanym i zarazem wyjątkowym. Mama, zawsze taka uśmiechnięta i wesoła, pełna szalonych pomysłów, taka łagodna i kochana. Mama była dla Anny wspaniałą wróżką z innej bajki, niczym dobra nimfa dbająca o swoje maluszki. Całe podekscytowanie małego pięcioletniego serduszka tak mocno wpłynęło na podstawowe funkcjonowanie jej organizmu, że zwieracze puściły, a mama poczuła dziwne, rozchodzące się ciepło na kolanach w kabinie u fotografa. I to w momencie kiedy właśnie robiły zdjęcia do paszportu. Ubaw miały niezmiernie. Ona, na początku zawstydzona i całkiem zbита z tropu, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej mama cały czas się śmieje, próbując i ją rozśmiażyć. Taka już była: wesoła, pełna chęci do życia i pozytywnej energii. Ale do czasu.

Później nadszedł ten moment, kiedy mama straciła tak dobrze Annie znany śmiech i lekkość życia wspaniałej wróżki z bajki. Śmiała się już rzadziej, potem wcale, a czasu dla córki też zawsze brakowało. Niby nic się nie zmieniło, bo mama tego czasu dla niej nigdy nie miała, ale wtedy nie było to jeszcze powodem do niepokoju dla małej Anny. Dopiero potem, tam, w Austrii, to małe dziecko zaczęło wyczuwać, że z mamą dzieje się coś niedobrego. Że to dziecko, które tkwiło w jej mamie, które sprawiało, że ta ich kraina była ostoją szczęścia i radości, to dziecko odeszło i już nigdy więcej nie powróci... nigdy więcej. Ta wesoła dusza dziecka, pełna miłości do świata i otaczających ją ludzi, umarła w mamie. A to oznaczało, że w życiu Anny już nic nigdy nie będzie takie, jak być powinno.

Atmosfera w domu w Krakowie robiła się coraz bardziej nie do zniesienia, ale mama konsekwentnie realizowała swój plan i nic nie było ją w stanie od niego odwieść. Z perspektywy lat Anna dzisiaj dobrze wie, że jej mama była całkowicie świadoma sytuacji: ucieka, by już nigdy tu nie powrócić, i to za żadne skarby tego świata. Uciekała do wolności, spokoju i normalnego życia, na które przy swoich rodzicach nie miała szansy.

Teraz, po latach, Anna rozumie, że chęć ucieczki od nich była tak silna, tak ogromna, niczym siła wodospadu Niagara, której chyba nikt i nic powstrzymać nie może. Jak ogromne masy wody spadające codziennie, bez ustanku, tak mama Anny dążyła do życia bez nich.

Nareszcie nadszedł ten dzień. Pojechały pociągiem. Po raz pierwszy jechała pociągiem tak daleko. Po raz pierwszy spała w pociągu. W walizkach mama miała wszystko, co tylko mogło im się przydać w podróży, i nie tylko. Miała dużo więcej. Przecież wyjeżdżała na zawsze. Już nigdy tu nie powróci i już nigdy nie pozwoli zrobić piekła z jej życia i z życia jej córeczki.

Wzięła ze sobą nawet żółte futro z baranów, chociaż wyjeżdżały w lecie i naprawdę nie byłyby teraz potrzebne. Wtedy to był krzyk mody. Mała spała, ale na granicy celnik konieczne chciał przeszukać ich torby i walizki. Zaniepokojona hałasem dziewczynka od razu się zbudziła. Była przestraszona całą sytuacją i trudno się dziwić. W końcu to noc, ciemny pociąg i dziwni ludzie wyglądający jak policja, z psami obwąchującymi wagony. Mała dziewczynka do końca życia będzie wspominać pierwszą tak długą podróż i ten strach przed umundurowanymi celnikami na granicy, którzy przecież mogli je cofnąć. Przecież mogli spowodować, że musiałyby wracać: tam. Do tych kłótni i tego potwornego krzyku.

Mała czuła, jak bardzo mama się boi, a jej strach powoli przenikał do serca i duszy dziewczynki. To chyba wtedy, tamtej nocy, po raz pierwszy strach wbił się pazurami w jej dziecięcą i zupełnie niewinną duszę, aby już stamtąd nigdy nie wyjść. Aby tam tkwić i wyłazić co chwile, coraz bardziej na wierzch, niczym okrutna i ciemna lava wulkanu zalewającego podczas wybuchu wszystko i wszystkich dookoła.

To od tamtej nocy Anna przez całe życie bać się będzie potwornie stacji kolejowych i dworców. A widziane w nocy wzbudzać w niej będą uczucie potwornego lęku, graniczącego ze strachem o własne życie. Tak, już jako dorosła kobieta przekona się, że tamten strach to była obawa małego dziecka o własne życie i życie najbliższej jej osoby na świecie: mamy.

Uczucia powrócą, ale tym razem będą dokładnie tym, czego oczekiwała, a więc po latach będzie przygotowana na ich przyjęcie. Będzie starsza, z pakietem własnych doświadczeń. Przygotowana będzie również na reakcję. Choć czy to prawda? Czy można być przygotowanym na jakiegokolwiek nieszczęście? Z pewnością nie. Ale można być lepiej lub gorzej przygotowanym

na sposób reakcji, można wiedzieć, jak zareagować. A to już dużo. Wtedy mamy siły, aby przetrwać gorszy czas, a więc aby przeżyć i nie zdręzczać się na śmierć.

Po kilku długich godzinach przepełnionych strachem i dokładnym sprawdzaniem każdego z wagonów wewnątrz, jak i od zewnątrz kontrola graniczna pozwoliła na dalszą jazdę pociągu. Przyjazd na dworzec w Wiedniu, „Südbahnhof”, o godzinie piątej nad ranem, kiedy dopiero co budził się świt, był kolejnym etapem na długiej drodze niewiadomych tej małej istoty. Obcy kraj, to dziwne uczucie w żołądku i myśl, że jest tu sama, z mamą. Udało się.

Jeszcze nie przeczuwała, że coś pójdzie nie tak, że coś nie wyjdzie. Na dworcu nikt ich nie oczekiwał, nikt nie witał. Wiele walizek i toreb, ten żółty baran i koc w kratę – wełniany, bardzo ciepły, pachnący mamą, dobrą wróżką. Już nie raz w nocy się przydał. Na peronie wśród tłumu ludzi stoją same, z ogromem bagaży, w zupełnie obcym kraju, na obcej ziemi. Bez dachu nad głową, bez niczego. Mają tylko siebie. A więc ona swoją ukochaną mamę, a jej mama swoją ukochaną córeczkę. Cóż można chcieć więcej? Mając takie bogactwo, wszystko musi się udać.

Mama prosi, aby Anna została i pilnowała ich całego dobytku. Tak, pięcioletka ma zostać sama na wielkim, obcym dworcu, pośród tłumów obcych ludzi. Nie ma wyjścia, musi być dzielna. Musi pokazać mamie, że może na niej polegać. W końcu mama miała teraz tylko ją. W ciągu tych kilku godzin mała Anna musiała przestawić swój sposób myślenia z beztroskiego dziecka – jeżeli takim było kiedykolwiek jej pięć lat minionego życia – na tok myślenia osoby dojrzałej. Jak miała to zrobić? Dobre pytanie. Tymczasem mama odwróciła się na pięcie i nie zwracając uwagi na spojrzenie córki pełne przerażenia, oddaliła się w kierunku budki telefonicznej, aby zadzwonić i sprawdzić, co też mogło się stać. Dlaczego nikt nie przyjechał po nie na dworzec, tak jak to było ustalone wcześniej? Na szczęście wszystko dobrze się kończy. Przyjeżdżają mamy znajomi i zabierają je do nowego lokum, w którym mała Anna spędza samotnie prawie cały dzień. Nie wiadomo dlaczego, może planowano tam właśnie remont, ale w mieszkaniu stała w kącie bardzo wysoka drabina.

– Wychodzę załatwić pracę i mieszkanie, niedługo będę z powrotem – usłyszała Anna i mamy już nie było.

Czekała wiele godzin. Przestraszona do żywego Anna spędziła na samej górze teje drabiny cały dzień. Tak, siedziała cały boży dzień na drabinie. Trochę z nudów, a później to już tylko ze strachu. Wdrapała się na samą górę i czekała na mamę. Nawet nie czuła głodu. Pić się jej tylko bardzo chciało, ale to już wtedy nauczyła się walczyć o przetrwanie. Postanowiła tak długo nie schodzić, aż mama nie wróci. Tu na górze nikt jej przynajmniej

nie znajdzie. Taka logika małego dziecka, przestraszonego do szpiku kości, i to przez wiele godzin.

Na szczęście mama wróciła! W momencie, kiedy ujrzała twarz dobrej wróżki, mamy, wszystko inne przestało się liczyć. Strach zniknął w mgnieniu oka, głód i pragnienie odeszły na dalszy plan. A mała mogła myśleć tylko o jednym: była bezgranicznie szczęśliwa. Mama wróciła i tylko to się liczyło! Czyżby w to małe dziecięce serduszek już wtedy wdierał się strach przed utratą tej najbliższej dla niej istoty na ziemi? Czyżby już wtedy to pięcioletnie dziecko zaczynało się panicznie bać utraty mamy?

Przez cały dzień, w miarę jak upływała godzina po godzinie i nawet zaczęło się już ściemniać, małe serduszek biło coraz szybciej. Ze strachu była cała skostniała. Miała problem, aby zejść na dół. Ale jakoś się udało. Na widok ukochanej mamy zapomniała o wszystkich niedogodnościach.

Mama wraca i przynosi same dobre nowiny: mają mieszkanie, a mama pracę. Znajomi pomagają przewieźć rzeczy do nowego mieszkania, już bez drabiny. Jest w bardzo spokojnej dzielnicy, na drugim piętrze, duże i ładne. Ania ma swój pokój i jest szczęśliwa. Mija dzień za dniem, a do ich mieszkania wprowadza się Julian, mamy miłość z Polski. Przyjechał za nią aż do Wiednia. Chcą rozpocząć wspólnie nowe życie. Ona chodzi do szkoły, austriackiej oczywiście, uczy się języka niemieckiego.

Początki były bardzo trudne. Bez znajomości ani jednego słowa mama zapisała ją do szkoły austriackiej, a oni oczywiście ją przyjęli. Bo dlaczegożby nie? Przecież dziecko nie może się odstresować, nie. Musi być adrenalina na najwyższym dopuszczalnym poziomie, tak że aż znowu się posusiała. Tak, ale tym razem nie przez radość mamy z wyjazdu. Proza życia, nie wiedziała, jak ma powiedzieć po niemiecku, że chce do toalety. No i stało się. Pierwszy dzień w szkole, na dodatek austriackiej. A ona nie umiała ani słowa po niemiecku. Trzymała, ile sił starczyło w tym małym dziecięcym organizmie, kilka godzin. Ale w końcu nie mogła już dłużej i na czwartej lekcji puściła. Nigdy w życiu nie zapomniała dziwnego ciepłego uczucia, rozlewającego się w stronę jej nowych, czarnych lakierków. Strach, znowu strach i znowu wstyd. Ten ogromny wstyd, którego nie pozbędzie się przez wiele lat. W tym dniu przeżyła swoją wielką traumę. Czy największą w życiu dziewczynki? To raczej będzie trudno stwierdzić. Ale z pewnością tę, która pozostawiła spustoszenie na długie lata. Od tamtego dnia Ania zaczęła się straszliwie jękać. A więc do braku znajomości języka niemieckiego w austriackiej szkole dołączyło jeszcze jękanie. Tylko dzięki ciężkiej pracy nad tą przypadłością, która trwała ponad trzydzieści pięć lat, udało jej się nad tym zapanować do perfekcji.

I tylko czasami, kiedy pragnie pamięcią powrócić do tamtych czasów, kiedy była tak bardzo szczęśliwa, będąc przy swojej mamie, a zarazem tak bardzo nieszczęśliwa z powodu braku



miłości od mamy, uroni łezkę, bo to boli, tak bardzo boli. Ale już się nie jąka. Poradziła sobie sama. Jak ze wszystkim w życiu.

Każdy logopeda dobrze wie, jakie to okrutne i wstydlive schorzenie; a każdy psycholog zrozumie, co przeżywało dziecko pozostawione w takiej sytuacji samemu sobie. Bez wsparcia, bez zrozumienia i bez pomocy specjalisty. Nikt jej wtedy nie pomagał. Mama nie miała czasu, aby rozmawiać z nią na temat jej problemów, których dzieciom nigdy nie brakuje.

Mała Anna musiała sobie radzić sama. Na pomoc mamy w szkole nie mogła liczyć, przecież mama nie znała języka niemieckiego. Ani słowa. Sama się powoli uczyła. Ale jak wiadomo, miała wtedy inne priorytety na głowie. Musiała utrzymać siebie i córeczkę, a dla samotnej kobiety, bez jakiegokolwiek wsparcia, to były bardzo trudne czasy. Mama nawet nie wiedziała, do jakiej instytucji mogłaby się zwrócić o pomoc. Poza tym żyła w strachu przed deportacją do Polski. Przecież oficjalnie przyjechały tutaj tylko na urlop. Prawda zaś była zupełnie inna. W tamtych czasach nietrudno było sobie napytać kłopotów z tego powodu. A tych mama Anny chciała uniknąć za wszelką cenę. Za żadne skarby tego świata nie chciała wrócić do tego piekła z powrotem. Tutaj, bez względu na trudności, bez względu na problemy, z jakimi przyszło jej się borykać, była wolnym człowiekiem i kładła się spać zmęczona po całym dniu, ale na pewno szczęśliwa. Nikt jej nie zadrecał psychicznie, nie poniżał i nie wykorzystywał jako siły roboczej.

Czy w aspekcie tych jakże ważnych dla dziecka problemów można mówić o jakiegokolwiek winie mamy? Na pewno w tamtym momencie mała Anna nie myślała w tych kategoriach i jak to później czas zweryfikuje, nigdy w tych kategoriach myśleć nie będzie. Mama nie miała wyjścia. Chciała Annę zapisać do polskiej szkoły przy ambasadzie, ale nic z tego nie wyszło. Pamięta, jak jechały tramwajem do tej pięknej i spokojnej dzielnicy i obie bardzo się cieszyły. Będzie polska szkoła, polscy nauczyciele i polskie dzieci. Tak, wszystko poszło dobrze i Anna została zapisana, ale szkoła była na drugim końcu Wiednia. Dzieci trzeba było codziennie rano dowozić i codziennie po południu odbierać. One dopiero co przyjechały, a mama nie miała ani prawa jazdy, ani samochodu. Aby zdążyć punktualnie do pracy, nie mogła jej wozić codziennie rano przez całe miasto, a Anna była za mała, aby mogła jeździć sama.

A więc mama była zmuszona wysłać ją do najbliższej szkoły, jaka była nieopodal miejsca ich zamieszkania. I tak się rozpoczęła jej przygoda życiowa z językiem niemieckim, która wraz z upływem lat przerodziła się w prawdziwą i głęboką pasję życiową.

Z mamą miała jeszcze kilka ciekawych przygód. Kiedyś poszły do łaźni i Anna włączyła alarm. Przybiegła jakaś strasznie wrzeszcząca kobieta i nieźle im się dostało za włączanie alarmu bez powodu. Według tej kobiety dla zabawy, a zdaniem Anny

przez zwykłą dziecięcą ciekawość, a nie żadną zabawę. Innym razem jechały tramwajem i Anna również pociągnęła nie za ten sznurek, co trzeba. I znowu alarm. Tramwaj stanął w ciągu pół sekundy! Prawie w poprzek ulicy! W obu przypadkach mama prawie zapłaciła karę, ale z opresji za każdym razem ratowało ją pięcioletnie dziecko. Jej własna córka. Mama nie mówiła ani słowa po niemiecku, a więc mała zdana była wyłącznie na siebie i sama musiała bronić i siebie, i mamy. W obu przypadkach jej Anioł Stróż pomógł i wszystko zakończyło się dobrze. Upomnienie, nagana, ale bez kary pieniężnej.

Julian, ten który dołączył do ich spokojnego życia, był w porządku. Kochał jej mamę, a mama chyba jego też. Gdyby tylko nie te jego alkoholowe wyprawy, z których musiała go z mamą przywozić. A wtedy oni się kłócili, ale nie bardzo. On obiecywał, że nie będzie więcej pić, i tulił mamę słodko do siebie. Podczas jednej z takich wypraw musiały jechać po niego późno w nocy. Weszły do ciemnej stacji wiedeńskiego metra, gdzie na ławce siedział kompletnie obandażowany człowiek. Wyglądał jak jakaś zjawa nie z tego świata. Był cały w bandażach, jego głowa i oczy też były zabandażowane. Widok napałował grozą i mała dziewczynka bardzo się wystraszyła. To właśnie wtedy przypomniały jej się po raz pierwszy szczekające w nocy psy, na granicy, kiedy celnicy kontrolowali ich pociąg. Dzisiaj nie wie, czy widziała wtedy na pewno tego człowieka, czy tylko jej się zdawało. Może zadziałała dziecięca wyobraźnia, a w takich warunkach i o tej porze wcale o to nietrudno. Do dzisiaj pamięta ten obraz, ten zapach, tak typowy dla stacji metra i peronów, którego nie znosi.

Kilka dni później, w niedzielę, Niki Lauda miał straszliwy wypadek na torze Formuły 1. W tamtych czasach przeżywał wzloty i upadki w swojej karierze, zdobywał jeden puchar za drugim. Po straszliwym wypadku na Grand Prix Niemiec w roku 1976, 1 sierpnia, na długim torze wypadł z okrążenia, uderzył w bandę i wpadł pod bolid Bretta Lungera. Ferrari Austriaka stanęło w płomieniach, a kierowca został uwięziony w płonącym wraku. Koledzy starali się go jak najszybciej wyciągnąć, ale pomimo to jego całe ciało było dotkliwie poparzone, a do tego nawdychał się gorących toksycznych gazów, które uszkodziły mu płuca. Jakimś cudem wyszedł z tej kolizji z życiem, ale zapłacił bardzo wysoką cenę. Anna pamięta tylko straszliwe obrazy z telewizji, które jako małe dziecko oglądała z przerażeniem, a w pewnej chwili zamarła ze strachu i nie wiedziała, co powiedzieć.

Widziała mężczyznę, który tamtej nocy siedział na ławce w stacji metra. Kierowca Formuły 1, straszliwie poparzony w swoim bolidzie, wyglądał identycznie jak tamta zjawa. W telewizji widziała Niki Laudę, którego ciało było całe zabandażowane, jak tej postaci w stacji metra kilka dni temu, w nocy. Czyżby to była pierwsza zapowiedź tego, co się wydarzy w jej dorosłym życiu?

Żyli sobie kilka miesięcy spokojnie i szczęśliwie, w trójkę. Aż tu nagle telefon. Chcą ich odwiedzić. Przyjeżdżają! Babcia i dziadek! Anna od razu wiedziała, że to nie jest dobry pomysł, że to musi się źle skończyć. Ale jej mama, podwładna swoich rodziców, od razu się zgodziła.

Nie minęły całe dwa miesiące, a idylliczny spokój zamienił się w piekło nie do zniesienia. Pijackie burdy z pięknego Krakowa przeniosły się pod strzechy austriackie i suto zakrapiane wieczory stały się już normą. Mama denerwowała się coraz bardziej, sąsiedzi zaczęli na całą rodzinę krzywo patrzeć, a babcia panoszyła się w mieszkaniu jak we własnym. Jakiś koszmar. Mama nie mogła się ich pozbyć. Byli w Wiedniu już kolejny miesiąc i tylko był z nimi kłopot. Julian chodził wkurzony od rana do nocy i pomiędzy nim a mamą Anny nie było już takiej miłości jak dawniej, kiedy byli tu sami. Po raz kolejny mama pozwoliła, aby wkroczyli w jej życie z butami. Nigdy nie potrafiła strzec swojej prywatności, która przecież dla każdego jest świątynią życia.

Ona nie potrafiła tego nigdy należycie uszanować i będzie musiała słono zapłacić za swoje błędy. Anna nie chciała nigdy osądzać mamy, ale jej losy potoczyły się naprawdę dramatycznie! A mogły być obydwie takie szczęśliwe! Gdyby mama tylko chciała! Gdyby tylko chciała! Pod jednym warunkiem: bez nich. Oni mają swoje życie, a mama Anny pozwoliła, aby ukradli jej życie i to w pełnym tego słowa znaczeniu. Tak, oni ukradli jej życie!

Zapytacie teraz: „Co to znaczy ukraść komuś życie?”. To znaczy pozbawić go wszystkiego, co dla niego cenne. Najcenniejsze w życiu i niepowtarzalne, a takim skarbem w życiu każdego człowieka są dzieci. Takim skarbem jest jego własne życie wraz z dziećmi. I do tego, aby być szczęśliwym, nie potrzeba wiele, nie potrzeba bogactwa i wszelkiego dobrobytu. Potrzeba spokoju, wzajemnego poszanowania, zrozumienia i miłości. Tymczasem oni skradli jej wszystko, co miała najcenniejsze, i żyli jej życiem. A ponieważ nie jest to na dłuższą metę możliwe, w życiu tego, który został okradziony, i w życiu tego, który ukradł, panuje zazwyczaj straszliwy chaos oraz degrengolada.

Mama Anny w końcu się ich pozbyła. Ale to nie koniec tej historii i nie koniec kłopotów Anny. O nie! To wszystko dopiero się zaczyna.

Po pierwszej wizycie w głowie babci i dziadka zaczął się klarować upiorny pomysł: zabrać Annę do jej domeczku w Krakowie. Bo to przecież jej domeczek, dla niej go budowali. A teraz ona wyjechała.

– Tak, babcia się tobą zaopiekuje. Babcia da domeczek. – I takie tam bzdury wygadywane do sześciolatki, która i tak nie wiedziała, o co chodzi, a jej marzeniem było mieszkać z mamą. „Moja ukochana mameńka” – jak ją zawsze nazywała.

Chciała być znowu sama z mamą i Julianem. Bez nich. Była taka szczęśliwa, kiedy wyjechali. Kiedy nareszcie w ich domu mógł zapanować spokój, którego tak bardzo była spragniona. Pamięta, że mama stale zajmowała się tylko Julianem. Tuliła go do siebie, siadała mu na kolanach. Jak małe dziecko. Całowała i na oczach Anny przelewała tę miłość, której dziewczynka była tak bardzo spragniona, a której nigdy nie dostała. Anna tak bardzo chciała, aby tuliła ją, aby to ją obdarzała uczuciem, ale to nie było możliwe. A kiedy mała Anna zauważyła, że wręcz denerwuje matkę i pewnie w ogóle jej przeszkadza, zaczęły się dla niej bezsenne noce i obgryzane do krwi skórki wokół paznokci. Samookaleczanie.

Mama bardzo się zmieniała. Już nie była tą łagodną i spokojną wróżką, o nie. Bardzo dużo krzyczała i była bardzo ostra w postępowaniu z Anną. Nie jak mama, której każde dziecko potrzebuje. Była teraz jak ktoś obcy, bez serca. Ktoś, kto zapomniał powoli, że ta mała bezbronna osoba ma tylko ją. Anna na tym świecie miała tylko ją, mamę. I dla tej mamy skoczyłaby w ogień, gdyby tylko to pozwoliło jej zostać przy niej na całe życie. Chciała, aby mama kochała ją tak jak wcześniej. Z tego całego okresu najlepiej zapamiętała swoją chorobę i czas, kiedy musiała zostać w domu.

Nie poszła wtedy do szkoły, a mama cały dzień była przy niej i opiekowała się nią. I to cały dzień! Nawet pozwoliła jej leżeć na ich łóżku, w salonie. Ale tylko dlatego, że nie było Juliana. Pamięta ten dzień jako jeden z najpiękniejszych w swoim życiu, miała mameńkę tylko dla siebie. Po powrocie Juliana z pracy wszystko wróciło znowu do normy. Siedziała godzinami sama w swoim pokoju, pośród ciszy i wiecznego poczucia winy. Obgryzane do krwi skórki już nawet nie bolały. Przyzwyczała się do samookaleczania. Kiedy już nie mogła dłużej wytrzymać tego samotnego leżenia i nie mogła usnąć, wychodziła na korytarz, szukając bliskości kochających ją osób. Drzwi do pokoju mamy i Juliana zawsze były zamknięte na klucz. Ale ona i tak słyszała, jak robili coś dziwnego. Kilka razy ich podglądała przez dziurkę od klucza, ale i tak nic nie widziała, tylko słyszała mamę. Od tej pory mama była dla niej jakaś inna, obca, jeszcze bardziej zimna. Musiała ją przyuważyć, jak podglądała, przecież robiła to codziennie.

Tymczasem Ania chciała tylko być przy mamie. Chciała jej matczynej czułości, jej śmiechu i radości, którą w życie każdego dziecka wnosi matka. Nie rozumiała, dlaczego jej mama jest tam, dlaczego nie przy niej? Dlaczego jej nie pomoże, kiedy nie może zasnąć? Dlaczego nie przytuli i nie pogłaszcze? Dlaczego nie może położyć się obok mamy? Nie rozumiała, dlaczego mama jej nie kocha. Już wtedy Anna zadawała sobie coraz częściej pytanie: „Co jest we mnie takiego innego? Dlaczego mama przestała mnie kochać? I kiedy to się stało? Dlaczego jestem taka? Nawet mama nie potrafi mnie kochać? Dlaczego...?”

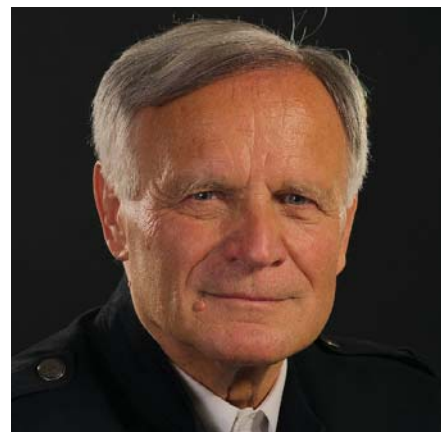


RPArt / 06 Provence 85 rys.

Andrzej Ziębliński



# BOLESŁAW FARON



## EMAUS - NIEWYCZERPANE ŹRÓDŁO

### INSPIRACJI ARTYSTYCZNYCH<sup>1</sup>

Mam nadzieję, że nie będzie mi to poczytane za złe, że tekst o tej książce rozpocznę od wyznania osobistego. Otóż, księdza doktora Kazimierza Wójtowicza poznałem w roku 1989 w Wiedniu, gdzie pracowałem na stanowisku radcy Ambasady do spraw nauki, kultury i oświaty, jednocześnie dyrektora Instytutu Polskiego. Ówczesna minister kultury Izabella Cywińska wydała rozporządzenie, by po przemianach ustrojowych przy tego typu placówkach utworzyć rady programowe złożone z miejscowych przedstawicieli kultury, w tym również zamieszkałych za granicą Polaków. Zwróciłem się wówczas z prośbą m.in. do ks. Wójtowicza o udział w pracach tego zespołu. Był wtedy proboszczem w trzeciej dzielnicy Wiednia, w kościele pod wezwaniem św. Othmara, a równocześnie autorem około dziesięciu tomów poezji i prozy.

Tak rozpoczęła się nasza współpraca, spotkania w Instytucie Polskim i na plebani, długie rozmowy o twórczości literackiej, o poezji, o relacji między posługą duszpasterską a literaturą, zwieńczone 8 maja 1990 r. wieczorem autorskim Kazimierza Wójtowicza przy Am Gestade 7. Z zachowanych w moim domowym archiwum notatek wynika, że zadałem wówczas poecie dwa pytania i wygłosiłem kilka uwag: „Czy ksiądz-poeta nie ma dylematu, uprawiając lirykę kapłańską, by nie wpaść w bluźnierstwo? Czy nie ogranicza go silniej niż poetę świeckiego autocenzura?”. Na mnie największe wrażenie zrobiły zaprezentowane wiersze polityczne. Tu widziałem wówczas niewykorzystaną w pełni szansę.

Wójtowicz w odpowiedzi stwierdził m.in.: „Każdy z nas podlega ograniczeniom, każdego kusi zajrzeć za kurtynę, ja też tego doznaję”. Ta wymiana myśli odbyła się podczas tradycyjnego spotkania sławistów, polonistów, miłośników języka i kultury polskiej. Od tej pory rozpoczęło się stałe moje obcowanie z twórczością Wójtowicza, a jego ówczesny dorobek literacki i sylwetkę analizowałem w szkicu *Poeta z kościoła św. Othmara* (B. Faron, ...z podróży, Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2007, s. 154–159).

Te zdarzenia sprzed lat przypomniała mi lektura obszernej książki *Dalej wokół Emaus (tylko wolniej)*, publikowana w siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin autora. Kazimierz Wójtowicz przyzwyczał nas ostatnio do opasłych ksiąg, swego rodzaju *opus magnum*, by wspomnieć *Glosarium*, czyli zbiór 1111 exemplów i 5555 sentencji, w cztery ciągi tematyczne ułożone, z posłowiem Krzysztofa Dybciaka (Wydawnictwo Alleluja, Kraków 2007), liczące

1263 stronice, czy *Dookoła Emaus i dalej. Wiersze niemalzebrane*, z posłowiem ks. Stefana Radziszewskiego (Wydawnictwo Alleluja, Kraków 2012), stronice 822. Omawiana tu publikacja jest swoistą kontynuacją książki z 2012 r., nawiązuje do niej również nieco zmodyfikowanym tytułem. Zawiera ona rozproszone dotąd utwory z ostatnich ośmiu lat, uzupełniona o zachowany sprzed lat młodzieńczy tomik pt. *Mój cmentarz* (1969).

To zestawienie tekstów z inicjacji poetyckiej Wójtowicza z ostatnimi oraz tytuł *Dalej wokół Emaus (tylko wolniej)* potwierdziło stabilność tematyki wierszy poety, kontynuację, wierność raz przyjętym założeniom. Kazimierz Wójtowicz niejednokrotnie wypowiadał się na temat swojego warsztatu poetyckiego, swoich preferencji literackich. Z tych licznych konstatacji powtórzę lapidarnie, ale bardzo celne wyznaczenie: „Staram się, aby z tego, co piszę, wyzierała pokorna służba Słowu, jakiś delikatny uśmiech i nienarzucająca się podpowiedź dla życia”. W tym krótkim metaliterackim wyznaniu zawarły się trzy fundamentalne zasady pisarstwa Wójtowicza: po pierwsze – świadomość, że twórczość literacka, a zwłaszcza poetycka, to jest swoiste rzeźbienie w słowie, wydobywanie z niego nowych znaczeń, odkrywanie w nim nowych wartości, swego rodzaju pokora wobec niego; po drugie – humor, żart, który stale towarzyszy jego twórczości, i po trzecie – autor wierzy w służebną wobec życia rolę literatury, chciałby, by jego teksty też ją wypełniały.

Przypomniałem to krótkie metaliterackie wyznaczenie Kazimierza Wójtowicza, gdyż jestem przekonany, że stanowi ono istotny klucz do odczytania prezentowanych w tym tomie utworów, aczkolwiek autor jest – w moim przekonaniu – dość przekorny, i to zarówno w tekstach *par excellence* literackich, jak i w komentarzach do nich. Nigdy nie dopowiada kwestii do końca, daje czytelnikowi okazję do namysłu, refleksji, do własnego odczytania tej poezji. Ważna również dla lektury książki jest konstatacja Wójtowicza wyrażona w słowie od autora do *Dookoła Emaus i dalej...*:

Czytelnik szybko może się zorientować, że najwięcej tekstów kręci się wokół tajemnicy Emaus. Rzeczywiście „Emaus” jest takim zasobnym i pojemnym znaleziskiem, że można z niego wydobyć nieskończoną mnogość „kopalin”. Jest tu więc i droga, wędrowanie, wspólnota, wiara z wątpliwościami, miłość przygaszona, resztki zduszonej nadziei, jest ucieczka, rozmowa, słowo Boże, zasłuchanie, zauroczenie, zdumienie, dołącza Obcy Gość, przychodzi gościna, gospoda, posiłek, wzruszenie, dzielenie chleba, Sakrament, rozpoznanie, kontemplacja, zaskoczenie, rozgrzanie, przynaglenie, powrót do swoich.

Przyjrzyjmy się w tym kontekście tytułom rozdziałów *Dalej wokół Emaus (tylko wolniej)*: *Emaus – werset po wersecie*; *Nadpisy przygodne*; *Scenopisy biblijne*; *Rozpisy wyborów*; *Scenopisy stulone*; *Kołopisy strzeliste*; *Żywopisy przycinane*; *Bliskopisy graniczne*; *Czystopisy wyciszone*; *Imionnik*; *Czteropaki z rymem*; *Mój cmentarz w trzy kwatery alfabetycznie ułożony*; *Z przekładów*.

Tytuły charakterystyczne, swoista leksyka: „nadpisy”, „scenopisy”, „rozpisy”, „kołopisy”, „żywopisy”, „bliskopisy”, „czystopisy”. Autor jest przy tym bardzo konsekwentny. Podobnie było w *Dookoła Emaus i dalej*. Tam mamy: „przypisy”, „odpisy”, „rysopisy”, „brudnopisy”. To akcentowanie słowa pisanego ma w kontekście poezji Wójtowicza określone znaczenie. Z jednej strony charakteryzuje proces twórczy, ukazuje, jak wiele znaczeń można wydobyć z jednego słowa, z drugiej zaś sygnalizuje swoisty wobec niego dystans.

Wójtowicz, podejmując w swej twórczości tematykę religijną, często eksponowaną w literaturze polskiej i światowej, stanął przed zasadniczym pytaniem, w jaki sposób, w jakiej postaci ją uformować, by nie stać się poetą naśladowującym poprzedników, lecz wnieść nowe jej oświetlenie. Obserwujemy zatem próbę odświeżenia języka poetyckiego, wyjścia poza język sakralny. Toteż często w jego wierszach spotykamy elementy żargonu ekonomicznego, języka administracyjnego, potocznego, a nawet języka masowej komunikacji. Tej zasadzie pozostaje wierny od początku swej twórczości po ostatnie utwory. Zmienia się jedynie ich nasilenie, pojawiają się nowe elementy, jak choćby ostatnio terminy i zwroty medyczne, szpitalne, związane z chorobą. Wykorzystywanie nowych obszarów polszczyzny w liryce kapłańskiej to z jednej strony duża dla niej szansa, z drugiej zaś dla poety-kapłana spore niebezpieczeństwo, by nie popaść w herezję, by nie otrzeć się o bluźnierstwo, by nie sprofanować sacrum.

Autor wierszy na temat drogi do Emaus poprzez swe zabiegi językowe wyraźnie wzbogaca uczuciową i obrazową sferę przeżyć religijnych, chociaż – trzeba to przyznać – nieraz może zastanawiać, niepokoić czytelnika. Do tego tomu można też odnieść stwierdzenie Krzysztofa Dybciaka w posłowiu do pierwszego wyboru pism Wójtowicza *Droga do Emaus*: „W miarę artystycznej i światopoglądowej konsekwencji w poezji Kazimierza Wójtowicza dokonuje się reinterpretacja wielu motywów i symboli chrześcijańskiej tradycji”.

Warto zastanowić się nad inspiracjami, jakie towarzyszą procesowi twórczemu Kazimierza Wójtowicza, nad tym, skąd czerpie materiał do swojej twórczości? Na pierwszym miejscu wymienić trzeba Biblię, Stary i Nowy Testament z uprzywilejowanym motywem drogi do Emaus i wieczerzy w Emaus. Od zarania twórczości do ostatnich tekstów to zdarzenie jest przez poetę interpretowane. Jak sam stwierdził w cytowanym wcześniej wyznaniu, jest to studnia bez dna, są to niewyczerpane pokłady treści, które można odczytywać bez końca. Tak jest i w prezentowanym tu tomie, który rozpoczyna się od rozdziału *Emaus – werset po wersecie*. Tytuły poszczególnych wierszy w tej części są wersetami z Ewangelii św. Łukasza relacjonującej to zdarzenie. Rozpoczyna zatem od: „Dwaj z nich byli w drodze do wsi, / zwanej Emaus” (Łk 24, 13), a kończy: „Oni również opowiadali, / co ich spotkało w drodze, / i jak go

poznali po łamaniu chleba” (Łk 24, 35). Całość zaś uzupełnia trzema tekstami zaopatrzonymi we własne tytuły, a więc: *Z Emaus do Jerozolimy i z powrotem*; *Modlitwa zmagająca w drodze z Emaus do Jerozolimy i Uczniowie z Emaus*.

Motyw Emaus będzie powracał również w innych rozdziałach księgi, z tą wszakże różnicą, że tym razem sięgnie Wójtowicz do innych źródeł. Ilustracją staną się przede wszystkim dzieła sztuk plastycznych, a głównie obrazy mistrzów dawnych, zwłaszcza średniowiecznych, a także renesansowych, barokowych, jak również artystów XIX i XX wieku, malarzy współczesnych. Przykładów można wskazać sporo. Ograniczymy się do wybranych: Rembrandt, *Wieczera w Emaus* (1629); Louis le Nain, *Wieczera w Emaus* (1645); Laurent de la Hyre, *Wieczera w Emaus* (1656); Duccio di Buoninsegna, *Droga do Emaus* (1311); Georges Rouault, *Chrystus w drodze do Emaus* (1953). Wójtowicz werbalizuje zawartość tych obrazów, ukazuje wielość odczytań, ich różnorodność i bogactwo, inaczej ubrane postaci, inne prezentują gesty, inne jest tło, ale przesłanie niezmiennie. Poeta czasem komentuje dzieła, dopowiada, akcentuje przesłanie, np. w przypadku dzieła Rembrandta *Wieczera w Emaus* (1629) zamknie wiersz dydaktyczną refleksją: „bo przecież świat z obojętnością traktuje / niespodziewane mgnienie wiekuiestej światłości”. Temat Emaus pojawia się też w innych wierszach nieilustrowanych Biblią czy sztuką, jak choćby taki krótki tekst:

Na drogach Emaus  
zawsze pod wieczór  
na drogach Emaus tłoczno  
jak na zakopiance  
tworzą się gigantyczne korki  
w obu kierunkach.

Charakterystyczne dla poety częste zderzenie sacrum i profanum to przybliżanie świętości poprzez konfrontację ze znaną codziennością.

Lingwistyczne zainteresowania Kazimierza Wójtowicza, swoista adoracja słowa spowodowały jego zaciekawienie epitafiami, napisami nagrobnymi. To kolejne źródło inspiracji sygnalizowane tutaj zwrotem „znalezione w kamieniu”. Poeta rejestruje te sentencje na starych nagrobkach. Wybiera bardziej oryginalne, czasem z dzisiejszej perspektywy komiczne, zabawne, informuje o miejscach znaleziska (np. cmentarz Rakowicki, cmentarz w Świnarach, kościół w Korzkwi). Zaopatruje cytowany tekst nagrobny w komentarz poetycki, którym nieraz jest sam tytuł, rozwija myśl zawartą w epitafium, czasem ją komentuje.

Zwraca uwagę na formę wypowiedzi językowej, akcentuje jej archaiczność czy lapidarność, np.:

### Najkrótsze CV

Wierzyła

Kochała

Cierpiała

Teraz spoczywa.

W tym kręgu inspiracji odnotować trzeba reinterpretację znanych porzekadeł, zwrotów potocznych czy przysłów, których jest sporo w *Dookoła Emaus i dalej*. Nieraz będzie to przewrotna interpretacja popularnego zwrotu, jak np. „iść komuś na rękę”, co w tekście Poszedł mi na rękę oznacza, że po prostu zawładnął mną, moją osobowością, podobnie w Poszedł po rozum do głowy, czyli udał się na skróty, „w odwrotnym kierunku”, czy Wziął się w garść. Zaś spotykany na budowach napis U góry pracują daje okazję do aluzji politycznych („To u góry buduje się skutecznie przyszłość”), a Przyszło mi do głowy wyzwała refleksję o upadku sił, podobnie w tekstach Przełamałem się, Na końcu języka czy Przeszedł sam siebie („Podeptał barwne wspomnienia, / poturbował żywą przeszłość / i wkroczył w niebyt”). Wójtowicza fascynują popularne powiedzenia (Biję się z myślami). Sprawdza je, rozwija, stara się zwerbalizować ich sens. Czasem wychodzą z tego poważne konstatacje, czasem humorystyczne, śmieszne refleksje. Poeta jakby nie dowierzał słowu, sprawdza je, próbuje rozwikłać jego znaczenie. Rozważa, jak te potoczne zwroty weryfikuje życie. Te lingwistyczne zaciekawienia dają o sobie znać właściwie na wszystkich kartach tej opasłej księgi.

Już w *Przedśłowiu* dał Kazimierz Wójtowicz do zrozumienia, że będzie to w pewnym stopniu tom senioralny. Przypomniał bowiem o swoich siedemdziesiątych piątym urodzinach, zasygnalizował dwadzieścia jeden zdiagnozowanych dolegliwości, wspominał o systematycznej dializie. Nic więc dziwnego, że część zgromadzonych tutaj wierszy można zakwalifikować do tzw. liryki senioralnej. Myślę przede wszystkim o tekstach szpitalnych, o wierszach na temat starości, upadku sił, degradacji ciała, o powrotach do rodzinnego Borzymowa na Kielecczyźnie.

Szpital, sytuacje szpitalne, zabiegi, pielęgniarki, lekarze, współuczestnicy niedoli, specyficzne słownictwo (brudownik) są często tutaj obecne. Wyraża się to m.in. w tytułach utworów: *Kropiółka*, *Diagnoza*, *Skaczące ciśnienie*, *Widok ze szpitalnego okna*, *Przetaczanie krwi*, *Wyznanie szpitalne*, *Kropelki szpitalne*, *Przeganianie śmierci*, *Śmierć na oddziale*. Wójtowicz jest znakomitym obserwatorem tej sfery życia. Do choroby, związanego z nią cierpienia ma stosunek racjonalny. Nie uskarża się, nie narzeka. Zachowuje raczej postawę sceptyczną, czasem z przymrużeniem oka, np. w *Lekcji anatomii*:



Jak na obrazie Rembrandta  
do mojego łóżka pod oknem  
doktor doprowadził czworo studentów  
aby na moim przypadku  
przeprowadzili oglądową lekcję anatomii.

Poeta nie nadaje szpitalnym doznaniom jakiegoś drugiego dna, nie metaforyzuje tych przeżyć, rejestruje je jako pozornie niezaangażowany, obiektywny obserwator. Aczkolwiek pojawiają się też takie krótkie, mocno zmetaforyzowane konstatacje, jak w utworze *Strona bierna*:

W tak zwanym podeszłym wieku  
człowiek staje się tylko stroną bierną  
kalekiego zdania prostego  
rozebranego na gołe części niemowy.

Jedną z charakterystycznych cech poezji senioralnej są wspomnienia podmiotu lirycznego, powroty do krainy dzieciństwa, która jawi się najczęściej jako arkadia. Tego typu wierszy nie znajdziemy u Wójtowicza, aczkolwiek pojawiają się również teksty nawiązujące do rodzinnego Borzymowa. Nie jest ich zbyt wiele. Poeta nie eksploatuje zbyt nadmiernie doświadczeń wyniesionych ze wsi kieleckiej, tak jak czyni to np. Józef Baran, poeta krakowski, który raz po raz wraca do rodzinnego Borzęcina w powiecie brzeskim. Wydał nawet zbiór wierszy pt. *Borzęcina*, zawierający wyłącznie teksty związane ze swoją wsią, rodzicami, rodziną, sąsiadami. Niemniej w zbiorze Wójtowicza znajdują się wiersze: *Borzymów 2011*; *Jan Nepomucen z Borzymowa* (o figurce przydrożnej, na której święty obserwował gościniec, jakim szły dzieci ze wsi w świat, aby po latach wracać do tego, czego już nie ma); *Borzymów A.D. 1799* (o spisie ludności dającym pojęcie o ówczesnych rozmiarach osady) czy *Tempora mutantur* (wspomnienie o zanikłym słowie „zojдки”, przypominającym podmiotowi lirycznemu dzieciństwo). We wszystkich tych tekstach jawi się perspektywa wspomnień z dzieciństwa, z najbliższymi, jak w *Tempora mutantur* (babka, matka, ciotka, córka i wnuczka ciotki).

Jeszcze na zakończenie słów kilka o trzech ostatnich częściach *Dalej wokoło Emaus* (tylko wolniej), o *Imionniku*, *Czteropaku z rymem* oraz wczesnym *Moim cmentarzu w trzy kwatery alfabetycznie ułożonym* (1969). Wierszem *Zachęta* rozpoczyna się pierwsza z nich:

Komu przydano świętego patrona,  
ten w życiu wielkich rzeczy dokona,

bo zadowoleni obywatele nieba  
powiedzą Bogu, jakiego wsparcia mu trzeba.

O ile poprzednie rozdziały były kompozycyjnie zróżnicowane, obejmowały wiersze poświęcone różnym zagadnieniom i były w różne formy wierszowania ujęte, to tutaj obowiązuje rygorystyczna konstrukcja. Narzucają ją alfabetycznie uszeregowane imiona świętych, od Adama do Zyty, i konsekwentna forma rymowanego czterowersza, najczęściej są to rymy parzyste. To kolejny przykład eksperymentu Wójtowicza ze słowem, kolejna próba sprawdzenia jego znaczenia. Często łączą się tutaj aspekty komiczne z refleksją religijną, napomknienia, jakie łąski może zjednać święty patron, jakich korzyści przysporzy w wieczności.

*Czteropaki* z rymem zaopatrzył autor krótkim wstępem: „Już sam format i tytuł, a zwłaszcza graficzna postać niniejszej książeczki sygnalizują jej pogodny i lekki klimat. Są to czterowerszowe rymowanki, w których można wyczuć echo naszych radości i nadziei, smutku i trwogi”. Informuje też, że większość tych tekstów powstała w szpitalu. Można je więc wziąć za swoiste antidotum na rzeczywistość szpitalną. Nawiązuje Wójtowicz do fraszek zawierających, mimo krotocwilnej formy, nieraz bardzo ważne prawdy życiowe. Tak jest i w tym przypadku. Krótkie czterowersowe rymowanki mieszczą sporo prawd o życiu, komentują bieżące zdarzenia społeczne, polityczne, odnoszą się do spraw codziennych. Dzięki swojej lakoniczności mają większą siłę rażenia niż rozbudowane nieraz felietony na temat aktualnych spraw.

*Mój cmentarz* w trzy kwartały alfabetycznie ułożony (1969) koresponduje i z *Imionnikiem*, i z *Czteropakiem*..., gdyż tu również spotykamy się z lakonicznymi rymowankami na temat różnych sytuacji życiowych, rozpatrywanych w trzech kategoriach: Ludzie i ludziska, Rzeczy i idee, Rośliny i zwierzęta. Wspomniałem wcześniej, że teksty z 1969 r. wskazują na ciągłość w dorobku Wójtowicza, zaczynał od krótkiej formy i w ostatnich utworach do niej powraca, rozwijał i komentował epitafia, tu tworzy krótkie sentencje na ich wzór. Ta stabilność warsztatu poetyckiego jest godna podkreślenia, jak również jego wierność wobec Emaus, drogi do Emaus i wieczery Emaus.

Kraków – Kościelisko, w grudniu 2019 r.

1. Posłowie do: K. Wójtowicz, *Dalej wokoło Emaus* (tylko wolniej). Wiersze dozbierane z lat 2012–2019. Alleluja. Kraków 2020.

# MARCIN CHRZANOWSKI



## POECI WI(E)DZĄ WIĘCEJ

Minęło 60 lat od znanego wystąpienia C.P.Snowa w ramach wykładów *Rede Lectures prowadzonych* na Uniwersytecie Cambridge pod łatwym do zapamiętania tytułem *The two cultures*. Wyodrębnione przez Snowa w tytule dwie kultury, to z jednej strony kultura humanistów, a z drugiej strony kultura przedstawicieli nauk ścisłych, asumpt zaś do wygłoszenia wykładu dała coraz bardziej widoczna rozbieżność między szybko rozwijającymi się od XIX wieku naukami przyrodniczymi i technicznymi, eksplozją postępu technicznego a niezmiennym modelem kształcenia młodzieży, mogącym doprowadzić według Snowa do naukowego analfabetyzmu przyszłych pokoleń a w tym elit rządzących.

Snow, jako fizyk, przedstawiciel nauk przyrodniczych, wystąpił z zarzutami braku zrozumienia skierowanymi nie do przedstawicieli innych nauk w obrębie wiedzy ścisłej, lecz do twórców należących do innej kategorii, z zakresu wiedzy artystycznej i literackiej. Ten błąd metodologiczny powinien wykluczać dalszą dyskusję. Obie te kategorie mają bowiem niezaprzeczalny, własny wkład do całości wiedzy.

Jednak podrażnione emocje przedstawicieli nauk, zarówno przyrodniczych, jak i humanistycznych spowodowały, że podjęta została dyskusja, zmierzająca do wzajemnego dyskredytowania naukowców stojących po obu stronach 'barykady'. Obnażyła ona brak umiejętności nawiązywania nie tylko współpracy, ale i kontaktów interdyscyplinarnych. Z pobieżnej nawet znajomości historii nauki wynika, że dyskusji nie zainicjował C.P. Snow, bowiem spór taki toczy się od samego zarania cywilizacji śródziemnomorskiej, choć początkowo nie przyjmował on tak ostrej formy. Kiedy Platon wywiesił u wejścia do swojej Akademii ostrzeżenie: *Ageometretos medeis esto* - „Niech nie wchodzi tu nikt kto nie zna geometrii”, to jednak w Akademii takie dysputy toczyły się nadal z powodzeniem, m.in. z udziałem Arystotelesa, którego uważa się za pioniera nauk przyrodniczych. Gorzej powiodło się Xenokratesowi<sup>1</sup>, który w odpowiedzi na propozycję współpracy z Platonem usłyszał od niego, że jest to niemożliwe, gdyż nie mając podstaw w matematyce, muzyce lub astronomii nie ma możliwości zajmowania się ... filozofią. Było to w istocie odwrócenie kolejności studiów - wieki później - w ramach *Artes Liberales*. *Trivium* zawierało właśnie nauki humanistyczne (dialektykę, łacinę i retorykę), podczas gdy na drugim etapie, *Quadrivium* obejmowało arytmetykę, geometrię, astronomię i muzykę. Powrót do ładu proponowanego przez Platona (najpierw studia przyrodnicze, później filozoficzne) jest rzadko obecnie spotykany, ale daje czasem dobre rezultaty - przynajmniej z punktu widzenia filozofii.

W swojej istocie spór od wieków toczy się jednak o coś zupełnie innego: o uchwycenie momentu w historii nauki, w którym nastąpiła separacja nauk przyrodniczych i humanistycznych. Ale i tu nie ma zgody. Przyrodnicy (w tym fizycy) za ten moment

uważają wprowadzenie rachunku różniczkowego (Newton, Leibniz), poprzedzone algebraizacją geometrii przez Kartezjusza - czyli przełom XVI i XVII wieku. Humanisci - nie bez racji - twierdzą, że formalnie nastąpiło to dopiero pod koniec wieku XIX za sprawą niemieckiego filozofa Diltheya<sup>2</sup>, który rozróżnił - *expressis verbis* - nauki duchowe i materialne (*Geistes- und Naturwissenschaften*). Skutki braku porozumienia przedstawicieli obu nauk niosą za sobą wiele niekorzystnych skutków, przekonująco wskazanych np. przez A. Białasa w jego wystąpieniu w roku 2018<sup>3</sup>.

Jak w większości sporów i podejmowanych w ich wyniku rozstrzygnięcia decyzji, znacznie większe znacznie niż argumenty rozumowe odgrywają towarzyszące im emocje. Warto może zatem przyrzeć się tym twórcom kultury, którzy najlepiej emocjami umieją operować, czyli poetom. Oczywiście materia takich rozważań jest bardzo obszerna i wykracza poza możliwości piszącego te słowa, który - będąc inżynierem - uważa się za należącego do świata stosowanych nauk przyrodniczych.

Poprzestaną więc tu tylko na kilku wybranych przykładach z literatury polskojęzycznej.

Zacząć wypada od Adama Mickiewicza, który w balladzie *Romantyczność* napisanej w roku 1821 i uważanej za manifest romantyzmu w Polsce, jednoznacznie staje po stronie emocji. Powszechnie znany cytat „Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko” jest używany często dla osłabienia wysiłków w pojmowaniu trudno zrozumiałych wyników badań naukowych. Wiarygodność tego poglądu podważa nieprecyzyjne tłumaczenie fragmentu z *Hamleta* Shakespeare'a, zamieszczone jako motto wiersza Mickiewicza<sup>4</sup>:

*Methinks, I see... Where?*

- *In my mind's eyes,*

a przetłumaczone jako

"Zdaje mi się, że widzę... gdzie?"

Przed oczyma duszy mojej."

Cóż - dusza jest ulokowana na wyższym poziomie moralno-etycznym niż wyobraźnia...

Na konieczność używania słów zgodnie z ich prawdziwym sensem zwracał uwagę Norwid, który w poemacie *Rzecz o wolności słowa*<sup>5</sup> z roku 1869 zachęca do poszukiwania właściwego znaczenia słów, także w ujęciu historycznym:

"I gdy wciąż wszyscy mówią, mało kto się spyta,

Jaki też jest cel słowa, jak słowo się czyta

W sobie samem? I dziejów jego promień cały

Rozejrzeć, mało kto jest ciekawy, zuchwały!"

Opinię, że rozłam w nauce nastąpił w drugiej połowie XIX-go wieku zdaje się podzielać współczesny polski poeta, Adam

Zagajewski. W eseju *Bracia*<sup>6</sup>, poświęconym wzajemnym relacjom, Henryka i Tomasza Mannów, wskazuje na „bardzo głębokie pęknięcie europejskiej kultury [...] napięcie pomiędzy schedą po oświeceniu i romantyczną tęsknotą”. Po czym w zaskakująco niespodziewany, jak na humanistę sposób, stwierdza, że

„... w literaturze też powinno istnieć coś w rodzaju sławnego wśród matematyków twierdzenia Gödla o niezupełności systemów logicznych, które ... potrzebują innego systemu (meta-systemu), aby je można było poddać osądowi”.

Pogląd ten w ustach humanisty staje się bardziej zrozumiałą, gdy wspominając swego ojca, profesora Politechniki Śląskiej - Zagajewski mówi o nim<sup>7</sup>: „Dla niego ważniejsza była mowa gestów i czynów. W tym sensie nie był humanistą, istotą humanizmu jest - albo było - zaufanie do języka. Inżynierowie uważają, że humanisci to gaduły, ładnie mówią, ale niekonkretnie jakos”. W tym samym wywiadzie poeta stwierdza także, że „najlepszy jest stan napięcia, niepewnej równowagi” i choć osąd ten nie jest odniesiony wprost do sporu kulturowego, który tu jest rozważany - może być propozycją zawarcia pokojowego paktu ugody.

Swoją pogląd w sprawie społecznego odbioru nauki zaznaczył też Tadeusz Boy-Żeleński, bardziej znany jako tłumacz literatury francuskiej niż poeta. W roku 1918, tłumacząc *Rozprawę o metodzie*, we wstępie do jej polskiego wydania z roku 1919r.<sup>8</sup> zwrócił uwagę nie tylko na znaczenie dzieł Kartezjusza, ale i na fakt, że Descartes „był Francuzem, i swoją *Rozprawę o Metodzie*, stanowiącą epokę w dziejach myśli ludzkiej, napisał, wbrew zwyczajom ówczesnego świata naukowego, w mowie ojczystej, umyślnie, jak mówi, aby się mogła znaleźć w rękach wszystkich”. Niewielki to wkład w konflikt dwu kultur, ale być może wart zastanowienia nad dostępnością dzieł naukowych, używających własnego, hermetycznego języka.

Natomiast wspaniały opis konfliktu dał Zbigniew Herbert w eseju *List*<sup>9</sup>. W formie apokryfu przedstawiana jest tu relacja dwu wielkich twórców XVII wieku: Antoniego van Leuwenhoek (1632-1723), wynalazcy pierwszego mikroskopu i równie słynnego malarza, Jana Vermeera (1632-1675). Obaj urodzeni w tym samym roku całe swoje życie spędzili w Delft w wielkiej przyjaźni. Jednak gdy Leuwenhoek pokazał Vermeerowi powiększoną kroplę wody, pełną żywych organizmów - ten pisze do niego dramatyczny list, zrywający dotychczasową znajomość. Warto tu przytoczyć ostatni akapit tego domnianego listu:

„Nasze drogi rozchodzą się. Wiem, że nie zdołam Ciebie przekonać i nie zarzucisz szlifowania soczewek ani wznoszenia swojej wieży Babel. Pozwól jednak, że i my będziemy uprawiali swój archaiczny proceder, że będziemy mówili światu słowa pojednania, mówili o radości z odnalezionej harmonii, o wiecznym pragnieniu odwzajemnionej miłości”.



I choć Herbert, autor apokryfu, nie eksponuje swoich poglądów, uderzająca jest jego świadomość argumentów obu stron: naukowych po jednej i emocjonalnych - po drugiej. Odnosi się jednak wrażenie żalu, że spór tak wybitnych twórców o ogład świata naruszył ich przyjaźń, miast prowadzić do wzajemnego zrozumienia.

Jeszcze głębszą analizę niemożności doświadczalnego poznania świata materialnego ukazuje wiersz Wisławy Szymborskiej *Rozmowa z kamieniem*. Od pierwszych wersów autorka daremnie zabiega o dopuszczenie jej do zbadania 'wnętrza' swego rozmówcy:

*Pukam do drzwi kamienia.*

*- To ja, wpuść mnie.*

*Chcę wejść do twego wnętrza,*

*rozejrzeć się dokoła,*

*nabrać ciebie jak tchu.*

Mimo wielu finezyjnych argumentów - nie przynosi to skutku. Wreszcie kamień wyjawia istotę swej konsekwentnej postawy:

*- Nie wejdiesz - mówi kamień. -*

*Brak ci zmysłu udziału.*

*Nawet wzrok wyostrzony aż do wszechwidzenia*

*nie przyda ci się na nic bez zmysłu udziału.*

*Nie wejdiesz, masz za ledwie zamysł tego zmysłu,*

*ledwie jego zawiązek, wyobraźnię.*

I na uporczywa nalegania autorki konkluduje:

*Pukam do drzwi kamienia.*

*- To ja, wpuść mnie.*

*- Nie mam drzwi - mówi kamień.*

Jak zwykle u Szymborskiej, intelekt splata się tu ze specyficznym poczuciem humoru autorki. W istocie jest to jednak emanacja przekonania o niemożliwości wyłącznie zmysłowego poznania świata, charakterystyczna dla filozofii George'a Berkeleya<sup>10</sup> (1685-1753), twórcy idealizmu empirycznego, zwanego też immaterializmem. W *Traktacie o zasadach poznania ludzkiego*<sup>11</sup> stwierdza on, że „... to co daje się ująć bezpośrednio podczas obserwacji rzeczywistości, to doznania percepcyjne... ; natomiast domniemanie, że istnieje coś ponadto poza doznaniem, jest nieuprawnione i jest metafizycznym zmyśleniem.”

I właśnie u tego filozofa - który, dodajmy, zajmował się też matematyką i rachunkiem różniczkowym - Olga Tokarczuk znalazła cytat, który umieściła jako motto swej książki pod enigmatycznym tytułem E.E.<sup>12</sup>

„Nieuzasadnione jest odróżnianie świata duchowego od materialnego...

Naprawdę istnieją tylko osoby.”

Olga Tokarczuk - utożsamiana ze swoją działalnością prozatorską, zaczynała jednak od tomu poetyckiego *Miasto w lustrach*<sup>13</sup>. Będąc z wykształcenia psycholożką jest pisarką o ogromnym wyczuciu niematerialnej strony naszych doznań. Jak widać i jej konflikt dwu kultur, nauki i świata niematerialnego nie jest obojętny.

\* \* \*

Tekst powyższy jest kontynuacją dyskusji, jaka na temat konfliktu kultur toczy się m.in. na łamach tygodnika internetowego Polskiej Akademii Umiejętności PAUza Akademička, zapoczątkowana tam w roku 2009 przez Andrzeja Szczeklika<sup>14</sup>, naukowca ceniącego wartości humanistyczne, ale i będącego – jako lekarz – uczulonym na odbiór społeczny. W kilku krótkich tekstach wypowiedział się tam również autor niniejszego szkicu<sup>15</sup>. Konkluzją było spostrzeżenie, że forsowanie formalnego zbliżenia nauk przyrodniczych i humanistycznych napotyka na podstawową przeszkodę, jaką jest brak wspólnego języka naukowców: przyrodników, humanistów oraz intelektualistów literackiej proveniencji, jak nazywał swych domniemych oponentów C.P.=Snow. Pierwsi chowają się za gardą matematyki, drudzy - zasłaniają hermetyzacją języka potocznego<sup>16</sup>.

Przypisy:

- 1 <http://en.antiquitatem.com/platonic-academy-geometry-nepotism>
- 2 [https://pl.wikipedia.org/wiki/Wilhelm\\_Dilthey](https://pl.wikipedia.org/wiki/Wilhelm_Dilthey), 1833-1911: Geist- und Natur-Wissenschaften (1883)...
- 3 <https://www.kongresobywatelski.pl/idee-dla-polski-kategoria/dwie-kultury/>
- 4 Por. ilustrację w [https://pl.wikipedia.org/wiki/Romantyczno%C5%9B%C4%87\\_\(Mickiewicz\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Romantyczno%C5%9B%C4%87_(Mickiewicz))
- 5 [https://pl.wikisource.org/wiki/Rzecz\\_o\\_wolno%C5%9Bci\\_s%C5%82owa](https://pl.wikisource.org/wiki/Rzecz_o_wolno%C5%9Bci_s%C5%82owa)
- 6 A. Zagajewski, *Poezja dla początkujących*, s. 59,60.
- 7 <http://wyborcza.pl/magazyn/51,143551,17406502.html?i=1>
- 8 Wersja oryginalna tego wydania jest dostępna na stronie <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rozprawa-o-metodzie/>
- 9 Z. Herbert, *Martwa natura z wędzidłem*. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1993.
- 10 [https://pl.wikipedia.org/wiki/George\\_Berkeley\\_\(filozof\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/George_Berkeley_(filozof))
- 11 <http://pistis.pl/biblioteka/Berkeley%20-%20Traktat%20o%20zasadach.pdf>
- 12 O. Tokarczuk, EE, PIW, 1995.
- 13 Debiutancki tomik wierszy, dołączony jako wkładka do czasopisma "Okolice", nr 10/1989.
- 14 PAUza Akademička, nr 55 s.1, [http://pauza.krakow.pl/55\\_1\\_2009.pdf](http://pauza.krakow.pl/55_1_2009.pdf)
- 15 PAUza Akademička, numery 437,442,467, 477.
- 16 P. Kuligowski, *Humanistyka jako hermeneutyka*, Wyd. Atut, Wrocław, 2007.



Aniela Pająkówna , *Autoportret z córką (St. Przybyszewską)*, 1907r.

## KRYSTYNA HABRAT



### STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKA KOBIECI NIE NA TE CZASY?

Stanisławę Przybyszewską poznałam wcześniej niż jej słynnego ojca Stanisława. Wtedy jeszcze nic nie wiedziałam o Młodej Polsce.

Jako dziecko uczyłam się czytać na oprawionym roczniku „Tygodnika Ilustrowanego” (pisownia ówczesna) z 1933 roku, który jakimś cudem przetrwał zawieruchę wojenną i kilka przeprowadzek.

Był to rocznik wychodzący na długo przed moim urodzeniem, ale dla mnie w dzieciństwie pokazujący zupełnie inny świat. Często, więc kładłam się z tą wielką i ciężką księgą na dywanie, a liczyła 1034 stron (w prenumeracie - numeracja ciągła) i podczytywałam tu i tam o sprawach, które mnie intrygowały. Choćby reklama wymyślonego już wtedy leku raz na zawsze zwalczającego łysinę. Jak to? - myślałam - dlaczego jeszcze mój tato, skrywa wstydliwie "wysokie" czoło? Czytywałam też, acz bez entuzjazmu, drukowane w odcinkach "Miliardy" Andrzeja Struga czy rubrykę z życia towarzyskiego wyższych sfer. To niespecjalnie było dla mnie - dziecka - zajmujące, ale czasem warto było popatrzeć na ich niespotykane już na ulicach samochody, dziwne suknie wieczorowe, olbrzymie kapelusze, kremy odmładzające... I jeszcze mapy - zupełnie inne niż w szkole uczono. Jednak wciąż i wciąż mogłam oglądać na zdjęciach budowany wówczas w Rio de Janeiro olbrzymi posąg Chrystusa-Króla z rozłożonymi rękami, jeszcze otoczony rusztowaniami, a u jego stóp małe ludziki. Później kopia tego posągu w Lizbonie, nie zrobiła już takiego wrażenia. No, ten nie był na tak wysokiej górze... Patrzyłam z dołu, zza rzeki. I byłam już dorosła.

Jakże to wszystko było odległe od codzienności, jaka mnie otaczała: szarych sosen za oknem, wojennych wspomnień, jakie snuli dorośli, od kolejek w sklepach po cukier i mięso - a jakże, te zawsze były - i przykładowych, czasem dziecinnych, lektur szkolnych.

Nieco wcześniej na stronie 803 rocznika Tygodnika Ilustrowanego, kroczy sztywno, jakby połknął kij, z władczą zadartą głową w białej peruce i oczami wzniesionymi ku niebu, cały w bieli, straszny Robespierre. Grał go K. Junosza-Stempowski.

Były to zdjęcia z premiery w Teatrze Polskim dramatu Stanisławy Przybyszewskiej „Sprawa Dantona”. Odpychający Robespierre dobrze wbił mi się w pamięć. Śnił mi się potem taki straszny po nocach, podobnie jak widziany na filmie car z filmu "Iwan Groźny". Dantona jakoś mniej zapamiętałam, bo jego zdjęcie było mniejsze i wyglądało bardziej zwyczajnie, po ludzku. Bliżej poznałam ich później z innych książek i lekcji





Stanisława Przybyszewska

historii. Pół wieku po premierze tej sztuki sfilmował ją Andrzej Wajda w koprodukcji polsko-francuskiej i wtedy, dawno już nieżyjąca, autorka wyszła na moment z cienia zapomnienia.

A jednak pomimo niezwyklej umysłowości i powagi tematyki, jaką się zajmowała, pozostała niedoceniona. Może właśnie, dlatego? Jej los przypomina mi przypadek Norwida, który dopiero długo po śmierci został odkryty i uznany za wielkiego.

Stanisława Przybyszewska była nieślubną córką malarki, Anieli Pająkówny i słynnego króla młodopolskiej bohemy Stanisława Przybyszewskiego, o czym więcej dowiedziałam się z książki Ewy Kossak – *Dagny Przybyszewska. Zbłąkana gwiazda*.

Później przeczytałam: *Dramat intelektu. Biografia literacka Stanisławy Przybyszewskiej* autorstwa Tomasza Lewandowskiego. Autor przedstawia tło historyczne tamtej epoki oraz społeczne i psychologiczne uwarunkowania, jakie wywarły piętno na życiu i twórczości Przybyszewskiej. Analizuje dogłębnie jej umysłowość,

zainteresowania, uzdolnienia oraz działalność twórczą w postaci: artykułów, korespondencji i dramatów z czasów rewolucji francuskiej. Wtedy postać tej niezwyklej intelektualistki do reszty mnie zafascynowała. A zarazem przestraszyła. Oddać swe życie we władanie intelektu? To kuszące. Ale jakże niebezpieczne!

Jeszcze później udało mi się kupić z przeceny III tom „Listów” Przybyszewskiej z okresu: grudzień 1927 – październik 1933 roku, w opracowaniu Tomasza Lewandowskiego. Są tu listy do Iwi Bennet, jej przyrodniej siostry, córki Dagny i Przybyszewskiego.

Nie wiem, czy łatwo zdobyć teraz którąkolwiek z tych pozycji, ale pragnę gorąco zachęcić do poszukania ich w bibliotekach. Warto poznać nie tylko życie, ale też niezwyklej umysłowości oraz twórczości tej wybitnej, a niedocenionej, postaci i zamyślić się nad jej losami.

Barwne dzieje krakowskiej cyganerii z przełomu XIX i XX wieku są powszechnie znane. Dużo tam nieszczęśliwej miłości, alkoholu, tragicznych śmierci i twórczości, co znajduje odzwierciedlenie w historii literatury. Królujecie Stanisław Przybyszewski i jego piękna żona z Norwegii – Dagny. Kochał się w niej wcześniej malarz Edward Munch. Dotąd malowane jego ręką portrety Dagny, z burzą rudych włosów, wiszą w muzeum w Oslo. Udało mi się je zobaczyć zanim po raz któryś kusily złodziei. Bywają wykradane, ale wracają.

W Krakowie twarz Dagny uwiecznia Wyspiański. Jesienią 1900 roku odbywa się słynne „ludomańskie” wesele poety Lucjana Rydla z wiejską dziewczyną z Bronowic, inspirujące Wyspiańskiego do stworzenia sztuki o takim tytule. Przed premierą czyta ją obojgu Przybyszewskim. *Wesele* dotąd pozostaje w repertuarze teatrów i spisie obowiązkowych lektur szkolnych. Sfilmował je też Andrzej Wajda.

W Dagny kochał się beznadziejnie Boy-Żeleński, lekarz, tłumacz, współtwórca kabaretu *Zielony Balonik* ale i ... posepny, bogaty młodzian, Emeryk. To on wkrótce w dalekim Tbilisi do niej strzeli. To wydarza się w maju 1901r. A 1 października tego samego roku rodzi się w Myślenicach nieślubna córka Przybyszewskiego, Stanisława.

W barwnym korowodzie wcześniej opisanych postaci ledwo daje się zauważyć jej szary, niepozorny, żywot. Wychowuje ją samotnie kochająca matka, malarka. Wozi za granicę, dba o jej edukację, ale w Paryżu umiera nagle, gdy Stasia ma zaledwie jedenaście lat. Odtąd, pomimo opieki dalszej rodziny, pozostaje osamotniona.

Od najmłodszych lat zadziwia, niezwyklej w jej wieku, umysłowością. Mając dwanaście lat gra na skrzypcach i

fortepianie, zna francuski, niemiecki, zaczyna mówić po angielsku, nieźle maluje. Ma poważne zainteresowania, skłonność do refleksji i syntetycznych skojarzeń. Cechują ją dowcip i ironia. Niestety również niechęć do ludzi, a właściwie lęk przed nimi, na co niechybnie miało wpływ jej sieroctwo i brak ojca. Zostaje nauczycielką, wcześniej wychodzi za mąż i zamieszkuje w Gdańsku, gdzie jej mąż uczy rysunków w szkole, ale po dwóch latach umiera na serce.

Odtąd Stanisława mieszka samotnie w ponurym mieszkaniu przy szkole, gdzie jeszcze pracuje, otoczona książkami, przymiera głodem, ale pisze. Dniami i nocami. Pisze poważne artykuły i prowadzi rozległą korespondencję, dzięki czemu poznajemy bliżej jej wielki intelekt. Tworzy dramaty z okresu rewolucji francuskiej: *Dziewięćdziesiąty trzeci; Sprawa Dantona; Thermidor*. Tylko tak wielkie tematy uważa za godne swojej twórczości. Zapragnęła zrobić z tego sztukę, by zainteresować ojca, słynnego Przybyszewskiego, który się jej losem nie bardzo przejmował.

Trzeci tom *Listów* obejmuje korespondencję Przybyszewskiej z lat 1927-1933 do Ivi Bennet, przyrodniej siostry. Ivi, niewiele starsza córka Dagny i Przybyszewskiego, po tragicznej śmierci matki wróciła do dziadków w Norwegii i jej życie potoczyło się, można rzec: szczęśliwie wśród kochającej rodziny. Odkąd później nawiązały ze sobą kontakt, traktowała Stasię życzliwie i wspomagała finansowo.

W którymś momencie Stanisława spotyka się ze sławnym ojcem. On daje jej niewiele: ot, zasmakować narkotyków. To staje się powodem jej szybkiego upadku. Nie nawiązuje się między nimi bliższa więź, bo patrzy na to krzywo zazdrośna żona Jadwiga, którą odebrał Kasprowiczowi i dla której porzucił Dagny. Jakże pogmatwane te ich dzieje! Ile w nich smutku! Ile dramatu!

Odtąd Stanisława już tylko pisze i zatruwa się narkotykami. Na moment zaznaje sławy, gdy w 1931 roku wystawiają we Lwowie *Sprawę Dantona*, a w 1933 w Warszawie. Ta jej sztuka na temat mechanizmów władzy, rewolucji i polityki została przez krytykę doceniona. Niestety schorowana autorka nie ma okazji zobaczyć swych dramatów na scenie. Co gorsze, szybko schodzą z afisza. Są zbyt poważne, a publiczność łaknąca rozrywki, woli coś z podkasanej Muzy.

Stanisława umiera 15.VIII 1935 roku w Gdańsku, mając niespełna 34 lata.

Smutne życie, ale jakże niezwykła umysłowość. Ten tekst ma właśnie pokazać, jak bardzo mi imponuje umysłowość Przybyszewskiej i ubolewam, że tacy ludzie pozostają niedocenieni, żyją w biedzie, osamotnieniu i szybko się o nich zapomina. Pojęcie "bieda" ma szerszy kontekst niż tylko finansowy, a ja używam go w znaczeniu psychologicznym, jako odpowiednik

cierpienia psychicznego, bo moja bohaterka niewątpliwie dużo przecierpiała, choć sublimowała to poprzez swą twórczość.

Przybyszewska wcześniej zapragnęła wywalczyć sobie piórem miejsce na Parnasie. Niestety zajmowała się poważną tematyką i bardziej jej pasowały rzeczy wielkie objętościowo, co nie ułatwiało startu na tej drodze. Narzekła, że nie potrafi pisać krótkich historyjek do prasy, od czego należało zacząć, a „Nie każdy talent nadaje się do celów żurnalistyki.” Na próżno studiowała styl modnych nowelistów, np. O Henry'ego. Uczyła się na pamięć jego krótkich, błyskotliwych, historyjek, by zrozumieć ich konstrukcję i sposób narracji. Jednak nie potrafiła ich naśladować.

Zasłynęła za to krytycznymi wypowiedziami w sprawie literatury. W roku 1928 Irena Krzywicka głośnym artykułem „Jazgot niewieści, czyli przerost stylu” zaatakowała ówczesną prozę kobiecą za jej minoderię, histerię, manieryzmy i wyszukaną liryzację. Przeciwwstawia temu zintelektualizowaną prozę Prousta, T. Manna i G.H. Wellsa. W odpowiedzi Maria Kuncewiczowa broni stylu metaforycznego. Sprzeciwia się jej właśnie St. Przybyszewska. Ona metaforyzm określa jako: „precjozizm”, który grozi regresem w oryginalności pisarskiej. Literaturę w stylu lirycznym z tematyką stanów emocjonalnych i życia osobistego bohaterów umieszcza na poziomie średnim, ze względu na brak wartości poznawczych i estetycznych. Jeszcze niższy poziom to: „zdroworozsądkowa reprodukcja szarej codzienności, poddawana tendencyjnym ocenom.” (...) ... pisarz ma kształtować nowe życie, uniwersalizm, antyindywidualizm i scjentyzm” (cyt. za T.Lewandowskim).

Z *Listów* Przybyszewskiej można dowiedzieć się, jak kształtował się jej talent, jak również poznać jej rozważania na temat powołania pisarskiego, procesu twórczego i problemach stylu, kompozycji oraz osobowości pisarza, np. jego nadwrażliwości. Dużo pisze o swych lekturach i co sądzi o: Conradzie, Prouście, S.Undset, Londonie i innych. Prousta nazywa grafomanem, „Klasycznym przykładem nieuzdolnionego talentu”. Donosi, że z ulgą odkłada jego lekturę. Jednak go czyta, bo ogólnie stawia wysoko, ceniąc jego bystrość i głębię obserwacji.

Informuje zarazem o swych codziennych kłopotach z dymiącym piecem i niedzielnej samotności. Ciekawe są jej spostrzeżenia psychologiczne, choćby rozważania o bezinteresownej złośliwości ludzi głupich. Przykładem jest policjant na filmie pałujący biedaka, oraz poznany w realu strażnik więzienny. Jaką on miał „radochę”, kiedy mógł jej odmówić papierosów, bo i aresztu dane jej było zaznać. Skarży się na redaktorki przygotowujące jej tekst, że przedstawiają przecinki, bo im się zdaje, że wiedzą lepiej, gdzie je stawiać. Ciekawe, kto miał rację.

Analizuje też obszernie styl prozy swego ojca oraz własny z jego trudnościami i przemianami.

„Tak, w przeciągu ostatnich dwóch tygodni problem się rozwiązał; dawno rozpoczęta powieść, przy której jak zwykle utknęłam (i co dalej??), po raz pierwszy w życiu dała się doprowadzić do punktu kulminacyjnego, a potem logicznie i prawidłowo zakończyć. Po raz pierwszy potrafiłam powieść rozpracować do końca, podzielić na sceny – odcinki, czarno na białym napisać w postaci dyspozycji. Teraz piszę i gładko zbliżam się do logicznie nieodzownego zakończenia. Tutaj w grę nie wchodziło ani szczęście, ani natchnienie. Jest to więc obowiązująca odpowiedź na moje życiowe pytanie.” (*Listy*, t. III, str 120).

A oto, co Stanisława Przybyszewska pisze o swoim powołaniu:

„ Co się tyczy mojego wzbraniania się przed pracą – no, wiesz przecież: musiałabym wówczas dla skromnej, choć stałej pensji zrezygnować z treści mojego życia (...), z jedyne go sensu mojego ziemskiego bytu; z pracy, do której mam talent, do której jestem stworzona. Tak jak gdyby chciało się użyć mikroskopu jako młotka; nie wbijałby dobrze gwoździ, byłby więc złym młotkiem(...). Dokładnie to samo stałoby się ze mną (...) skoro tylko rozpoczyna się codzienna pańszczyzna, kończy się tworzenie.”

I dalej:

„ Pracowałam (zawsze 6-10 tygodni) w czterech biurach. Za każdym razem byłam najgorszą urzędniczką w moim dziale. Uważano mnie za niezupełnie normalną, za półdiotkę – bo nigdy, przenigdy nie potrafiłam nauczyć się tego, czego wymagano.” (*Listy*, t. III str 218 - 219)

Jak widać Przybyszewska próbowała pracować i w szkole i w biurze, ale wszędzie kiepsko sobie radziła. Gorzej od przeciętnej urzędniczki. I nie zagrzała nigdzie miejsca. To wynika z pewnej prawidłowości psychologicznej, że osoby genialne, czy choćby tylko wybitne intelektualne, nie radzą sobie w prostej sytuacji zadaniowej, bo doszukują się w niej czegoś mądrzejszego, bardziej skomplikowanego, a zadania zbyt łatwe ich śmiertelnie nudzą. W tym górują "nie orły". Dlatego do prostych prac biurowych czy fizycznych nie wolno dawać osób o wysokim intelekcie. Zасыpiają (intelektualnie a nawet dosłownie) i np. na suwnicy mogą spowodować wypadek. Stąd płyną zasady doboru ludzi na właściwe stanowisko. Nie każde, ale np. zagrażające wypadkiem.

Podobnie jest z interpunkcją, na którą Przybyszewska narzeka, że redaktorki ją uparcie przestawiają. Analogicznie w biurze projektów niewielu inżynierów nadaje się do wielkiej pracy koncepcyjnej, wielkich projektów wstępnych, gdzie potrzebna niezwykła wyobraźnia i odwaga, by narzucić innym swą twórczą wizję. Natomiast inni projektanci (oczywiście również

inteligentni i rzutcy) będą lepsi (i bardziej zadowoleni), robiąc do jego wstępnego projektu: projekty uzupełniające, wyliczenia, sprawdzanie poprawności, co pierwszego już nudzi.

Reasumując: nie ma tu ścisłego podziału i życie jest bogatsze niż teoria.

Przybyszewska w *Listach* często analizowała swe powołanie pisarskie i predyspozycje twórcze.

"I jeszcze ten pech, że moje literackie uzdolnienia są tak piekielnie niedostępne, trudne - pisze do Iwi. - Tak, gdybym miała lekkie uzdolnienia do żurnalistyki, do zabawnych *short stories*, do podniecających powieści miłosnych - ale nastawiać się właśnie jedynie na najpoważniejsze zjawiska ludzkie, a z powodu trudnych tematów zmuszonym być do pracy tak rozpaczliwie powolnej - to źle. Jestem zmęczona jak pies. Teraz jest godzina ósma rano; o 21.30 rozpoczęłam pracę -10 1/2 godziny. Piękny, złoty, straszliwie zimny poranek." (*Listy*, t.III str.237)

Czemu tak właśnie ułożyło się jej życie warto poszukać odpowiedzi w tych właśnie polecanych wyżej książkach. Ale czy pozna się tak do końca?

Losy Stanisławy Przybyszewskiej przywodzą mi na myśl poetkę Halinę Poświatowską. Ona też wcześniej owdowiała, a po operacji serca, pełna apetytu na życie, chciała czerpać jego urodę pełnymi garściami. Studiowała najpierw w Ameryce, potem filozofię na UJ, pisała wiersze, podróżowała, chodziła po górach wbrew zaleceniom lekarzy. W końcu wyczerpała swe siły życiowe i zmarła po kolejnej operacji serca, mając zdaje się też 34 lata. Poświatowska wydaje mi się w swym krótkim życiu zaznała bogactwa przeżyć a również sławy. Inaczej Przybyszewska. Ona głosiła: „Życie moje, bez rozrywki, bez towarzystwa, bez erotyki, bez możliwości luksusowych wydatków jest bogatsze od życia 99 procent ludzi. Tyle radości, zachwyty i wstrząsów, co ja w ciągu miesiąca, nie dozna każdy w ciągu swojej całej egzystencji”.

Poświatowska miała chyba więcej radości życia. Nie zasklepiła się w swej introwersji, a biegła ku ludziom i światu. Cenię jej wiersze. Lubię ją, jako postać.

Natomiast Stanisława Przybyszewska bardzo, bardzo mi imponuje, bo intelekt to jest coś, co cenię w ludziach najbardziej. Jej listy są pasjonujące. Tyle że ona była nazbyt poważna i mądra. Co gorsza: bała się świata i ludzi, bo po kolei traciła najbliższych. W końcu okopała się w swoim intelekcie i na innych patrzyła z tego punktu widzenia, czyli z góry. Miała poczucie swej niedostępności.

Pozostawiła po sobie trzy wymienione wcześniej dramaty ze *Sprawą Dantona* na czele oraz powieści i nowele, ogłoszone częściowo z rękopisów w tomie *Ostatnie noce Ventose'a*.



Dużo ciekawych postaci wiąże się z kręgiem, z którego wywodzi się Stanisław: jej ojciec Stanisław Przybyszewski, Boy, Stanisław Wyspiański, Jan Kasprowicz i nawet w dalekiej Norwegii Munch. Towarzyszą im ciekawe kobiety: Dagny, Aniela, i mniej znana Jadwiga, żona Kasprowicza, która odeszła do Przybyszewskiego. Jeszcze wspomniana wcześniej publicystka Irena Krzywicka. Wreszcie trzecia żona Kasprowicza Marusia, z domu Bunina. Ją też poznałam z w/w „Tygodnika Ilustrowanego”. Przyciągała moją uwagę jej twarz w burzy czarnych loków i obok zdjęcie Harendy, jeszcze wtedy nieocienionej zielenią. Pisząc później pracę magisterską z psychologii: *Geneza pomysłu twórczego*, poznałam *Dzienniki* Marii Kasprowiczowej. Ta kochająca żona Jana Kasprowicza, dużo od niego młodsza i wychowana w ciepłarnianych warunkach arystokratycznego, rosyjskiego domu, troskliwie wynosi męża na piedestał i z pasją utrwała dla potomności informacje, jak powstawały kolejne utwory jej męża. Starannie opisuje w *Dziennikach* skąd brał się pomysł wiersza i jaki towarzyszył temu nastrój emocjonalny. Zachwycała mnie geneza *Hymnu Święty Boże*. Szkoda, że to wykracza poza ramy tego tekstu. Może innym razem.

Wszystkim piszącym polecam gorąco *Listy* Stanisławy Przybyszewskiej i jej biografię w opracowaniu Tomasza Lewandowskiego pt. *Dramat intelektu*, bo to kopalnia wiedzy o literaturze, twórczości i o tamtych czasach. Warto pomyśleć, dlaczego Stanisława Przybyszewska była tak nieszczęśliwa i tak szybko została zapomniana. Dlaczego, podobnie jak Norwid, długo pozostała niedoceniona. To właśnie dramat intelektu.

Tu muszę wtrącić anegdotę z książki Tischnera o wybitnym fizyku, inżynierze, który na Syberii skonstruował aparat rentgenowski. Niestety ludzie tam nad Kołymą tego nie docenili. Bardziej potrzebowali zwyczajnych lusterek. Fizyk zajął się więc produkcją lusterek. Jego talent, wykształcenie i bardziej szlachetne zamiary zostały zmarnowane.

Dramatem jest też to, że obecnie tak mądre i wartościowe książki kupuje się z przeceny, albo są one w ogóle nieosiągalne. Sama kupiłam kiedyś z przeceny Andrica, Manna, Bunina i innych. Czyżby byli mniej wari od autorów produkujących na pęczki bestsellery, sprzedawane w milionach egzemplarzy, co według niektórych krytyków jest wyznacznikiem wartości? Co to będzie dalej z literaturą zwaną "piękną"?

Powiało pesymizmem. On czał się już od samego tytułu. Nie zachęci do polecanych książek. Raczej odstręczy. To wbrew mojej intencji.

Udowodnione jest, że wszelkiej pracy twórczej sprzyjają pozytywne stany umysłu: radość, zadowolenie, atmosfera rozrywki i zabawy, poczucie szczęścia!! W radosnym nastroju

łatwiej przychodzą do głowy nowe, ciekawe pomysły twórcze, odkrycia, rozwiązania artystyczne.

Tak bywa w pracy naukowej jak też artystycznej czy literackiej. Ośrodki inwencji twórczej w naszym mózgu są zlokalizowane blisko ośrodków radości i mózg tak ożywiony uskrzydla z kolei inwencję, inspiruje pomysłami.

Wnioski pozostawiam czytelnikom.

Dla mnie pisarz, choćby początkujący, to mędrzec. Ma nie tylko zabawiać czytelnika, ale przede wszystkim dostarczać mu pożytki intelektualnej i przeżyć artystycznych oraz być jego przewodnikiem w trudnej drodze życiowej. Chyba większość tego właśnie od autora oczekuje, biorąc jego książkę do ręki.

Bibliografia:

S. Przybyszewska – *Listy*. Tom I i II (grudzień 1927 – październik 1933)

Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Tomasz Lewandowski.

Z jęz. niem. przełożył Antoni Weiland

Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1985.

T. Lewandowski – *Dramat Intelektu. Biografia literacka Stanisławy Przybyszewskiej*. Wydawnictwo Morskie. Gdańsk 1982.

Tygodnik Ilustrowany – rocznik 1933.

E. Kossak – *Dagny Przybyszewska. Zbłąkana Gwiazda*.

M. Szułczyńska – „*Nie Popęłniłam Zdrady*” *Rzecz O Halinie Poświatowskiej*.

M. Kasprowiczowa – *Dzienniki*.



# IGNACY S.FIUT

## ŚWIĄTECZNE ODGŁOSY NOCY

*Joannie Krupińskiej-Trzebiatowskiej*

*w opuszczonym domu pająki  
utkały gwizdki świąteczne  
w ciemnych oknach  
na drewnianych drzwiach  
rozpostarły gwiazdę  
wigilijną*

*siwobrody mróz rozwiesił  
na pajęczynach kryształki  
lodu pieszczące promienie  
uśmiechniętego od ucha  
do ucha księżycy*

*Boże Narodzenie ściga cienie  
spóźnionych przechodniów  
i czeka na rozbłysk uśmiechu  
nowonarodzonego  
dzieciątka*

*a wśród nocnej ciszy  
głos się rozchodzi....*

## DUSZA WIATRU III

*Irenie Kaczmarczyk*

*jesienią tańczy oberka  
z chmarami liści w parku  
zrzuca z głów kapelusze  
i kłania się do stóp  
naszemu światu*

# BARBARA KORTA-WYRZYCKA



## SŁOWEM MOŻNA WYLECZYĆ CIAŁO I DUSZĘ

### WIERSZE WYBRANE /AUSGEWAHLTE GEDICHTE

Poezja dotyka każdego z nas. W młodości wrażliwość jest największa, a uczucia i emocje najsilniejsze. Otaczający świat i rzeczywistość są nie tyle postrzegane co odczuwane. To czas, gdy odwzajemnione uczucie zamienia zwykle realia w eden, a odrzucone strąca w otchłań cierpienia. Witalność i dynamika, właściwe dla tego etapu życia, skłaniają do szukania odpowiedzi na dręczące problemy emocjonalne i egzystencjalne. Sięga się wówczas często po tomiki poezji. Metaforyczna, niejednoznaczna, a często filozoficzna mowa wiązana pomaga nazwać, a przynajmniej ukoić niepokoje duszy. Etap młodzieńczego buntu, wyrwania się z kanonu wychowawczej poprawności trwa krótko. Domowa kindersztuba, wpajane przez lata edukacji zasady, normy, wzorce i nieodzowne konwenanse działają jak bielizna modelująca, formująca przeciętnego zjadacza chleba.

Skąd zatem biorą się poeci? Są wyjątkowi. Nie mieszczą się w przyjętych ramach, zachowują świeżość doznań, uczuciowość, wrażliwość, a przede wszystkim niczym nieskrepowaną wyobraźnię twórczą.

Joanna Krupińska-Trzebiatowska swą dojrzałą drogę poetki rozpoczęła publikacją wiersza w „Życiu Literackim” w 1977 roku. Od tej pory opublikowała 11 tomików poezji: *Płomienie* (1994), *Sny* (1994), *Przebudzenie* (1994), *Labirynt* (1999), *Jesienny nokturn* (1999), *Wśród nas* (1999), *Rzeczywiste i nierzeczywiste* (2001), *W jedną stronę bez prawa powrotu* (2007), *Taniec śmierci* (2010), *Trickster* (2013), *Puste obłoki* (2017).

Prezentowany zbiór, wydany przez Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich jest wyjątkowy z dwóch powodów. Po pierwsze, to nie kolejny tomik nowych wierszy poetki, lecz „Wiersze wybrane”. Mało który twórca może poszczycić się takim wydaniem zawierającym wybrane, a więc najlepsze, charakterystyczne, wyjątkowe utwory stanowiące kwintesencję twórczości. Drugą tajemnicę zdradza podwójny tytuł tomiku: *Wiersze wybrane. Ausgewahlte Gedichte*. A zatem publikacja jest

dwujęzyczna, co więcej stanowi precyzyjnie wyselekcjonowany wybór wierszy. Nie jest prostym zajęciem przekład poezji na inny język. Kto zatem podjął się tego karkołomnego zadania?

Doboru utworów oraz przekładu dokonał Karl Grenzler, mieszkający od lat w Wiesbaden poeta, tłumacz i kustosz biblioteczny, członek Lubecker Autorenkreis, ale też Krakowskiego Oddziału ZLP. Skąd takie powiązania? Postać to niezwykła. Urodził się i młodość spędził w kaszubskiej rodzinie, gdzie obok kaszubskiego, językiem codziennym był niemiecki. Edukację kontynuował na UJ. Sytuacja ta stała się niebawem cennym wianem dla Karla Grenzlera tworząc zeń człowieka dwóch kultur i dwóch języków. Świadomość twórcza tłumacza i rdzenna dwujęzyczność sprawiły, że prezentowany zbiór JKT jest wysmakowany i spójny tematycznie. Pojawiają się w nim i powracają filozoficzne pytania z obszaru ontologii o istotę bytu, sens istnienia.

Kluczowymi słowami są: czas, przemijanie, śmierć i pamięć o człowieku, nawiązujące do Pieśni Horacego (Exegi monumentum) „ Powiedziałeś/ Nie wszystek umrę/ Nie wszystek/ Jeśli ktoś będzie o tobie pamiętał/(...)Jeśli choćby jedna łza/ Spadnie na twoją mogiłę/ i nie ważne czy na kamieniu/ Wyrzujesz/ Non omnis moriar”. ...

Wyraźnie zaznacza się w wierszach rozważanie zjawisk ostatecznych, nieuchronnych. Czy odchodzi się w nicość („...Tonę w bagnie pod niebem ginącej gwiazdy/Pograżam się w otchłani, bez szans na ocalenie...”), a może warto poszukać ukojenia w religii? Autorka proponuje nowy trop, gdy religia nie spełni oczekiwań. Jest on równie uniwersalny i odwieczny – to dobro („Gdy z jądra ciemności wyłoni się dobro /pojdziesz jedność odwiecznych idei/ zyskasz spokój/ zanim zapadniesz w sen.”) i miłość.

Na podkreślenie zasługuje wiara w moc słowa. Poeta jak demiurg włada słowem, które użyte niewłaściwie bądź nieopatrnie może zabić, ale też uleczyć (wiersz Słowo).



Pojawiają się częste w średniowiecznej kulturze, a także okultyzmie symbole, jak lustro, karuzela, zegar, np. wiersz: „Twarzą w twarz ze sobą /Przed wielkim lustrem”; czasem lustrem jest płaszczyna wody, np. „Godziny oczekiwania/ w tafli jeziora odbija się księżyc/ Łowi w wielkie sieci moje słowa...”

Mająca męża, znanego plastyka i córkę malarkę autorka na co dzień obcuje z barwą, światłocieniem, kontrastem, teksturą. Nic zatem dziwnego, że w jej twórczości nie tylko pojawiają się kolory, ale za ich przyczyną wiersze zyskują podwójne dno jak chociażby w bardzo osobistych strofach:

„Pomalowałaś mój świat kolorami/ I patrzysz teraz jak las mój płonie/ wszystkimi barwami jesieni/Jak wiosną zielenią się za oknami pola/ Jak rosną białe brzozy nadziei

Lecz cóż to?! Wylałeś czarny tusz na płótno/ A on ucieka i wnet zaczerpnął wszystko/ Czy to śmierć za oknami czeka (...) A gdybyś tak pociągnął po czerni tęczę/ Most prowadzący z naszego wzgórze do Boga/ Most z błękitu, fioletu i różu/ Może dostałbyś w nagrodę od Niego/ drugie życie.”)

Nie brak odwołań biblijnych.

Wiersz „ Gdy będziesz kroczył ciemną doliną/ Nie lękaj się/ Milion świec płonie czerwoną łuną/ Milion świec łączy niebo z ziemią/ Niczym most z ziemi do świata cieni/ I nie ważne po której stronie stoisz/ Miłość ocali cię od zapomnienia...” to utwór wyraźnie inspirowany Psalmem 23 „Chociażbym chodził ciemną doliną zła się nie ulęknę...”.

Prezentowany tomik jest niezwykle spójny, a harmonijna współpraca autorki i tłumacza przyniosła wartość dodaną. Dodatkowy atut tej uniwersalnej poezji nadaje emocjonalne zaangażowanie autorki. Jej poezja jest bardzo osobista, a przez to jakże prawdziwa, nie udawana. Pozwala czytelnikowi zajrzeć w głąb własnej duszy. Dzieli się z nim swoimi lękami, wątpliwościami, złością i oczarowaniem.

Czytający może się z podmiotem lirycznym utożsamić lub wadzić, a o to przecież chodzi, by literatura żyła i budziła emocje.

## OSTATNI WIERSZ

Pierwszy dzień wiosny i pada deszcz  
mrozi nieśmiało wyglądające spod ziemi przebiśniegi  
ścina w pełni rozkwitu krokusy  
co to za świat po którym kroczy żniwiarz  
z kosą w dłoni  
ptaki zdziwione zagląдают do moich okien  
drzewo od lat tańczy ten sam taniec  
i niby nic  
jak zawsze słońce zamglone milczy  
i nikt nie ma odwagi powiedzieć że  
nadciąga dzień apokalipsy  
serce matki zamiera z niepokojem  
gasi radosny uśmiech na twarzy dziecka  
jeszcze jeden dzień może dwa  
a potem?  
Potem nie będzie już nic  
bo nawet Anioł uznał że  
mieszkańcom tej ziemi nie można pomóc  
obudzić uspiomych sumień  
przymykających oko na ból i głód trzeciego świata  
wyleczyć z nienawiści  
to pierwszy dzień ostatniej już wiosny  
dla wielu

1 kwietnia 2020

---

Joanna Krupińska-Trzebiatowska, *Wiersze Wybrane. Ausgewahlte Gedichte*, Kraków 2019

# IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA



## FENOMEN WALCA

### REZONANS GATUNKU W MUZYCE XX WIEKU

*„Walc salonowy, lekki, posuwisty i zwiewny, przyćmił swym urokiem wszystkie ówczesne tańce salonowe, był oryginalny i niepowtarzalny. W swojej klasycznej formie doszedł do szczytu i jakby zatrzymał się w tym punkcie, jego doskonały kształt pozostał niezmienny do naszych czasów i wciąż trwa równie młody i świeży, jak dawniej. Tak dzieje się tylko z najpiękniejszymi, najdoskonalszymi arcydziełami sztuki choreograficznej, które znalazły swoją idealną formę, stają się na wiele lat niedoścignionym wzorem piękna, nieskażonym wciąż zachwycającym. I taki jest walc do dzisiaj”<sup>1</sup>.*

Walc najkrócej określany jest jako „taniec w metrum trójdzielnym, który stał się najpopularniejszym tańcem balowym XIX wieku”<sup>2</sup>. Choć wywodzi się z muzyki popularnej i to niższych warstw społecznych, z chłopskiego ländlera i tańców niemieckich (*Deutsche Tanz*), dość szybko o jego ludowych korzeniach zapomniano, czyniąc zeń atrakcję balów, a także jeden z ulubionych typów miniatury instrumentalnej grywanej na salonach. Dzięki swojemu urokowi zajął znaczące miejsce także w muzyce symfonicznej, operowej i baletowej. Niewielu jest kompozytorów, znaczących dla historii muzyki XIX wieku, którzy nie mieli w swoim dorobku choćby jednego walca.

Zmierzch epoki walca nastąpił wraz z końcem XIX wieku, kiedy to rozpoczęła się era modernizmu (*fin de siècle*) i zaczęły pojawiać się w sztuce i w muzyce nowe prądy, z jednej strony będące odzwierciedleniem politycznego niepokoju, a z drugiej reakcją na sztukę akademicką, eklektyzm i historyzm XIX-wiecznej architektury i dekoracji. Niezaprzeczalnie XIX wiek przyniósł wielki rozwój sztuki inżynierskiej, związany głównie z wprowadzeniem i opanowaniem nowych materiałów – żeliwa i stali – i co najmniej od jego połowy<sup>3</sup> zaczęły powstawać nowoczesne obiekty budowlane, wielkie gmachy użyteczności publicznej, ale i przemysłowe (mosty, hale fabryczne, szklarnie, dworce kolejowe, jak m.in. Stacja Karlsplatz Wiedeń), których forma dostosowana była ściśle do ich funkcji<sup>4</sup>. Niektóre z nich zostały później docenione jako prawdziwie postępowe dzieła, jak choćby Crystal palace Josepha Paxtona (1851).

W Niemczech doszły do głosu Młode Niemcy (*Jugendstil*), we Francji *Art Nouveau*, austriacki Wiedeń opanowała secesja (*Sezession*), we Włoszech narodził się *stile floreale* lub *stile liberty*, natomiast w Anglii *Arts and Crafts Movement*, a w Hiszpanii *modernismo*, ale wszędzie sztuka, a w tym architektura, rodziła się w opozycji do tradycji, wykorzystując asymetrię, „amor vacui i kształty negatywne”, organiczność, kult lunarny czy pierwiastek oniryczny<sup>5</sup>.

Za początek impresjonizmu w muzyce uważa się rok 1884, będący datą powstania *Preludium do Popołudnia Fauna* (*Prélude à l'après-midi d'un faune*, 1894) Claude'a Debussy'ego, który był głównym reprezentantem tego kierunku. Po śmierci kompozytora w 1918 impresjonizm muzyczny zaczął tracić na znaczeniu i ewoluować w neo-, a potem w postimpresjonizm. Obok Debussy'ego do grona impresjonistów zalicza się m.in. Maurice Ravel, Albert Roussel, Ottorino Respighi, Manuel de Falla, a także Karol Szymanowski.

Ostateczną jednak zmianą paradygmatu epoki, na której szczególnie piętno odcisnęła nauka, głównie za sprawą *Teorii względności* Alberta Einsteina, nastąpiła dopiero wraz z wybuchem I wojny światowej, ale podwaliny pod relatywistyczno-antyhisteryczną świadomość stworzyła wcześniej triada negująca istnienie Boga: Karol Marks, Fryderyk Nietzsche i Zygmund Freud. Na nową interpretację świata wywarł też wpływ Carl Gustaw Jung ze swoją teorią archetypu oraz Claude Levi-Strauss z jego strukturalizmem i teorią mitu społecznego. Odpowiedzią na przemiany społeczne i kulturowe, w tym w sferze obyczajowości, był również fundamentalny radykalizm intelektualny, wyrażający się m. in. w twórczości Marcela Prousta, Jamesa Joyce'a oraz Franza Kafki, pisarzy podążających po niezatartych śladach Fryderyka Nietzschego, który demokrację, liberalizm i egalitaryzm utożsamiał z upadkiem człowieka i kulturową dekadencją.

„Dekadencja i pesymizm wiodły również do przejawów anarchizmu i nihilizmu, co otwierało pole dla idei totalitarnych, kwestionujących fundamenty europejskiego judeochrześcijańskiego humanizmu” – zauważa Zdzisław Tołłoczko, wskazując między innymi na twórczość Fiodora Dostojewskiego i Stanisława Przybyszewskiego<sup>6</sup>.

Cztery lata wojny, w którą zaangażowane było sześćdziesiąt milionów żołnierzy, zmiotły stary świat, a na jego ruinach wybudowano nowy ład polityczny. Wojna, której skutkiem był między innymi upadek Monarchii Austro-Węgierskiej oraz Cesarstwa Niemieckiego, abdykacja króla Prus i cesarza niemieckiego Wilhelma II Hohenzollerna oraz ucieczka Karola I Habsburga, następcy zmarłego w 1916 roku Franciszka Józefa, spowodowała gwałtowne przemiany polityczne, społeczne i obyczajowe. Zmienił się obraz Europy: przeobrażenie monarchii w nowe demokratyczne państwa, obok których wyrosły te, którym udało się wywalczyć niepodległość, jak choćby Polska, doprowadziło do stworzenia platformy międzynarodowego pokojowego porozumienia, jaką miała być Liga Narodów<sup>7</sup>.

Na przełomie XIX i XX wieku rozwinął się ruch aktywistyczny walczący o prawa wyborcze kobiet, działający zwłaszcza przed rozpoczęciem I wojny światowej głównie w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Brak rąk do pracy w fabrykach, jaki wystąpił podczas I wojny światowej sprawił,

że zamiast mężczyzn przy maszynach stanęły kobiety. Zmienił się sposób postrzegania możliwości kobiet, zwłaszcza że już w latach 70. i 80. XIX wieku zostały dopuszczone do studiów na głównych uniwersytetach w Wielkiej Brytanii, a w 1918 uzyskały na wyspach prawa wyborcze.

Wielka wojna, postrzegana jako rzeźnia ludzka, wywarła też istotny wpływ na proces tworzenia się i ewolucję kultury i sztuki, a tym samym na powstanie awangardy. Reakcją na nową rzeczywistość było między innymi powstanie zupełnie nowej muzyki. Wiedeń, który był ojczyzną walca, stał się ośrodkiem pierwszej awangardy Arnolda Schönberga (1874-1951). Serializm odrzucał stary porządek tonalny, wypracowany jeszcze za czasów Bacha. Postępowe idee Schönberga kontynuowali jego uczniowie – Alban Berg i Anton Webern.

W odmiennym kierunku zwrócili się kompozytorzy tworzący w duchu neoklasycyzmu; powracali oni do klasycznych wartości piękna, poszukując go w ładzie i wewnętrznej harmonii dzieła. Sięgali do wzorców pozostawionych przez dawnych mistrzów, a przede wszystkim klasyków wiedeńskich. Do najznamienszych przedstawicieli tego nurtu zalicza się Bełę Bartóka (1881-1945), Sergiusza Prokofiewa (1891-1953) oraz Igora Strawieńskiego (1882-1971), przy czym twórczość tego ostatniego – obejmująca przedział ponad siedemdziesięciu lat – reprezentuje wiele różnorodnych tendencji stylistycznych.

Równocześnie zaczęły docierać do Europy, ogarniętej wciąż rewolucyjnym wrzeniem, ale i powojenną euforią, tańce latinoamerykańskie, takie jak cha-cha, samba, rumba, pasodoble, czy jive, doskonale korelujące ze zmianami obyczajowości, jaka dokonała się u progu XX wieku. Obok walca pojawił się foxtrot, quickstep i ballroom tango, jako nowy rodzaj tańca towarzyskiego, i poczynając od początku XX wieku z zachwytem zostały przyjęte przez całe społeczeństwo zachodnie. Modne nowe tańce nadeszły z Nowego Świata wraz z muzyką jazzową, która stała się bardzo popularna w latach 20. i szybko opanowała całą niemal Europę, a szczególnie Berlin, będący już na przełomie XIX i XX wieku był znaczącym ośrodkiem kultury. Również polskiej, bo w mieście tym mieszkali i tworzyli m.in. malarz Wojciech Kossak, pisarz Stanisław Przybyszewski oraz kompozytorzy Feliks Nowowiejski, Mieczysław Karłowicz i Leopold Godowski. Notabene w Berlinie została założona w 1905 przez Grzegorza Fitelberga, Ludomira Różyckiego i Apolinarego Szeluto Spółka Nakładowa Młodych Kompozytorów Polskich. Stolica Niemiec w 1920 roku okazała się również rajem dla pisarzy angielskich, takich jak WH Auden, Stephen Spender i Christopher Isherwood, autor powieści *Pożegnanie z Berlinem*, na podstawie której powstał musical *Kabaret* z muzyką Johna Kandra. Pojawiały się tu postaci takie jak Anita Berber, tancerka i aktorka, znana ze swoich erotycznych występów, jak również uzależnienia od kokainy i niekonwencjonalnych zachowań, a przy tym ulubiona modelka Otto Dix'a, jednego z członków założycieli Drezdeńskiej Secesji.



Berlin, w porównaniu z innymi stolicami europejskimi, roił się od monumentalnych muzeów zlokalizowanych na słynnej wyspie muzeów, wśród których szczególną uwagę zwraca Pergamon Muzeum, budowany przez dwadzieścia lat, od 1910 do 1930 roku według projektu Alfreda Messela i Ludwiga Hoffmanna.

Druga wojna światowa dokonała nie tylko przerażających spustoszeń na mapie całej Europy, ale jednocześnie podając w wątpliwość wszelkie systemy wartości, jako arbitralne i determinujące człowieka, zrodziła postmodernistyczne, wyrosłe na gruncie strukturalizmu, egzystencjalizmu i dekonstrukcjonizmu Deridy przekonanie, że ludzie postrzegają rzeczywistość poprzez pryzmat swojej kultury i doświadczeń, przypisując temu, co odnotowują, określone znaczenia i w związku z tym nikt nie może zaobserwować obiektywnej rzeczywistości, odezwanej od nadawanych znaczeń i kontekstów<sup>8</sup>.

Nie funkcjonuje już w sztuce kanon piękna, za to nadwyręża wrażliwość odbiorcy *Guernika* Picassa, a jednocześnie objawia się ponadczasowe arcydzieło – *Doktor Faustus* Tomasza Manna. Po sukcesję po impresjonistach sięgnęli kubiści, a około 1950 roku do głosu dochodzi abstrakcja, która jak pisze Andre Malreaux, „nie różni się od pojęcia wolności w sztuce; wreszcie, choć obrazy taszystowskie Kandinsky’ego zyskały na smaku, z taszyzmu [...] pozostała tylko moda, już niemodna”<sup>9</sup>.

Również kompozytorzy zaczęli odkrywać po II wojnie światowej nowe terytoria, a szczególnie ważna w tamtym czasie była działalność szkoły darmsztadzkiej, z Karlheinzem Stockhausenem (1928-2007) na czele. W nurcie sonoryzmu, który na pierwszy plan wysuwa barwę dźwięku i fakturę, komponowali m.in.. Krzysztof Penderecki i Kazimierz Serocki. Na gruncie amerykańskim powstało *minimal music*, a ostatecznie prądem opanowującym estrady muzyczne okazał się łączący różne style i gatunki muzyczne postmodernizm.

W tej sytuacji trudno było oczekiwać, że walc, który przez cały XIX wiek utrzymał się w swojej pierwotnej funkcji użytkowej, osiągając swoją klasyczną formę po 1830 roku i przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego pozostając nadal symbolem elegancji i piękna minionej epoki, skutecznie będzie się mógł obronić.

Przyszła moda na pop i rock – gatunki muzyki rozrywkowej powstałe w połowie XX wieku w Stanach Zjednoczonych, które wytworzyły wokół siebie krąg subkultury młodzieżowej (ogólna nazwa szeregu stylów muzycznych, wywodzących się z rock and rolla oraz rhythm and bluesa i bluesa). Sama nazwa „rock” jest skrótem od „rock and roll”, choć można uznawać te dwa pojęcia za oznaczające odmienne od siebie gatunki muzyczne, które opanowały wszystkie kluby taneczne<sup>10</sup>.

Wielkie bale stały się rzadkością, choć nadal, także i dzisiaj, tańczy się walca w wiedeńskiej operze. Często też bywa on traktowany jako pierwszy taniec pary młodej na weselach.

Szczególną jednak rolę w podtrzymywaniu tradycji tańczenia walca odegrało Imperial Society of Teachers of Dancing (ISTD), czyli międzynarodowa komisja nauczania i egzaminowania tańca z siedzibą w Londynie w Anglii, która choć powstała 25 lipca 1904 r., także i dzisiaj zapewnia szkolenia i egzaminy z różnych stylów tańca oraz certyfikowane kursy dla nauczycieli tańca, a także bywa gospodarzem konkursów organizowanych w wielu różnych kategoriach, a w tym Modern Ballroom, Latin American, Classical Ballet i Tap Dance, również współczesnych, takich jak Disco Freestyle. Instytucja ISTD jest uznawana przez Urząd ds. Kwalifikacji i Programów Nauczania oraz Radę Edukacji i Szkolenia Tańca, należy do British Dance Council, a także jest reprezentowana w komitetach wielu innych organizacji związanych ze sztuką, tańcem i kulturą. W jej skład wchodzi dwa główne wydziały: Dancesport koordynujący techniki taneczne, zwykle wykonywane w sali balowej lub sali tanecznej oraz teatr zajmujący się występami scenicznymi i filmowymi. Częścią ISTD jest również Cecchetti Society, którego celem jest zachowanie metody klasycznego treningu baletowego metodą Cecchetti.

Taniec towarzyski uważany jest za sport, choć nie stanowi dyscypliny olimpijskiej. Na świecie istnieją dwie główne, konkurujące ze sobą organizacje, które zajmują się tańcem turniejowym: World DanceSport Federation (której przedstawicielem w Polsce jest FTS – Federacja Tańca Sportowego) i World Dance Council (której przedstawicielem w Polsce jest: Polski Taniec SA oraz PTT – Polskie Towarzystwo Taneczne). Na turniejach organizowanych przez PTT, WDC, FTS tancerze rywalizują w grupach rekreacyjnych, sportowych oraz seniorów, a wszystkie kategorie oceniane są oddzielne. Uczestnicy odrębnie tańczą tańce latynoamerykańskie, takie jak samba, cha-cha, rumba, jive i tańce standardowe, czyli walc angielski, tango, walc wiedeński, quickstep. W klasie „D” dochodzą dodatkowo dwa tańce – pasodoble i foxtrot.

Obecnie w salach balowych przeważa walc powolny (*slow waltz*), wywodzący się od *Valse Boston*, który przybył do Europy ze Stanów Zjednoczonych po 1870 roku i zyskał popularność na przełomie wieków. *International Standard Waltz* tworzą wyłącznie figury zamknięte, w przeciwieństwie do *American Style Waltz*. Na walce często są adaptowane melodie popularne, przykładowo: *Ramona* (1927), *Parlami d’amore, Mariù* (1933), *The Last Waltz* (1970).

Choć popularność walca drastycznie zmalała po drugiej wojnie światowej, to także w drugiej połowie XX wieku w dalszym ciągu funkcjonował jako taniec użytkowy, a co więcej do dziś pojawia się jako muzyka do tańca w bardzo wielu filmach, gdzie znalazł też nieoczekiwane nowe pole eksploracji – w przestrzeni nowej muzyki XX wieku. Powracał też nieznacznie w piosenkach.

W przypadku muzyki wysokiej XIX i XX wieku niejednokrotnie trudno stwierdzić na ile kompozytorzy inspirowali się

walcami użytkowymi, popularnymi, a na ile walcem stylizowanym, który rozwinął się w muzyce wielkich romantyków, z Chopinem i Lisztem na czele.

### Teatr muzyczny podszty walcem

Również w dwudziestowiecznej operze pojawiał się walc, a z kręgu muzyki polskiej przywołać warto bardzo często wykonywany *Walc Caton* z III aktu opery *Casanova* na sopran i orkiestrę (1922) Ludomira Różyckiego. W muzyce baletowej wyróżnia się *Valse d'amour* z *Suity baletowej D-dur* na orkiestrę op. 130 (1913) Maxa Regera oraz walc z baletu *Kopciuszek* (1944) Sergiusza Prokofiewa. Pięknymi przykładami walca w muzyce teatralnej są *Valse triste* Jeana Sibeliusa (1865-1957) do sztuki *Kuolema* (1903) oraz muzyka do sztuki Michaiła Lermontowa *Maskarada ormiańskiego kompozytora Arama Chaczaturiana* (1903-1978), która została wykorzystana w ekranizacji epopei Lwa Tołstoja *Wojna i pokój* (2007).

### Walc w operetkach

U progu XX wieku operetka, jako wyodrębniony gatunek muzyczny, zaczęła skutecznie konkurować z operą i prawie w każdej z operetek można odnaleźć właśnie – walc. Zresztą część kompozytorów aktywnych pod koniec dziewiętnastego stulecia kontynuowała działalność po I wojnie światowej, a przede wszystkim Franz Lehar (1870-1948), węgierski kompozytor, którego twórczość operetkowa jest porównywana do twórczości słynnej wiedeńskiej rodziny Straussów.

W Wiedniu na utalentowanego muzyka zwróciła uwagę Księżna Paulina Metternich i poprosiła go o dyrygowanie orkiestrą na balach karnawałowych w 1901 i 1902 roku. Specjalnie na jedną z takich okoliczności Lehar skomponował *Złoto i srebro* (*Gold und Silber*, 1902), który okazał się pierwszym walcem instrumentalnym XX wieku. Takie operetki jak *Wesoła Wdówka* (1905) Lehara czy *Hrabina Marica* (1924) Imre Kálmána (1882-1953) cieszą się uznaniem publiczności do dziś, a ich wdzięczne melodie zapisały się w zbiorowej pamięci emocjonalnej.

Po wojnie prężnie działającym ośrodkiem stał się Berlin, gdzie wielką popularnością cieszyły się operetki Paula Abrahama (1892-1960). Operetka *Kwiat Hawajów* (*Die Blume von Hawaii*, 1931) zawiera m.in. trzy arie w formie walca (*Lautlos glitt der Dampfer*, *Will dir die Welt zu Füßen legen*, *Du traumschöne Perle der Südsee*), natomiast do *Balu w Savoyu* (*Ball im Savoy*, 1932) kompozytor wprowadził obok walca angielskiego modne tańce nowoczesne, takie jak fokstrot, tango i pasodoble.

Operetka zaczęła tracić swoją popularność, zwłaszcza po II wojnie światowej na rzecz misicalu i filmu, jednakże powstawały (i powstają do dziś) nowe kompozycje tego gatunku. Znaczącym kompozytorem operetek w tym okresie był Izaak Dunajewski (1900-1955), a najbardziej znany z jego walców to duet z operetki *Swobodny wiatr* (1947).

Możliwość zapisywania dźwięku zapoczątkowana w 1888 roku przez fonograf Edisona spowodowała przełom w świecie muzyki i jej odbioru, a wraz z wynalezieniem przez Emila Berlinera gramofonu i popularyzacją radia, także muzyka grana na żywo do tańca zaczęła tracić na znaczeniu. Nastąpiła era *Disc Jockey'a* – nie jest to pojęcie nowe, bo po raz pierwszy zostało użyte w 1935 roku przez Waltera Winchella w odniesieniu do Martina Blocka, pierwszego radiowca, który uchodził w swoim zawodzie za gwiazdę.

### Nowa muza – film

Poczesne miejsce zajął walc również w muzyce filmowej, która można powiedzieć stoi na pograniczu nurtów, korzystając ze środków muzyki wysokiej, a równocześnie pełniąc funkcję użytkową i będąc podporządkowaną obrazowi. Z jednej strony w filmie wielokrotnie wykorzystywano walce dawnych kompozytorów, a z drugiej stwarzał on zapotrzebowanie na nowe kompozycje, które cieszyły się niezwykłą popularnością. Należy wymienić w tym miejscu *The Godfather Waltz* (1968) Nino Roty, a z kompozytorów polskich; Waldemara Kazaneckiego (1926-1991) *Walc Barbary* z filmu *Noce i dnie* (1975) oraz *Walc* z filmu *Ziemia Obiecana* (1974) i *Walc* z filmu *Trędowata* (1976) Wojciecha Kilara (1932-2013). Nie sposób pominąć filmów produkcji Disneya, dzięki którym walc utrzymuje się w kulturze masowej; do znaczących przykładów należy ten z *Kopciuszką*, zarówno w wersji animowanej (1950) z muzyką Olivera Wallace'a i Paula J. Smitha, jak i aktorskiej (2015) z muzyką Patryka Doyle'a. Warto wymienić także walc Arvo Pärta z filmu *Ukuaru* (1973) Leidy Laiusa, który został wydany później oddzielnie jako *Ukuaru Valls* (2013). Kompozytor posługuje się w nim prostym językiem muzycznym, wyraźnie zakorzenionym w romantyzmie.

### Walc w piosence

Walc zajął znaczące miejsce w muzyce popularnej, występuje w piosenkach, a wykonywany przez Deana Martina walc *That's amore* (1953) Harry'ego Warrena podbił świat.

W muzyce polskiej królem walca nazywany był Adam Józef Karasiński (1868-1920), znany z niezwykle popularnego *Walca François* (1905). Walc ten pochodził z repertuaru Toli Mankiewiczówny, ale śpiewali go Adam Wysocki, Mieczysław Fogg, Marta Mirska oraz Irena Santor. Uważa się go za pierwszy utwór polskiej muzyki popularnej, który zdobył światową popularność. Innym przykładem może być piosenka *Wien, du Stadt meiner Träume* (*Wiedeń, miasto moich marzeń*, 1914) Rudolfa Siczynskiego (1879-1952), włączona do repertuaru Trzech Tenorów w latach dziewięćdziesiątych, a także wykorzystana przez Stanleya Kubricka w filmie *Oczyszczono zamknięte* (1999). Podobną popularność zyskał walc Henryka Warsa (1902-1977) *Miłość ci wszystko wybaczy* (1933) z repertuaru Hanki Ordonówny. Po II wojnie światowej uznaniem cieszył się *Walc Wspomnienie* (1967) z repertuaru Czesława Niemena czy walc *Cała sala śpiewa* śpiewany przez Jerzego Połomskiego (1959), a także

*Walc brillante* Zygmunta Koniecznego (ur. 1937) wykonywany brawurowo przez Ewę Demarczyk.

### Cały ten jazz

Jazz, który narodził się w Nowym Orleanie, u progu XX wieku zawojował najpierw Amerykę, a następnie rozpoczął tryumfalny pochód przez stary kontynent, m.in. dzięki osobowości znakomitego wokalisty i instrumentalisty w jednej osobie, Louisa Armstronga (1901-1971). Szczyt popularności tego gatunku przypadł na lata 1920-1960. Co ciekawe jazz, wchłaniający różnorodne tradycje muzyczne, wytworzył również swoistą odmianę walca; do historii przeszedł swingujący walc z filmu *Na skrzydłach sławy* (1939). Nierzadko walc jazzowy pojawiał się w produkcjach Disneya; Sammy Fain skomponował walc do *Alicji w Krainie Czarów* (1951), a utwór ten włączył do repertuaru Bill Evans. Z kolei *Someday My Prince Will Come* to melodia Franka Churchilla ze słowami Franka Morey'a napisana do filmu animowanego Walta Disney's *Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków* z 1937 roku. Do interesujących przykładów utrwalonych w kulturze należy również *Jitterbug Waltz* (1942) pianisty Fatsa Wallera, popularny w latach sześćdziesiątych *Bluesette* Tootsa Thielemansa, *Footprints* saksofonisty Wayne'a Shortera (nagranie 1966), *All Blues* (1959) Milesa Davisa, *Ugly Beauty* (nagranie 1968) pianisty i kompozytora Theloniousa Monka oraz *West Coast Blues* (nagranie 1960) Wesa Montgomery'ego.

### W duchu stylizacji

Walc inspirował kompozytorów muzyki poważnej – i to od najdawniejszych walców Franza Schuberta, który zainteresował się nowym, modnym tańcem, aż po kompozytorów XXI wieku, którzy z zalem spoglądają na minioną epokę. Jednak wraz ze schyłkiem XIX wieku przeminęła idea kompozytora-wirtuoza, a związek kompozycji i wykonawstwa instrumentalnego zaczął się rozluźniać w wyniku czego wykształcił się nowy model pianisty-wirtuoza wykonującego utwory dawnych mistrzów.

Pojawiały się kompozycje pisane w duchu neoromantyzmu, jak *Valse Romantique* (1890) Claude'a Debussy'ego i *Quasi Valse op.74* (1903) Aleksandra Skriabina. Są to wczesne utwory obu kompozytorów, pisane na początku ich drogi kompozytorskiej, jeszcze w zapatrzaniu na wielkich poprzedników, przede wszystkim Liszta i Chopina. Tak samo było w przypadku Karola Szymanowskiego i jego *Walca romantycznego* (1925). Szymanowski umieścił walc także w swojej operetce *Loteria na mężów* (1908-1909). W tym nurcie komponował również Bohuslav Martinů (1890-1959) swoje *Skici - Szkic nr 3 Valse* oraz niezwykle popularny walc *Colombina tańczy* ze zbioru *Marionetten*. Kompozytorem, który swoją twórczością wkracza w XX wiek, ale nie wychodzi poza konwencje XIX-wieczne jest Sergiusz Rachmaninow. Napisał on walce o charakterze salonowym – *Valse* (1894) ze zbioru *Morceaux de salon*, *Valse* na fortepian na sześć rąk (1891) oraz *Valse* (1894) z *Six Morceaux*.

W tym miejscu należy wymienić również Frédérica Devreese (ur. 1929), belgijskiego kompozytora muzyki filmowej, który stworzył liczne walce na różne obsady; *Valse Sacrée* (1989) na orkiestrę, 4 *Short Waltzes* na cztery flety proste (1979), *Valse Sa* na zespół kameralny (1987), a na fortepian *Short Waltzes* (1997) i 9 *Waltzes* (2001). Niektórzy kompozytorzy nawiązywali wprost do modnego w dobie romantyzmu stylu brillante, jak Andrzej Działek: w swoim *Valse brillante* i Marek Stachowski w *Cinq petites valse*, No.5 *Valse brillante*. Ze środków wypracowanych przez styl brillante czerpał również Samuel Barber w *Souvenirs - No.1 Waltz* (1952).

Walc znalazł rezonans w muzyce francuskiej, jeszcze końca XIX wieku: u Camille'a Saint-Saënsa, Claude'a Debussy'ego (*Valse Romantique*, 1890, *La plus que lent*, 1910), a wreszcie Maurice'a Ravela. Ravel skomponował około dwudziestu walców, w tym słynne *Valses nobles et sentimentales* (1911) i poemat choreograficzny *La valse* (1918), który miał być wspomnieniem balu z 1855 roku, a stał się fantastyczną wizją tańca. Odnieść można wrażenie, że wokół sali balowej krążą nie tylko tancerze, ale również duchy przeszłych pokoleń i demony. George Benjamin w swojej analizie odczytał *La valse* jako metaforę sytuacji cywilizacji europejskiej po zakończeniu wielkiej wojny, dostrzegając w narracji utworu narodziny, rozkład i śmierć gatunku muzycznego – walca. Sam kompozytor, odrzucał takie odczytanie kompozycji. Jak napisał w jednym z listów:

„Choć niektórzy widzą próbę parodii, karykatury, inni dostrzegają tragiczną aluzję do upadku II Cesarstwa Francuskiego, sytuacji w Wiedniu po wojnie etc., to ten taniec może wydawać się tragiczny, tak jak każda emocja... doprowadzona do granic. Ale powinno się zwracać uwagę na to, co muzyka wyraża: wznoszącą progresję brzmieniowości”<sup>12</sup>.

Tropem poszukiwania nowych brzmień poszedł także Charles Edward Ives (*Waltz*, 1911), znany przede wszystkim z utworów reprezentujących amerykański transcendentalizm; monumentalnej *Sonaty Concord* i czterech symfonii.

W nurcie neoklasycyzmu walce komponowali Francis Poulenc (*Valse*, 1919) oraz Igor Strawiński, który w *Trois pieces faciles pour piano a trois mains* No.3 wyraźnie utrzymuje tempo i lekki charakter tańca, a zaskakuje nowatorskimi rozwiązaniami harmonicznymi. Walc inspirowany folklorem, utrzymany w typowym dla kompozytora języku harmonicznym, znalazł się w zbiorze Béli Bartóka *Bagatelles op. 6* (XIV - *Valse: Ma mie quie danse. Presto*).

Należy wymienić także Dymitra Szostakowicza (1906-1975) i jego *Puppen Tanze - No.1 Lyrischer Walzer*, aczkolwiek utwory te nie odbiegają znacząco językiem muzycznym od konwencji poprzedniego wieku. Inaczej jest w przypadku *Waltz 2* z *Suity* z filmu *The First Echelon* op. 99a (1956), opracowanego później jako część *Suite for Variety Orchestra* (po 1956 roku), a który należy do najpopularniejszych walców wszechczasów.





Jednakże kompozytorzy nie zawsze odnosili się pozytywnie do wzorców dawnej epoki. Walc stał się melodią przeszłości, a niektórzy obierali go za obiekt groteski, czego przykładami są *Pietruszka* (1911) Igora Strawińskiego (cytat *Die Schönbrunner Lannera*), *Masquerade* (1939) Arama Chaczaturiana czy też *Suita Walców* op.110 (1947) Sergiusza Prokofiewa. Pewnego rodzaju grą z konwencją jest *Funf Klavierstucke* op.23 No.5 Walzer Arnolda Schönberga w technice dodekafonicznej, całkowicie obcej konwencjom gatunku.

W muzyce polskiej walc pojawił się w twórczości wielu kompozytorów awangardy powojennej, między innymi Grażyny Bacewicz (*Suita dziecięca* Nr 3 *Walc*, 1933), Kazimierza Serockiego (*Krasnoludki* Nr 5 *Walczyk*, 1953), a także Zygmunta Krauzego (*Music Box Waltz*, 1977). Grę z konwencją gatunku podjęli również w latach dziewięćdziesiątych XX wieku Piotr Radko (*Pięć utworów na fortepian* - No.3 *Melancholijny walc*, 1993) i Marek Stachowski w zbiorze *Cinq petites valse* – nr 1 *Valse ironique quasi dodecaphonique*, nr 2 *Valse railleuse*, nr 3 *Valse melancholique*, nr 4 *Valse a la Bethena*, nr 5 *Valse brillante* (1997-1998).

Walc stawał się również źródłem inspiracji dla utworów innych gatunków, takich jak symfonie i koncerty instrumentalne, można wspomnieć chociażby drugą część *Kwintetu fortepianowego* oraz *Koncert na fortepian i smyczki* ( Fig. 23 - Tempo di Valse) Alfreda Schnittkego (1934-1998).

Najpopularniejsze walce XIX wieku obecnie są wykonywane i tańczone na balach nie tylko w ojczyźnie walca, w Wiedniu, ale i na całym świecie. Wielkim popularyzatorem muzyki salonowej XIX wieku jest André Rieu, założyciel Orkiestry Johanna Straussa. O skali jego popularności może świadczyć to, że walc Szostakowicza w wykonaniu tego zespołu ma ponad sześćdziesiąt milionów odsłon na portalu Youtube , a orkiestra rok rocznie odbywa tournée koncertowe po całym świecie. Wydał on ponad pięćdziesiąt CD i DVD. Rieu wykonuje zarówno klasyczne walce Straussów, jak i współczesne kompozycje, takie jak jazzujący *La petite valse* Joego Heyne'a (1904-1978), Edelweiss z *The sound of music* (1965), *The Marino Waltz* (nagranie 1987) Johna Sheahana (1939-), irlandzkiego kompozytora czerpiącego z muzyki celtyckiej, a wreszcie walc *And the Waltz Goes on* (1964) aktora Anthony'ego Hopkinsa. Ponadto Rieu sam komponuje, m.in stworzył własną aranżację *Dreaming of New Zealand* (nagranie 2011), a także skomponował walc z okazji dziewięćdziesiątych urodzin królowej Elżbiety *The Windsor Waltz* (2016).

Walc, choć wywodzi się z odległej epoki, wciąż jest gatunkiem podejmowanym na nowo przez kompozytorów zarówno muzyki popularnej, jak i wysokiej. Mimo upływu lat, jego urok, lekkość i elegancja zachowały swój wdzięk i fascynują do dziś.

*Zatańcz ze mną walca,  
a powiem ci kim jesteś...*

Przypisy:

1. Maria Drabecka, *Tańce historyczne*, tom 5, Centrum Animacji Kultury, Warszawa 2000, s. 116.
2. Andrew Lamb, *Waltz*, hasło [w:] *The New Grove Dictionary of Music and Musicians*, second edition, London-New York 2001.
3. P. Krakowski, *Architekt w wieku XIX Artysta czy inżynier? Folia Historiae Artium*, t. XXVI, 1990, s. 115-131.
4. W. Braniewski, *Klasycyzm a nowy monumentalizm*, [w:] *Klasycyzm i klasycyzmy*, Materiały sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Warszawa 1994, s.229-238.
5. M. Wallis, *Secesja*, Warszawa 1984, s. 148-150.
6. Z. Tołłoczko, *Sen architekta*, Wydawnictwo P.K, Kraków 2015, s.210
7. Norman Davies, *Europa*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1998, s. 981.
8. M.P. Markowski, *Derrida: Filozofia czy literatura*, Pamiętnik Literacki LXXXVII 1996, z I PL, s. 16
9. Andre Malraux, *Ponadczasowe*, KAW, Warszawa 1976, s.286
10. Rock, hasło w: *Wikipedia, wolna encyklopedia* [[https://pl.wikipedia.org/wiki/Rock#cite\\_note-pwn-1](https://pl.wikipedia.org/wiki/Rock#cite_note-pwn-1), dostęp 15.04.2020 r.]
11. George Benjamin, *Last Dance*, „*The Musical Times*” nr 1817/1994, s. 432-435.
12. Maurice Ravel, *list do Maurice Emmanuela*, 14 Październik 1922, [w:] *A Ravel Reader: Correspondence, Articles, Interviews*, Columbia University Press, New York 1990, s. 229.
12. [<https://www.youtube.com/watch?v=ua04o-ExoY>; dostęp 21.03.2020 r.]
13. André Rieu, *And the waltz goes on*, DECCA 2011

# JAN TUTAJ



## WYSTAWA RZEŻBY KRYSTYNY NOWAKOWSKIEJ I JERZEGO NOWAKOWSKIEGO

ZORGANIZOWANA W RAMACH 50.SYMPOZJUM NAUKOWEGO  
Z CYKLU „WSPÓŁCZESNA GOSPODARKA I ADMINISTRACJA  
PUBLICZNA”, ZAKOPANE 17-19 STYCZNIA 2020 ROKU.



Krystyna Nowakowska, *Introwersja I*, Brąz  
granit, 2019

Tradycją sympozjów z cyklu „Współczesna gospodarka i administracja publiczna”, organizowanych przez Fundację Gospodarki i Administracji Publicznej oraz Kolegium GAP Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, stało się prezentowanie wystaw towarzyszących, ukazujących dokonania studentów i pedagogów związanych z Akademią Sztuk Pięknych w Krakowie. Zorganizowane dotychczas ekspozycje przedstawiły w szczególności dorobek dydaktyczny wybranych pracowni i kierunków studiów, w zasadniczy sposób wzbogacając problematykę poszczególnych sympozjalnych spotkań.

Ideą przewodnią tak kształtowanej „polityki” programowej stało się nie tylko wzbogacenie i urozmaicenie naukowych debat oraz niezwykle cennych paneli problemowych ale przede wszystkim ukazanie, że problematyka sztuki powinna być istotnym czynnikiem rozszerzającym nasze postrzeganie świata i jego złożoności, nierzadko w sposób intrygujący wzbogacając nasze jego rozumienie.

W długiej już historii sympozjów (w styczniu br. zorganizowano bowiem jubileuszowe, 50-te) miało miejsce dwadzieścia pięć tego typu prezentacji, wpisujących się w linię programową wykładów i inspirujących, bardzo ożywionych dyskusji. Organizatorzy starali się przy tym, aby propozycje goszczących artystów swoją artystyczną formą prezentowały odpowiedni poziom artystycznej formy a zarazem tworzyły frapujący przekaz i swoiste edukacyjne dopełnienie naukowej debaty.

Odbywająca się w styczniu br., jak wspomniałem wcześniej, jubileuszowa edycja „GAP-owskiego” Sympozjum nie mogła zatem odbyć się bez odpowiednio przygotowanej wystawy towarzyszącej, w jakiś wyjątkowy sposób dopełniającej tak szczególnie wydarzenie. Już zapowiedziany wcześniej program wydarzenia wskazywał, że będzie to spotkanie nieco odmienne bo przecież tak okazały jubileusz jednak zobowiązuje... Gospodarz, inicjator i „siła sprawcza” Sympozjum, czyli prof. Jerzy Hausner, zaprosił do zaprezentowania swego dorobku twórczego artystów rzeźbiarzy - Krystynę i Jerzego Nowakowskich. Warto tu podkreślić, że współpraca prof. Jerzego Nowakowskiego z Fundacją GAP oraz Agencją Artystyczną GAP rozpoczęła się już w roku 2005, wówczas





Krystyna Nowakowska z rzeźbą *Krzesło XXI* z cyklu *Zatraceni*, brąz 2008

profesor pełnił funkcję prorektora do spraw studenckich Akademii Sztuk Pięknych, a jej owocem było m.in. współtworzenie programu sympozjalnych wystaw czy organizacja pokazów wybranych dyplomów absolwentów ASP na terenie Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Wybór tej pary twórców stał się zatem naturalnym podsumowaniem trzydziestoletniej cennej artystyczno-naukowej współpracy oraz długoletniej przyjaźni.

Zaproszeni artyści - absolwenci Wydziału Rzeźby krakowskiej ASP, to twórcy posiadający okazały dorobek rzeźbiarski oraz nie mniejszy wykaz osiągnięć wystawienniczych.

Krystyna Nowakowska dała się poznać jako artystka, której swoistym „znakiem firmowym” stały się postaci metaforycznie ukazanych figur kobiecych. Ekspresyjne

ujęcia kobiecej sylwety, eksponujące nie tyle jej banalną sensualność, ale wyczułoną ulotność i duchowo-symboliczny wymiar, wpisują się zdecydowanie bardziej w nurt poetyckiej nostalgii czy odwołań ku antycznej Nike lub anielsko zwiewnych figur, niżeli trywialnie demonstrowanej cielesności. Artystkę interesuje szczególnie wieloznaczność kobiecej natury i jej złożona psychologia, siła kruchego a zarazem pełnego energii ciała ujmowanego wszelako metaforą rzeźbiarskiej formy. Dominującym motywem kompozycyjnym są ujęcia wertykalne, nierzadko wzbogacane miękko prowadzonym łukiem diagonalnej dynamiki, akcentującej ekspresję ruchu, napięcia emocji czy tanecznej fantazji. W dorobku artystki dominują dzieła wykonane w ulubionej, jak się zdaje, technice odlewu z brązu na tzw. wosk tracony, co pozwala na przeniesienie i utrwalenie w ostatecznej formie rzeźby śladów dotyku materii i oddaniu niuansów ekspresji rzeźbiarskiego gestu. Trwałość i stałość metalu, jego barwa i ciężar zdają się być w intencji twórczyni siłami przeciwnymi ulotności i linearności wielu kompozycyjnych ujęć a przede wszystkim oczekiwanej wyrazowo-treściowej narracji.

Zaprezentowane na omawianej wystawie prace, mimo pewnego zróżnicowania skali, ukazały pewną ciągłość artystycznej drogi a przede wszystkim konsekwencję stylistyczno-formalną i determinację ideowo-problemowych dociekań.

Krystyna Nowakowska w swoim dorobku posiada realizacje rzeźb plenerowych w Krakowie – Szpital Wojskowy – i w Mikołowie – centrum miasta. Uczestnicząc w wielu wystawach za prezentowane rzeźby otrzymała wiele nagród, m. in. , w roku 2006 na XI Salonie Sztuki Stowarzyszenia Twórczego POLART w Krakowie Srebrny Medal, a na XV Salonie w roku 2010 Medal Złoty. W roku 2016 została odznaczona Brązowym „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej





Nowakowski *Spadanie*, brąz , granit

Twórczość rzeźbiarska Jerzego Nowakowskiego to natomiast zjawisko, które łączone być musi także z jego kilkudziesięcioletnim doświadczeniem dydaktycznym. Artysta jest bowiem profesorem zwyczajnym Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, długoletnim pedagogiem Wydziału Rzeźby, który w swojej karierze pełnił zaszczytne ale i odpowiedzialne funkcje dziekana macierzystego wydziału oraz prorektora uczelni. Artystyczne dokonania prof. Jerzego Nowakowskiego to dorobek rzeźbiarza, medaliera oraz twórcy form monumentalnych, nie stroniącego jednakże od wypowiedzi malarskich i rysunkowych.

Na zakopiańskiej wystawie zaprezentowany został przekrojowy wybór rzeźbiarskich osiągnięć Artysty. W formie kilku plansz pokazane zostały m.in. wybrane dzieła plenerowe z przestrzeni miejskich kilku polskich miast. Istotną część wystawy stanowił pokaz kilkunastu rzeźb i płaskorzeźb z najbardziej charakterystycznych cykli tematycznych, których motywem przewodnim jest bryła kuli i jej formalne wariacyjne przetworzenia, czego przykładami są dzieła z cyklu „Introwersje” , „Bramy” czy zestaw pt. „Spadanie”. W dorobku twórcy dominują prace zrealizowane w brązie, często z towarzyszącymi mu, znacząco zestawianymi elementami z naturalnego, ekspresyjnie zestawianego kamienia. Interującym kontrastem na wystawie jest „Przejście” ,



Krystyna i Jerzy Nowakowscy

rzeźba wykonana z drewna z elementami malarskimi, która pokazuje nieszablony a zarazem intrygująco metaforyczny przykład formalnej różnorodności.

Zasadniczym jednak elementem składowym omawianej wystawy wydaje się być prezentacja dorobku medalierskiego Jerzego Nowakowskiego, ukazująca zarówno bogactwo rozwiązań kompozycyjnych, formalnej oryginalności jak i rozpiętości tematycznej. W swej karierze rzeźbiarskiej Twórca szczególnie czynnie wykorzystywał medal jako formułę swej rzeźbiarskiej wypowiedzi. Artysta nadal niezwykle aktywnie realizuje się w tej, wymagającej skupienia a zarazem trafnej artystycznej puenty, twórczej formule. Precyzja, czytelność przekazu, skrótowość a zarazem celność komunikatu sprawiają, że medal właśnie jest porywającą a zarazem mocno wymagającą „odmianą” rzeźbiarskiej praktyki. Imponować może tu nie tylko jakość warsztatu i technologicznej wręcz perfekcji ale cenna „płodność” wyobraźni i wartość artystyczno-wyrazowej metafory.

Obfitość i zróżnicowanie osiągnięć twórczych prof. Jerzego Nowakowskiego nie pozostała, co zrozumiałe i warto podkreślić, bez właściwego docenienia. Artysta ma bowiem w swoim dossier wiele znaczących nagród i wyróżnień m.in. Srebrny Medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP czy „Złoty Laur” za „Mistrzostwo w Sztuce Rzeźbienia” Fundacji Kultury Polskiej.

Jak wspominałem na wstępie, dobór artystów i dzieł przy okazji naukowych spotkań społeczności GAP-u nie jest przypadkiem. Cennym wydaje się szczególnie zestawienie precyzyjnie dobranej tematyki i problematyki społeczno-naukowego programu sympozjów z próbą uwypuklenia wagi i istotnej roli kultury i sztuki w refleksji nad komplementarnym rozumieniem współczesności oraz jej wyjątkowej wartości w kształtowaniu przyszłości.

Przekonany zatem jestem, że także wystawa rzeźbiarskiej pary - Krystyny i Jerzego Nowakowskich, zaprezentowana na ostatnim, jubileuszowym 50-tym Sympozjum Naukowym z cyklu „Współczesna gospodarka i administracja publiczna” w



Krystyna i Jerzy Nowakowscy

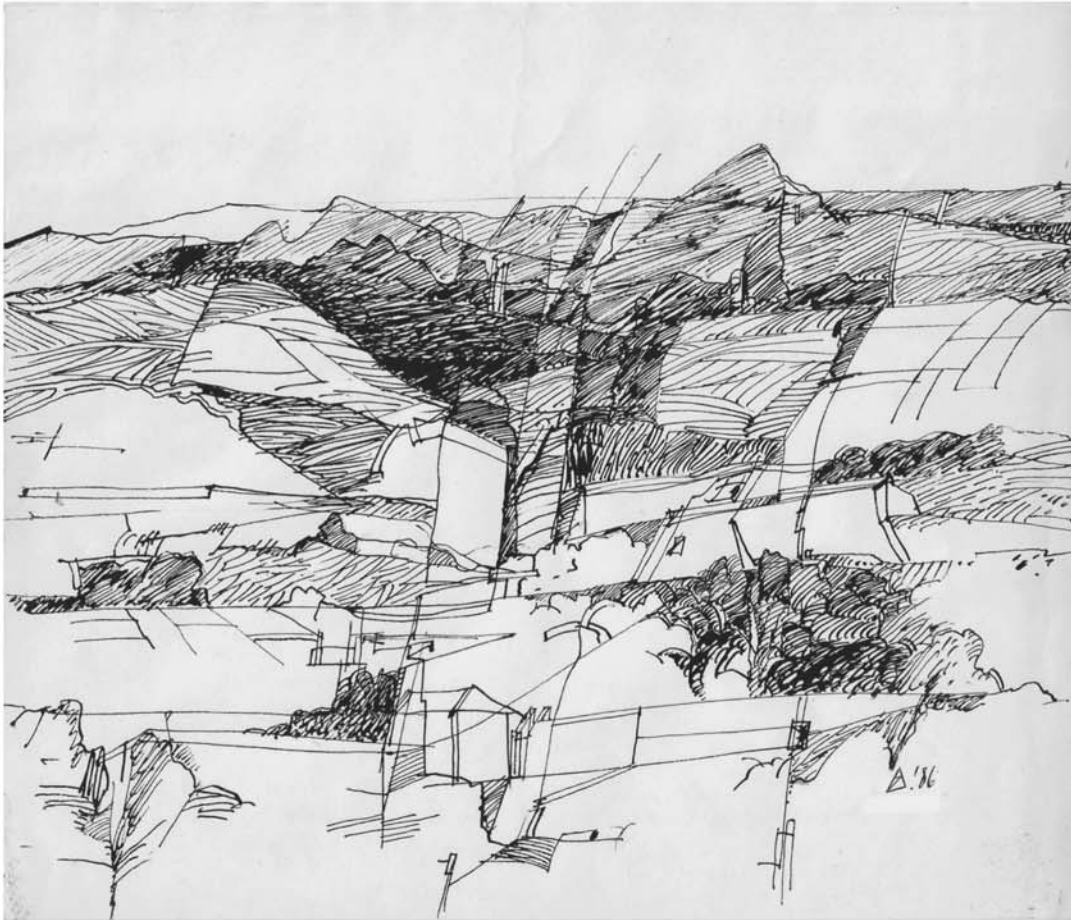
Zakopanem, stała się przyczynkiem do budowy świadomości o istocie kultury i sztuki w kształtowaniu nie tylko wrażliwości ale i wartości humanistycznego rozwoju społeczeństwa opartego na nowocześnie rozumianej tradycji.

*Prof. ASP Jan Tutaj*

*Prorektor Akademii Sztuk Pięknych im.  
Jana Matejki w Krakowie*

*Kraków , luty 2020 r.*





RPArt / Ardeche 86 rys.

Andrzej Ziębliński

**Prof. dr hab. Andrzej Ziębliński** - artysta sztuk wizualnych, projektant - ur. 1946 w Krakowie - studiował w Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Malarstwa i Grafiki - dyplom w 1971 roku w ASP w Krakowie w pracowni prof. Wacława Taranczewskiego. Jest profesorem zwyczajnym, prowadził pracownię Działań Wizualnych. Od 1987 kierował Katedrą Sztuk Wizualnych na Wydziale Form Przemysłowych ASP w Krakowie. Od 1999 do 2005 i od 2012 do 2016 pełnił funkcję dziekana W FP, ASP w Krakowie. Pracuje twórczo w zakresie malarstwa, rysunku, projektowania graficznego, malarstwa architektonicznego i proj.witraży. Brał udział w ponad 210 wystawach zbiorowych oraz miał 30 wystaw indywidualnych. M.in. Członek Zarządu TPSP Kraków, wiceprezes POLART. W tym numerze Hybrydy prezentowane są wybrane rysunki z podróży artystycznej do Prowansji.





# MONIKA KOZIOŁ



## KATEDRA TRZEBIATOWSKIEGO

Cykl Katedra Janusza Trzebiatowskiego, zapoczątkowany w 2017 roku, ma swoją genezę w pobycie artysty w Armenii na początku lat 90. Obecnie składa się z ponad czterdziestu prac, które nie tworzą jednolitego zbioru. Zastosowanie zróżnicowanych środków formalnych oraz wieloaspektowe ujęcie tematu sprawia, że można wydzielić kilka grup obrazów, a każda z nich otwiera nowe pole interpretacji. W obrębie cyklu możemy wyróżnić kilka powtarzających się form, pełniących funkcję znaków, które składają się na język wypowiedzi artystycznej. Są to między innymi: budowle sakralne, chaczkarzy, dwuskrzydłowe wrota, maswerki, okna zwieńczone półokrągłym łukiem, ostrołuki, sklepienia, szczyty dachów, sztandary, wieże. Artysta najczęściej umieszcza jedną z tych form na jednolitym tle. Stosując oszczędne środki formalne nierzadko zbliża się do abstrakcji geometrycznej. Dopiero bliższa obserwacja danego przedstawienia ujawnia jego wizualne podobieństwo z fragmentami architektonicznymi – na przykład z półokrągłymi łukami okien. Utrzymane w ograniczonej kolorystyce obrazy (dominuje czerń, biel, błękit, zieleń) są surowymi formalnie ujęciami tematu. Szczególnie ważną rolę odgrywa w nich biel. Artysta świadomie rezygnuje z nakładania białej farby olejnej na płótno, wykorzystując barwę podłoża. Obok tak konstruowanych przedstawień pojawiają się także prace, w których płasko kładziony kolor sąsiaduje z dekoracyjnie potraktowaną powierzchnią płótna, uzyskiwaną między innymi za pomocą techniki impastu. W tych obrazach przebija się charakterystyczny dla Janusza Trzebiatowskiego styl wypracowany w malarstwie. Jest on także widoczny w sposobie formowania koloru, który przechodzi od ciemnych tonów umieszczanych na krawędziach ku jasnemu centrum. Dzięki takiemu rozwiązaniu mamy wrażenie wewnętrznego rozświetlania się malowanego obiektu. Taki wachlarz zastosowanych środków formalnych, który akcentuje i skupia uwagę widza na centralnie umieszczonym przedmiocie, wytwarza przestrzeń sprzyjającą refleksji nad istotą malarstwa i dopowiadaniu historii znajdujących się poza płótnem obrazu.

Za wybranymi i namalowanymi przez artystę motywami kryją się odniesienia do historii sztuki, filozofii, czy religii, w tym wypadku pojmowanej jako uniwersalne doświadczenie duchowe. I tak tytuł cyklu oraz wybrane z niego obrazy, ukazujące

na przykład okna zakończone ostrym łukiem, maswerki czy fragment przetworzonego sklepienia palmowego, bezpośrednio kojarzą się z katedrą gotycką<sup>1</sup>, której poszczególne elementy architektoniczne kryją bogatą symbolikę. Sama budowla była symbolem Niebiańskiego Jeruzalem. Natomiast umiejscowione w zachodniej ścianie portale to „bramy rajy” prowadzące w stronę ołtarza, czyli „ku niebu”. Była to droga wiodąca od świata świeckiego (profanum) do przestrzeni sacrum<sup>2</sup>. To jedynie kilka przykładów z bogatej symboliki katedry. Jednak to co istotne, to przekonanie, że poprzez kontemplację wnętrza budowli możliwe było dotarcie do Absolutu. Zachwyt nad materią miał prowadzić do rozwoju duchowego. Ważnym elementem w procesie kontemplacji było światło, nie tylko to przenikające przez okna witrażowe kościołów gotyckich, na co pozwalała ich konstrukcja, ale także to odbijające się od bogatego wyposażenia, wykonanego ze złota i kamieni szlachetnych<sup>3</sup>. Światło jako zjawisko fizyczne było utożsamiane z boskim światłem, którego zadaniem było także duchowe upiększanie wiernych<sup>4</sup>. W cyklu Katedra Janusz Trzebiatowski także eksploruje temat światła, w ujęciu symbolicznym i formalnym. W kontekście tej serii obrazów interesujące może być także wpisanie figury ludzkiej w rzut katedry gotyckiej. Takie myślenie ma swoją genezę w dziele Witruwiusza<sup>5</sup>, który proporcje ludzkiego ciała przełożył na język architektury. Janusz Trzebiatowski natomiast dostrzega sylwetkę człowieka w bryle budowli sakralnej, potęgując to wrażenie poprzez użycie ciepłych ugrów. Człowiek jest tutaj miarą wszystkiego. Ważną grupę obrazów tworzą przedstawienia monumentalnych chaczkarów – kamiennych płyt wotywnych upamiętniających wydarzenie lub osobę, charakterystycznych dla kultury ormiańskiej. Dosłowne znaczenie słowa „chaczkar” to „kamień – krzyż”. Ich powierzchnię zdobiono roślinnym ornamentem, który symbolizował życie i zmartwychwstanie. Inny trop interpretacyjny to wątek biograficzny artysty i jego pobyt w Armenii. Zawarte w obrazach refleksje po pobycie tworzą miejsce pamięci osobistej artysty, co także ujawnia się w pracach inspirowanych sylwetką bazyliki w rodzinnych Chojnicach.

# STANISŁAW DZIEDZIC



## KATEDRY TRZEBIATOWSKIEGO W LUBLINIE

Na skraju pięknej i pieczołowicie w ostatnich latach odnowionej lubelskiej Starówki, w salonie artystycznym „Umblicus urbis” („Pępek miasta”), należącym do Fundacji Villa Polonia, 24 lutego br. odbył się wernisaż wystawy dzieł malarskich krakowskiego artysty Janusza Trzebiatowskiego – „Armenia. Szlakiem katedr i chaczkarów”. Wystawa ta obejmuje około 20 obrazów wykonanych techniką suchego pastelu. Jest ona wspólnym przedsięwzięciem warszawskiego Muzeum Niepodległości i Fundacji Willa Polonia z Lublina, a jej lubelską odsłonę poprzedziła prezentacja w Galerii Malarstwa Historycznego w Muzeum Niepodległości. Wernisaż warszawskiej wystawy odbył się w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej 18 grudnia 2019 roku, z udziałem Janusza Trzebiatowskiego, przewodniczącego Rady Fundacji Ormian – Macieja Bohosiewicza, dr Jana Sęka – Przewodniczącego Rady Muzeum Niepodległości, prezesa Fundacji Villa Polonia. Warszawski wernisaż zgromadził licznych gości – przedstawicieli środowisk kultury i sztuki oraz przedstawicieli życia publicznego stolicy. Spotkanie prowadził dyrektor Muzeum Niepodległości, dr Tadeusz Skoczek.

Lubelski wernisaż prowadzony przez dr Jana Sęka, zgromadził licznych gości, nie tylko lublinian, ale także z różnych regionów Polski. Uroczystą prezentację dzieł malarskich Janusza Jutrzenki- Trzebiatowskiego swoją obecnością zaszczytili m.in.: wiceprzewodniczący Rady Miasta Lublina – poeta Stanisław Kieroński, prezes Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i zarazem redaktor naczelny periodyku „Lublin”- Zbigniew Włodzimierz Fronczek, prof. Włodzimierz Osadczy (KUL), dyrektor naczelny Biblioteki Wojewódzkiej w Lublinie – Tadeusz Sławecki, wójt Siennicy Różanej – Leszek Proskura. Warto nadmienić, że znany z wielu inicjatyw wójt Proskura zamierza w najbliższej przyszłości otworzyć w restaurowanym właśnie dworze w Siennicy muzeum autorskie Janusza Trzebiatowskiego.

O zgromadzonych na lubelskiej wystawie obrazach i o ich twórcy mówili: Tadeusz Skoczek i kurator wystawy – Ferdynand Nawratil, a o artystycznych efektach fascynacji Trzebiatowskiego Armenią – Stanisław Dziedzic

Dziś, po paru dziesięcioleciach twórczych zainteresowań tematyką armeńską, gdy podlega ono permanentnemu rozwojowi, można uznać, że rozpoczęty przed ćwierćwieczem „Tryptykiem Armenii” cykl obrazów „armeńskich” w całej, bogatej twórczości malarskiej Trzebiatowskiego można zapewne uznać za wiodący.

Po raz pierwszy artysta udał się do Armenii przed ponad półwieczem, w celach turystycznych. Następny pobyt, w 1991 roku, przypadł w parę miesięcy

po tragicznym w skutkach trzęsieniu ziemi. Wówczas artysta zobaczył straszliwe zniszczenia, martwe miasto Leninkan, kiedy widział efekty podnoszenia z ruin osobliwości kulturalnych tego kraju, dostrzegł inne oblicze Armenii. Był świadkiem odradzającej się w postsowieckiej rzeczywistości liturgii starochrześcijańskiej, przenikającej odtąd poza ściśle przyzwolone enklawy kultowe. W jednym ze zrujnowanych kamiennych monasterów był świadkiem nabożeństwa sprawowanego pod przewodnictwem samego katolika Armeńskiego Kościoła Apostolskiego Karekina II. Trwałą konsekwencją tego zachwytu, ale i reakcją mimowolnego świadka zniszczonych kamiennych zabytków i misternie rzeźbionych chaczkarów, wołających o pamięć, był niezwykle w swoim artystycznym wyrazie „Tryptyk Armenii” – cykl obrazów olejnych, w 1996 r. prezentowanych najpierw w Muzeum Okręgowym w Chełmie, a później w wielu innych miejscowościach.

Był w tym niezwykle ideowym przesłaniu motyw przewodni: próba budowania kosmogonii świata na ruinach czynionych Kainową ręką, przez nieludzkie systemy. Rozpaczliwe szukanie krzepiącego światła nadziei i ładu, nadającego sens trwaniu. Ale był to zarazem sens tworzenia. Pojawiło się wtedy pytanie, nie postawione dotąd, ciągle wszak aktualne, ważne jak architrav – scalający, pozwalający na bezpieczne tworzenie dzieła wieńczącego. W cyklu „Tryptyk Armenii” owo szukanie światła zdecydowanie przekraczało malaturę – i tak pozostało w następnych cyklach obrazów Janusza Trzebiatowskiego. Świat monasterów, kościołów, chaczkarów, skał Kaukazu czy ruin starożytnych budowli, spowitych ciszą odeszłych epok, kiedy indziej wołających o ratowanie dziedzictwa, przywrócenie świadectwa, doznają w tych obrazach intelektualnego, ukierunkowanego artystycznego przetworzenia. Duchowość Wschodu, połączona z tęsknotą za sacrum, poszukiwanie światła trwającego immanentnie oraz transcendencji, ukazują tu nadrzędność kosmogonii nad rozdarciem i apokalipsą. Tak powstała dalsza seria obrazów, tworzonych różnymi technikami, w których artysta mierzy się już teraz z aksjologicznym zwieńczeniem porządku i wartości – mówiąc za Norwidem – „rzeczy świata tego”. Cykl „Katedra” nosi – jak się wydaje – wymiar duchowej nadbudowy całości. Czy ją wieńczy? Czy jednoznacznie chciałby się w tej kwestii wypowiedzieć sam Janusz Trzebiatowski? Jest w tym wieloczęściowym oglądzie

udręczonej w ostatnich stuleciach ziemi spod Araratu, zespolona nie filozofii, antropologii kultury, ale i teologii. Nie mam zatem pewności, czy owe 44 obrazy olejne i 50 pastelów z cyklu „Katedra” są jego wyczerpującym, ostatecznie sformułowanym językiem sztuki przesłaniem, wieńczącym rozpoczęty przed wielu laty cykl – dyskurs o duchowej złożoności, o antynomiach targających niespokojne pogranicza kulturowe współczesnego świata, ziem które należały kiedyś do najstarszego chrześcijańskiego państwa na świecie.

Lubelska wystawa obrazów Janusza Trzebiatowskiego będzie następnie prezentowana w salach wystawowych Biblioteki Wojewódzkiej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, a później w odnowionym dworze w Siennicy Różanej.

Towarzyszy tej wystawie katalog „Armenia. Szlakiem katedr i chaczkarów”, przygotowany przez Muzeum Niepodległości, w opracowaniu dyrektora Tadeusza Skoczka. Efektowny katalog jest kolejnym, zrealizowanym projektem Galerii Malarstwa Historycznego, w ramach tematu badawczego „Janusz Trzebiatowski; Maciej Milewski. Biografie artystów naznaczone przeżyciami wojennymi”. O tych kwestiach i o wcześniejszych wystawach dzieł plastycznych Trzebiatowskiego w Muzeum Niepodległości pisze bliżej Tadeusz Skoczek w tymże katalogu.

Był i inny akcent tego lubelskiego wernisażu, zaszczytny wielce dla Janusza Trzebiatowskiego i dla piszącego te słowa: podczas tej uroczystości zostali obaj uhonorowani przyjęciem do reaktywowanej w 2002 roku Akademii Historii i Literatury Polskiej oraz Słowiańskiej im. Adama Mickiewicza. Wliczając statutowo 44 członków Akademii, miejsce po zmarłym profesorze Mieczysławie Paszkiewiczu, wybitnym historyku sztuki, prezesie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznano Januszowi Jutrzence-Trzebiatowskiemu, a po zmarłym znakomitym pisarzu, historyku literatury i tłumaczu – profesorze Jerzym Pietrkiewiczem – Stanisławowi Dziedzicowi.





